

Lit. Pedagog

Lp. 770

WIKTOR GOMULICKI

SIÓDME AMEN

IMCI PANA MOKRZECKIEGO

POWIEŚĆ
Z CZASÓW SASKICH



65

WYDAWNICTWO „BIBLIOTEKI GROSZOWEJ”

Warszawa, E. Wende i S-ka, Poznań—Fiszer
i Majewski: Łódź i Katowice—Ludwik Fiszer.

20/8/40

Odbito w Zakładach Graficz.
„Drukarnia Bankowa”

Warszawa
1925

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0169953



223870

BIBLIOTEKA GROSZOWA

WYDAWNICTWO TYGODNIOWE

REDAKTOR LUDWIK FISZER

WYDAWCA „BIBLIOTEKA GROSZOWA”

Sp. z ogr. odp.

WARSZAWA, ul. MONIUSZKI 11.

2/8/05

I

Rubinowy promień zachodu, przez otwarte okna wpadając, rozczzerwieniał siwą, podgoloną czuprynę, czerstwe oblicze i zawiesziste wąsy pana cześnika powiatu lidzkiego a razem rotmistrza Buławy Wielkiej Wielkiego Księstwa Litewskiego. Zmieniał też ów promień barwę wina w szklanym, przy jegożności stojącym kielichu, czyniąc ją ze złocistej niemal krwawą.

Pan cześnik, drobnymi łykami węgrzyna pociągając, mozolił się nad pisanem. Stało przed nim ogromne, do maźnicy podobne *calamarium* i leżał duży arkusz papieru rygałowego.

Gatunek papieru, w solennych jeno okazjach używanego, wskazywał, że pisanie było wagi nie-małej. Jeszcze wyraźniej mówił o tem krzyżyk, nakreślony piórem u góry arkusza, oraz starannie wypisane abrewiacje:

L. J. Xstus J. M. J.

Pan cześnik, mąż lat sześćdziesięciu z okładem, pijąc i wzdychając, trąc czuprynę i w sad wiśniowy spozierając, pisał co następuje;

„Roku 1751, miesiąca lipca 20 dnia, najmilsza Żona moja Dobrodzika, o godzinie 7 z południa, ten świat pożegnała, mając lat wieku swego 46.

Żyliśmy z sobą lat 20 z łaski Pana Boga nasze-

go, jakoby niedziel 20, przy błogosławieństwie Pana i Boga naszego.

Pochowana w cerkwi rakowickiej.

Której niech Pan, Stwórca nieba i ziemi, będzie miłościwy i duszy Jej da odpocznienie, za protekcją Panny Najświętszej i przyczyną Wszystkich Świętych Pańskich, osobiwie Patronek Jej Świętych: Katarzyny i Eufrozyny.

Amen.

Imię Jej Katarzyna Eufrozyna z domu Chuniewiczówna, strażnikówna powiatu oszmiańskiego.

Urodziła się z Krasieńskiej Anny, starościanki homelskiej.

Spłodziliśmy ze sobą dzieć, na chwałę Panu Bogu w Trójcy Świętej Jedynemu i Najświętszej Matce Boskiej; siedmioro—synów pięciu, cór dwie.

Syn pierwszy, Joachim January, umarł dwiema niedziel przed rokiem wieku swego w Rohaczewie i tam u Bazyljanów pochowany.

Którego niech Pan, Stwórca nieba i ziemi, między Anioły swe przyjmie.

Amen. Amen.

Elżbieta, córka, która żyje, i niech Pan Bóg błogosławi Jej w dalszem życiu, pozostała po Matce, lat ośmnastu.

Józef, syn, pozostał w lat siedmnastu, który niech żyje w błogosławieństwie Boskiem.

Jan od Krzyża, syn żyjący, pozostał, lat trzy-nastu — i temu, Panie, daj wiek długi z błogosławieństwem Swojem Boskiem.

Andrzej Ursyn, syn, umarł w Berdyczowie i tam u Karmelitów Bosych pochowany — miał półtora roku.

Któremu miejsce między Aniołami Swym daj, Panie Boże Wszechmogący.

Amen. Amen. Amen.

Syn Stanisław, kilkunastą niedziel nie dożywszy roku życia swego, umarł — pochowany w cerkwi rakowickiej.

Którego do pułków Anielskich, Serafinowych i Cherubinowych wliczyć racz, Panie.

Amen. Amen. Amen. Amen.

Urszula, córka, mająca półtrzecia roku wieku swego, umarła 1750 r., octobra 28 dnia — pochowana w cerkwi rakowickiej.

Światłość wiekuista niechaj Jej świeci.

Amen. Amen. Amen. Amen. Amen."

Stanisław i Urszula wraz za jedno w sklepie położeni z Matką Ich a moją Żoną i Dobrodzika.

Wieczne odpoczywanie racz Im dać, Panie.

Otarł pan cześnik spocone czoło: chustką nieznacznie po oczach przesunął; do kielicha zajrzał. Węgrzyn nie zawiódł. Rozjaśniło się i krasnym rumieńcem rozkwitło dorodne oblicze; przymglone oczy żywym płomieniem strzeliły.

Rażno w palce pochwycono pióro gęsie, długim białym proporczykiem wiewające, cwałem po papierze pobiegło.

Pan cześnik, ręki od papieru nie odejmując, dopisał:

„Dla pamięci, takową moją notację ręką moją własną napisałem dla dalszego czasu; i dla wiadomości w przyszły czas dzieciom moim zostawuję.

Pisan w Rakowiczach, roku 1755, miesiąca lipca 28. dnia, z podpisem ręki mojej.

Antoni Kazimierz Mokrzecki,

cześnik powiatu lidzkiego, rotmistrz Buławy W. W. Księstwa Litewskiego, mp."

Z westchnieniem ulgi pióro otarł i odłożył. Potem głębiej się w krzesło zasunął, głowę na poręczy wsparł, powieki przymknął.

Gonił ulatujące maryl przeszłości, czy też słuchał muzyki letniego wieczoru?...

Cieniuchno brzęczały komary: otwartem oknem ciężkie żuki wbiegały i wybiegały, huczac monotonnie; porykiwały tęskno krowy, beczwały owce, rżały żrebięta; zóraw studzienny na chwilę skrzy pieć nie przestawał. Czasem w sadzie dojrzała gruszka oderwała się od gałęzi i, zaszeleściwszy między liśćmi, z cichem plaśnięciem na tłustej ziemi się kładła.

Nagle, nad wrzawą zmieszanych głosów, zapanawał jękliwy a donośny głos dzwonka. Dzwoniono na Anioł Pański.

Osunął się pan cześnik na kolana i wzdychając, oczy do nieba wznosząc, w pierś się bijąc, odmawiać jął:

— „Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi“...

Po modlitwie, znów zabrał się do pisania. Na obliczu miał jeszcze jasność, jaką daje obcowanie z Bogiem. Dla pokrzepienia dusznego już mu nie trzeba było sięgać do kielicha.

Jednak drżała mu cokolwiek ręka, gdy na drugiej połowie arkusza nowy krzyżyk i nowe abrewjacje nakreśliwszy, pisał:

„Pierwszą Żonę miałem *de domo* Golijewską, skarbnikównę powiatu oszmiańskiego — która była pierwszej za Faszczem, sędzicem grodzkim starodubowskim. Żyła z onym lat trzynaście; potomstwa nie miała.

Wziąłem pierwszą Żonę wdową i żyłem z nią lat półszosta szczęśliwie i pomyślnie, mając Anioła w postaci ludzkiej.

Spłodziłem z nią córek dwie: Annę i Konstancję. Umarła Dobrodzika Żona moja z Golijewskich Bogumiła roku 1731, miesiąca maja 1 dnia, w dzień Świętych Apostołów Filipa i Jakóba.

Ciało Jej pochowane w kościele homelskim, w babińcu, przy drzwiach kościelnych, u samego progu podług samej Zeszłej dyspozycji.

Która niech spoczywa z Bogiem Panem, w Trójcy Świętej Jedynym, w światłości wiekuistej, za przyczyną Najświętszej Panny. Wszystkich Świętych Pańskich, a osobliwie Patronki swej, Świętej Bogumiły.

Amen. Amen. Amen. Amen. Amen.

Ta notacja jest pisana roku 1751, miesiąca lipca 28 dnia w Rakowiczach.

A. K. Mokrzecki,

cześnik p. I., rotmistrz B. W. W. Ks. L.
ręką swą“.

Odetchnął pan cześnik po skończonem pisaniu, jakby ciężar wielki z serca zrzucił. Świeżego pisma nie zasypywał piaskiem, pozwalając mu schnąć drogą naturalną. Czoło miał potem zroszone, żyły na szyi i skroniach nabrzmiały.

Przepatrzył raz jeszcze z uwagą oba dokumenty, poprawiając tu i owdzie niewyraźną literę, kładąc, gdzie trzeba, opuszczone *punctum* lub kome.

Suchem piórem postukał w papier, pilnie coś obliczając — potem chorągiewką pióra musnął czoło zmarszczone i szepnął z westchnieniem.

— Sześcioro *amen*...

Podniósł głowę, czoło wygładził, pióro, z niechęcią jakowąś, na stół cisnął...

— *Satis!* — wyrzekł głosem mocnym, stanowczości pełnym.

I powstawszy z miejsca, przechadzać się jął po komnacie krokami mierzonemi, jak przystało mężowi, dwójgiem znacznych dostojęństw obciążonemu.

Oblicze miał już teraz niemal pogodne, tchnące jeśli nie spokojem, to przynajmniej rezygnacją. Było

to oblicze człowieka, który, widząc czarę utrapień swych po same brzegi nalana, nie bez pewnego smutnego zadowolenia myśli, że się już w niej ani jedna kropla więcej nie pomieści...

— Sześcioro *amen*... *Satis!* — powtórzył w sposób jeszcze bardziej stanowczy, i nogą w czerwonym bucie mocno przytupnął, jakby sentencję swą podkreślając.

A w tejże chwili wbiegła do komnaty nieszpeta panienska lat dwudziestu z czemś i wesoło zawołała:

— Tatuńciu! goście!...

— Kogóż Pan Bóg dał?

— Pani sędzina Towiańska z Koczyna, z Anusią.

— Same?

— Gdzie zaś! Pan sędzia także.

— Skądże tak *ex abrupto*?

— Z Lidy jechając, pan sędzia zaniemógłszy.

— Alkiermesu do wnętrza i na serce.

— Już to szafarka aplikuje.

— Gdzież ichmościów przyjmujecie?

— W ganku tymczasem—aby na świeżości powietrza rychlej odstało.

— Proście do komnat gościnnych. Za momencik przybędę.

II

— Witam wielmożną panią sędzinę dobrodzikę i niziuchno do jej stopek przypadam. Wielki to honor *et magnum gaudium* dla mego domku mizernego, że go tak wspaniała gościa nawiedzić raczyła...

— Mnie to raczej, panie cześniku dobrodziej, mizernactwo swe wyznawać przystoi. Admirować też muszę niedosiężone dowcipem ludzkim *fata*, że mię w niefortunności mojej tak fortunnie do progów waszmościnych przywiodły.

— Progi moje, mościa sędzino dobrodzik, wielkoduszną, acz w rozmiarze swym maciupenką jej stopką *in aeternum* ucelebrowane zostały. I nie wiem, zaiste, jak mi *ab hoc instante* poczynąć wypadnie, już bowiem tych progów zwykłym śmiertelnikom przystępować nie będzie się godziło.

— Konfudujesz mię waszmość bystrołotnym swe go dowcipu afektem. Znam-ci ja dobrze swój waler prawdziwy i wiem, że jest proszkiem nikczemnym w obliczu zasług waszmościnych, które na całą ziemię ludzką splendor oślepiający rzucają.

— Widzę, mościa pani, że iść w komparację z trefnością jej obrotów byłoby dla mnie to samo, co dla żółwia z orłem się ścigać. Więc kapituluję i buzdycan swój rotmistrzowski do kolan jej pochyla—żebrząc o łaskę rozgoszczenia się w skromnieńkim domku moim.

Nastąpiły liczne ukłony i dygi, gesty zapraszające i wzdragające się—wreszcie unieruchomili się oboje, miejsca swe zasiadając.

Pani Towiańska rozpostarła swą rogówkę na kanapie jesionowej, krytej prześlicznym cystem w różnobarbne pasy. Pan Mokrzecki spoczął na takimże rozłożystem krześle, o wyginanych misternie poręczach.

Jejmości minęła już trzydziestka, była wszakże z tych, które i po czterdzieście nie abdykują. Słusznego wzrostu, szczupła acz nie chuda, przytem zgrabna i zwinna, miała wabny uśmiech, ponętne usta, przyciągające spojrzenie. Ubierała się z wdziękiem, dobierała umiejętnie kolory, nie gardziła bielidłem i różowidłem, a czarne „muszki” tak mądrze na twarzy rozmieszczała, że w mężczyznach budziły zawsze myśli—płochę. Po za tem, w minach jej i poruszeniach było coś niespokojnego i niepokój budzącego.

Ledwie usiadła, kręcić się jąła, rzucając spojrzenia w prawo i w lewo, i wołając:

— Anusiul! Anetko! Anuleńko!... A chodźże, a pokaż się, a obłap za kolana pana cześnika, osobliwego dobrodzieja naszego!...

Nikt się wszakże nie zjawiał. Sędzianka oddawna już wyfrunęła z cześnikówną do ogrodu.

Gdy matce o tem powiedziano, w ręce plaśnie.

— Ach, utrapienie! Pewna jestem, że na drzewie siedzi i wiśnie smyka. Pannica jedenastoletnia!

W tejże chwili roześmiała się.

— Amarylis! istna Amarylis!... Gdyby jej na flecie przygrywać, z kozami skakałyby przy strumyku. A śliczna, że jeno w ramki oprawić. Na aniwersarz pana ojca dobrodzieja za pasterkę ją przebrałam. Różowe ciżemki, różowy kabacik, bieluchna spódniczka z różowemi wstęgami—na główce z róż

białych wianuszek, w ręce laska biała, mirtiem opleciona...

Niezmierną radością rozbłysnęło ruchliwe liczko jejmości. Aż drżała z uciechy.

Ale trwało to krótko.

W jednym momencie od wesołości do smutku przeszła. Główkę zwiesiła, ręce załamała.

— Ach, mości cześniku dobrodzieju, w strasznej widzisz mi alteracji! Mój mąż maleńki... moje oczko w głowie... moja cała kontentacja...

Łkania zatałowały jej mowę.

Pan Mokrzecki mógł być nareszcie język w ruch wprawić.

— Właśnież ja — z niskim pokłonem wyjąkał — submitując się pokornie jejmości pani dobrodzie, o szacowne pana sędziego dobrodzieja zdrowie zażywać chciałem...

— Jak skorupka porcelanowa, kruche, mości cześniku! Zawszy kwęka, słabuje; zawsze w plastrach a dekoktach. Toć znana jest waszmości mego męża konstytucja. Łada wiaterek mu wadzi; łada kasek humory wzbudza. Wciąż go jeno okrywaj, kleiki mu warz, forteczki zaszczepiaj, aby się nie przestudził. Kurczątko takie...

— Szczęśliwy, że mu Pan Bóg zdarzył żonkę, co mu we wszystkim dogadza. Pływa w delicjach, jak małdrzyk w maśle...

— Jakżeby inaczej!

Weszła do bawialni staruszczenka niziuchna, pomarszczona, jak wiórek sucha—dziewięćdziesięcioletnia Kundzia, szafarka. Przybywała od chorego, którego złożono w alkierzu.

— Jakże tam mój pan małżonek? — przywitała ją sędzina.

— Marudzi... Krupniczkiemby go napoić. Taż on, niebożatko, głodnieńki...

— Napój go, Kundzio, mateczko. Bóg ci zapłaci.
Wyszła staruszka.

Po pewnym czasie zjawiła się zpowrotem. Uśmiechała się, głową trzęsła, bezrzesne oczki mrużyła.

— Wypił, niebożatko — do kropli wycmoktał. Ani skrzywił się, ani zachłysnął. Będzie zdrów.

— Jakichże krupek uwarzyłaś, Kundziuniu?

— Krupek? A pocóż tu krupki? Okowitki wzięłam, jak zwyczajnie, i miodu przasnego. Dodałam gwoździków, muszkatelowej galki, cynamonu, imbiru, tureckiego pieprzu. Wszystkiego zadość, jak się patrzy. Było tego kwarta — może więcej. Do kropli wycmoktał...

— Ba! jeszcze wasy i brodę oblizal, jak miś, kiedy się całą barcią uraczył! — huknięto od progu. — Nie trzeba Świętych Stanisławów — tybyś, babciu, i Piotrowina swym dekoktem wskrzesiła. Za to na twojem weselu dżyguna wyskoczę, a pierwsze twoje dziecko do chrztu podam. Hu! jakże mi ucieszniesz! Pilbym i tańcowałbym, aźby się piekło śmiało. Chodź, Kasiuniu! chodź, cześniczeńku! A kapela niech urznie wesoło. Hu — ha!

Stał pan sędzia we drzwiach, które jego olbrzymia postać rozsadać się zdawała. Pas mu się rozwiązał, kontusz zmiął, żupan przekrzywił, spinka pod szyją rozpięła. Czerwony był, niczem najdojrzalszy pomidor.

Podbiegła doń zaraz małżonka, jak sprężyna podrzucona. Jedną ręką głaskała mu pyzate, gęstym włosom obrośnięte policzki; drugą odzież na nim gładziła.

— Mileńki... kochanienki... Nie alteruj się, dzieciątko... Niegodziwa ona... okowity tobie dała... humory ogniste zapaliła... Chodź, wedle mnie usiądź

— utulę cię, upieszczę... Ty kareski lubisz, filutku — co? ej!...

Głaszczać, mizdrząc się, przywiodła olbrzymia do kanapy, na cycowem pokryciu usadowiła.

— Jakże się waszmość czujesz, mości sędzio dobrodzieju? — troskliwie zagadnął cześnik.

Pan Towiański wyciągnął wielką, żylastą rękę i ciężko, niby maczugę, na stole złożył.

— Tak się czuję, cześniczeńku, żebym zdruzgotał ten stół, ciebie skruszył i cały twój dwór potrzaskał i rozmiótł. Drzazeczka na drzazeczce nie pozostałaby z tego wszystkiego. Hu — ha!

Pani sędzina wpatrywała się w męża takim wzrokiem, jakim matka przygląda się małemu synkowi, który dosiadł konika na biegunach i szabelką drewnianą wywija.

— Koguciku ty mój mileńki... Cipulku... cipuleńku... Dzieciątko roztkliwione... Maślany pampuszku... małdrzyku... konfekciku...

Od pieśczonej się pary pan cześnik oczy odwracał i oblizywał się a wzdychał...

Z twarzy sędziego ustępowała czerwoność, a w miarę, jak stawał się bledy, posepniał.

Po dłuższej chwili milczenia, gospodarz zagadnie:

— I gdzież to waszmości pana mojego ona słabość zdobyła?

— Nie indziej, mości cześniku, jeno przy tym zaścianku pohanym, co go zowią: Pielewiszki.

— Pilwipiszki... — poprawiła spokojnie sędzina.

— Pielewiszki — powtórzył pan Towiański z naciskiem.

— Nie przeciw się, mileńki. Wiem dowodnie, że Pilwipiszki...

— A ja cię uręczam, kochana, że Pielewiszki.

— Pilwipiszki...

— Pielewiszki...

— Ustap, dzieciatko... Jaż wiem, co mówię.
— To ty ustap. Ja nigdy na wiatr słów nie rzucam.

— Otóż nie ustapię...

— Ja także.

Zamilkli nadasani.

Do komnaty wsunął się jeden z domowników — chudy szlachetka w cynamonowym kontuszku, z pochylonemi plecyma, z profilem charcim, z twarzą, wyrażającą dowcip i przebiegłość.

Był to rezydent domowy, pono daleki krewniak, imiępan Pafnucy Mleczek, którego nazywano zwyczajnie „Pafciem”.

Wsunął się Pafcio w niskich pokłonach, nos wytknął, powietrza pociągnął — odrazu zwąchał, co się święci. Zwąchawszy, skulił się pokornie i siadł na krześle przy drzwiach, ze zwieszoną głową, skrzyżowanemi rękoma, nogami pod krzesłem schowanemi.

Pan cześnik, długą nieruchomością znużony, wstał i przechadzać się jął po bawialni. Przechadzał się krokami wyciągniętymi a cichemi, starając się tłumić skrzypienie swych butów safjanowych, w Wilnie kupowanych, do których szewc, niecnota, umyślnie skórę „grającą” włożył.

Sędziego nagle jakoś animusz opuścił. Twarz mu pobladła, oczy przymykały się — cały osowiał.

Przysunęła się do męża pani Towiańska — nuż się przymilać, po twarzy go głaskać, swój policzek o jego ramię ocierać, białemi paluszkami brodę mu przegartywać...

Pan cześnik odwracał się i aż chrząkał z pasji tłumionej.

— Zesłabieś, dzieciatko — mówiła sędzina pieścizotliwie. — Zwiesił się dziobek wróblczkowi mojemu... Na serduszku jakowaś opresja... Coś w kontr

poszło niebożatku... Daj łapcię, mileńki... Ach! jak pulsa galopują!... A kto winien? kto? Pamiętasz, kurczatko, com mówiła, gdyśmy jechali przez Pilwipiszki...

— Pielewiszki!... — jęknął sędzia.

— Nie upieraj się, mileńki. Jaż wiem lepiej od ciebie. Nasz ciwun ma tam siostrzana i zawždy mówi: Przyjechawszy ten osieł z Pilwipiszek...

Pan Towiański uniósł się nieco i dosadnie oświadczył:

— Właśnie wczoraj mnie on gadał: — Oba-
biwszy się mój byk z Pielewiszek...

— Pilwipiszek!

— Pielewiszek!

— Kostusiu, nie kontru!

— Kasienko, ustap!

— Uch! Wapory na mnie biją... Uch!... uch!...

— Och!... Serce mi kołata... Och!... och!...

— Pil... Pil... Pil...

— Piele... Piele... Piele...

— Uch!... Słabo mi... Pomóście!

— Och!... Umieram... Ratunku!

Jedno upadło w prawy róg kanapy, drugie w lewy. Jęki i stęki napełniły bawialnię.

Cześnik, pospółu z Pafciem, rzucili się na pomoc chorym, choć jeden i drugi nie wiedzieli zgola, jak się brać do tego.

Rezydent, niewiedomo z jakiej racji i w jakim celu, usiłował ściągnąć buty sędziemu, ów zaś, wierzgając nogami, odrzucał go nieustannie na środek komnaty.

Cześnik skoczył do alkierza i, wyniosłszy stamtąd tabakierkę panny Kunegundy, wtykał ją pod mały nosek sędziny, która, krztusząc się i kichając, broniła się od osobliwego medykamentu.

Dopiero sędzianka, przy pomocy cześnikówny,

uśmierzyła alterację małżonków, wyprowadziwszy jejmość na ganek i pozwoiliwszy jegomości wyciągnąć się na kanapie.

Nie wyszło trzy „Zdrowaś Marja”, a już pan sędzia chrapał, grzmotliwemi głosami wprawiając w drżenie szyby w oknach; pani sędzina zaś, z właściwą sobie swadą, opowiadała pannom o nowych deseniach adamaszków, czamlotów i gredyturów, które oglądała u kupców w Lidzie.

Ona też tylko siadła z domownikami do podwieczorku, który w altanie chmielowej zastawiono. Zanim z półmisków i talerzy zniknęły poziomki, śmietana, suche ciastka i orzechy laskowe z miodem, zdążyła kilkakrotnie wyłajać i ucałować córkę, z panem Pafnucym posprzeczać się i pogodzić, oświadczyć, że „niema jak wieś”, a zaraz potem, że „jeno w mieście żyć można”, wreszcie, wybuchnąc szaloną wesołością i do łez się rozrzewnić.

Pan Towiański spał a spał.

Dopiero gdy nad pola i zagajniki rakowickie wypłynęła czerwona bania księżyca, ocknął się i wielkim głosem zawołał:

— Kto w Boga wierzysz, ogórka daj kiszzonego!

Przyniesiono ich słój ogromny, z którego, po czasie niedługim, pozostało jeno szkło i listków bobkowych kilka.

Wyspany i orzeźwiony, zażądał, by zaprzęgano, pilna bowiem sprawa graniczna wzywa go do Kotczyna. Jejmość nie kontrowała, więc, po obowiązkowych ze strony gospodarza a daremnych molestacjach o przyjęcie wieszery i noclegu — państwo sędziostwo odjechali do siebie.

Przed pójściem na spoczynek, pan Mokrzecki zapuścił się z rezydentem w długie o swych gościach dysputy. Wynosił pod niebiosą nadobność, grację, dowcip i krasomówskie obroty jejmości; przypomi-

nał, że znał ją jeszcze młodziesienką jejmościanką Bobolaną; dodał, nie bez jakowegoś zakłopotania, że, gdy ta znajomość na czas pierwszego wdo-wieństwa przypadła, skłonny był pannę *in sociam vitae* pojąć, pełnoletności jej doczekawszy, ile że mu sprzyjał jej rodzony, imćpan obożny litewski.

— Ale trudno iść przeciw losowi swemu. Już to było w kancelarji niebieskiej podpisane i przy-pieczętowane, że kontentacją mego serca i sukursem życia całego stać się ma jejmościanka strażnikówna oszmiańska — takż Kasia, Kasieńka, Kasiunia, której niech Bóg Najwyższy, Stwórca ziemi i nieba, odpoczywanie da wieczne — amen.

Pochylił głowę i milczał czas dłuższy, w po-bożnem myśli skupieniu.

Nagle odezwał się innym zgoła, bardziej świeckim tonem:

— Ależ upór, Pafciu miły! Daj go katu, co za upór!...

— Prawdziwie babski, mości rotmistrz dobro-dziej!...

Mleczko zawsze nazywał pana Mokrzeckiego rotmistrzem, gdyż, jako bywszy porucznik chorągwi JKMci B. W. W. Ks. L., więcej ważył jego stopień wojskowy, niż świecki.

— Babski upór w mężczyźnie! Nie jestże to, mój Pafciu, ludzka i Boska obraza?

Rezydent nos wytknął, w prawo i lewo wiatru spróbował, niby chart, straconego tropu szukający.

— Jakże to, mości rotmistrzu dobrodziej? Error to być musi jakowyś...

— Jaki, do kata, error!

— Toć — zająknął się tamten — światu wiadomo całemu, że owo lichy nie w panu Towiańskim siedzi, lecz...

Pan cześnik poczerwieniał, jak ćwikła, nogą tup-

nał, oczy wybałuszył. Zdało się przez moment, że, jak wulkan, ogniem wybuchnie...

Pohamował się wszelako i przez zaciśnięte zęby syknął jeno:

— Bajesz waść, Pafciu pocieszny!...

I dyskurs śliski kończąc, zabrał się, nie mieszkając, do pacierzy łacińskich, które odmawiał w głos, po izbie chodząc.

Potem, przed obrazem Matki Bożej, na blasze malowanym, przystanąwszy, jał się modlitw łacińskich i polskich, sześciorgiem westchnień i sześciorgiem *amen* one zamykając.

Mleczko wyszedł na palcach, z nosem przed się wytkniętym. Węszyć tam i sam nie potrzebował, poznawszy już dokumentnie: z której strony wiatr wieje...

II

Przyszła jesień, a z nią mgła, wichry, plucha. Drogi rozmiękły, popsuły się. Trudno było nosa na świat wytknąć, gościa uwidzieć i samemu w odwiedzinę ruszyć. Musiałeś, człowieku, w domu kamieniem siedzieć, myśli słodkie lub gorzkie przeżuwać i ziewać — za całą rozrywkę mając spoglądanie raz po raz na niebo: czy się nie przeciera?...

Dobrze jeszcze temu, kto młody, rozkochany i ma przy sobie gładkie liczko, w które godzinami wpatrywać się może (choć i to za czasem spopolicieje, znuży i znudzi).

Ale dla takiego, co, jak cześnik, młodość pogrzebał, niewiastę umiłowaną stracił i sny one cudne, które żywot nam złością, prześnił — jesienna szaruga i w czterech ścianach zamknięcie równała się kaźni więziennej i powolnemu konaniu...

Już i modlił się pan Mokrzecki i „Kronikę” Strykowskiego czytał, i z ciwunem o gospodarstwie gadał, i z domownikami dyszkurował, i dziecku służebnej, z czeladni *ad hoc* przyniesionemu, za wasy ciągnąć się dawał — ba! już i z pieskami igrał, i kolejno: to wina, to miodu, to piwa, to nalewek różnych próbował — chandra, w samym rdzeniu duszy zagnieżdżona, nie ustępowała.

Więc, w przeciągłem, szerokim ziewnięciu ramiona rozkrzyżowawszy, na rezydenta zakrzyknie:

— Pafciu-sercel... A chodźże!... a pomóż!...

Wysunął się z kąta pan Mleczek, zawsze znajdujący się w pobliżu, dla weneracji wszelako, gospodarzowi domu należnej, trzymający się w przyzwyczajonym odeń dystansie.

— Na rozkazy wielmożnego rotmistrza dobrodzieja...

— Rozdeszczyło się, mój Pafciu — flaga okrutna... Ckliwo jakoś i obleśnie — we łbie pustki, jak w starym ulu... Ta i cóż robić, serce?... Do kancelarii pójdziemy, albo co?...

— Aplauduję fortunnej myśli pana rotmistrza dobrodzieja. Dawno już kancelaria nie była honorowana prezencją osoby pańskiej. Zaszczycił to będzie dla niej i radość niemala, widzieć w swych progach waszmości pana mojego — ile, że *multum* interesów przeróżnych, juryzdykcyjnej, że tak rzekę, natury, na rezolucję pańską pilnie oczekiwają.

— Pafciu-niecznoci!... Jabyś chciał wytchnąć, a ty mnie ciężarem obarczysz...

— *Dura necessitas*, mości rotmistrzu dobrodzieju. Samą krotofilą żyć trudno — podczas i interesu jąc się trzeba. Już to pan rotmistrz dobrodziej w czasie ostatnim coś się bardzo w tych sprawach negliguje...

— To prawda, ale — czyż nie wiesz dlaczego? Od zgonu świętej pamięci jejmości mojej, sprawy doczesne całę mi nie obchodzą. Krzyżyk na onych położyłem.

— Zawczasie, rzec się ośmielę. Zawczasie i razem: zapóźno.

— Nie bądź enigmatyczny, Pafciu-serce. Gadaj: jak to rozumiesz?

— Zawczasie, mości rotmistrzu, bowiem starość jeszcze daleko za wrotyma i przystępu jej do siebie waszmość pan dobrodziej nie dajesz. Zapóźno

— bowiem kto liczną progeniturą otoczył się, temu przyszłość onej na sercu leżeć powinna. Chciałżebyś, rotmistrzu dobrodzieju, synów swych i córy w zamieszaniu majątkowym pozostawić i na łup złym ludziom a chytrym palestrantom oddać?

Potań! pan Mokrzecki siwej, gęstej czupryny — cośnieważ pomyślał...

— Ha! to i chodźmy do onej kancelarii... — z rezygnacją oświadczył.

Po małej chwili, znaleźli się obaj w dużej komnacie, surowo i nieco posępnie wyglądającej.

Powietrze tchnęło tu dziwnym aromatem ziół zaszuszonych, dawnych papierów, odwiecznych sprzętów — aromatem, cenionym przez miłośników starożytności, do których wszakże imć pan cześnik powiatu ludzkiego i rotmistrz Buławy Wielkiej nie należał.

Ledwie wszedł i nosem pociągnął, zaraz na pacholka krzyknie:

— Słysz, ty tam!... Kłodę na komin — dwie grube świece na stół! A jedno okno niech mi będzie na całą szereg rozwarte.

Dopiero, gdy izbę ogrzano, przewietrzono i oświecono, rozchmurzył się i z twarzą pogodniejszą zasiadł w wielkim krześle po pradziadku.

W drżącej poświacie świec woskowych, kłócej się z resztkami blasku dziennego, kancelaria, pełna cieniów ruchomych i płomiennych migotań, nabrała osobliwej, razem klasztornej i rycerskiej piękności...

Po ścianach wisały zbroje, kolczugi, bechtery, misiurki ze stalowymi czepcami, nagoleniki, skrzydła husarskie, tarcze, miecze i szable kształtów przeróżnych, od koncerza olbrzymiego, aż do małej a kaśliwej augustówki, wreszcie rzędy i rzędziki końskie bogate, srebrem nabijane, turkusami sa-

dzone — owo zgola cały rynsztunek wojenny, od dziada pradziada. Mokrzejcy bowiem z dawien dawna rycerskiem rzemiosłem się parali.

Pod ścianami — szafy wielkie, dębowe i półki z przegródkami licznymi, a w nich, niby gaszenie w pszczelnych komórkach, pozołkłe fascykuły, w ośmioro i w dwanaścioro poskładane.

Na wierzchu szaf, wśród kurzu i pajęczyn, istny kram osobliwości: prastare garnki, urny, zżarte rdzą ostrogi, bronzowe do stroju białogłowskiego obiekty — wszystko, co na gruntach rakowickich kmieć wyorał lub wykopał, fala wyrzuciła, wiatr z wydmy piaszczystej wywiał...

A niżej jeszcze: skrzynie okowane gdańskie, sepety, szkatuły; w kątach zasie: formy do lania kul, musaty stalowe do ostrzenia brzeszczotów, rzemieńne zapinki, jedwabne rapcie, sprzążki, młotki, dłota, świdy i wszelakie rycerskie rupiecie.

Cześnik wodził po tem wszystkiem smętnemi oczyma, z których niekiedy błyskawica wypadła i gasła. To pasa poprawiał, to za wąż się ciągnął, to napiętkiem w pawiment uderzał i — dumał.

Tymczasem myszkujący po kątach rezydent wyciągał zewsząd i na stole rozkładał stare papiery, czyniąc to z widocznem ukontentowaniem. Nos mu się wydłużył — chuda twarz przybrała wyraz wybitnie charci.

— I cóż tam, Paściu-serce?... — zagadnął pan Mokrzejcki po długim milczeniu. — Cóżes z tych papierzyśków wywachał?...

— Wywachałem, panie rotmistrzu dobrodzieju, że przed waszmością droga się ściele...

— Bodajże cię!... Tuszę, że przynajmniej niedaleka?...

— Niebliska takoz. W Wołkowyskie.

— Szyję utnij, jeśli zgadnę: poco i do kogo?...

— Do Łopienicy... do ichmościów państwa Bitowtów...

— Tyleż wiem o Bitowtach, co o Łopienicy!... Chociaż... poczekaj, serce... Z Łopienicą — może nie tą? — miał świętej pamięci rodzic mój coś tam, kiedyś tam, do czynienia... Pędrakiem byłem — od matki jeno wiem o tem... A i Bitowt jakowys wpadł mi raz w ucho — obersztajtant, jeśli dobrze pomnę...

— Ten sam, mości rotmistrzu dobrodzieju. I Łopienica też sama.

— Ale: gdzie Rzym, gdzie Krym!... Onego Bitowta na oczym nigdy nie widział — a co się tknie Łopienicy, to rodzic mój od trzydziestu lat w grobie, a z nim i sprawa jego *in aeternum* pogrzebiona.

— *In aeternum*, mości rotmistrzu dobrodzieju, nawet sum neapolitańskich nie pogrzebiono i do-tąd się o nie Rzeczpospolita upomina. Tu interes prościejszy i młodszy znacznie, bo jednego pół-wieczu zaledwie dosięgający. Czcigodny rodzic pana rotmistrza dobrodzieja, imćpan Piotr Mokrzejcki, poborca powiatu lidzkiego, *anno Domini millesimo septingentesimo*, pożyczył talerów bitych pięćset imćpanu Mikołajowi Ogińskiemu, marszałkowi wołkowyskiemu, *ex post* kasztelanowi trockiemu, i małżonce onego, jejmości pani Katarzynie Ogińskiej.

— Tak to jest — poświadczył cześnik. — A tę sumę zabezpieczono na majątności Łopienica-Skinderowszczyzna. Jakoś wrychle potem rodzic mój przeniósł się *ad patres*; matka zażądała zwrotu sumy od ichmości państwa Ogińskich, ci zasie odprawili ją z tem do nowych posiedzicieli Łopienicy. *Amabiliter* uładzić się to nie dało, wyniknął proces, a *in tractu* onego Łopienica po raz wtóry posiedzicieli zmieniła. W takowem zamieszaniu

cóż było czynić? Ten pożyczył, ów ma oddać, trzeci o niczem nie wie... zaczem: zgadnij, Jezu, kto cię bije?... Puściliśmy to wszystko w niepamięć, ile, że jejmość pani matka statecznie słabowała, a jam się żołnierką bawił.

Mleczo słuchał tego wywodu z nosem wetkniętym w papiery, z zagadkowym na wąskich wargach uśmiechem. Głowy nie podnosząc, bąknął:

— Tymczasem, *in effectu*, wszystko było inaczej...

— Jakto inaczej?

— Łopienica posiedzicieli cale nie zmieniała. Zawsze była w jednych i tych samych rękach.

— W czyich?

— Imcipana Karola Władysława Smogorzewskiego, wojskiego wołkowyskiego i małżonki onego, imcipani Rozalii Tyszkiewiczówny Smogorzewskiej.

— A Ogińscy?

— W zastawie Łopienicę trzymali.

— A ciż drudzy?

— Prawo zastawne od onych przejęli.

— A potem co?

— Potem, w roku Pańskim tysięcznym siedmsetnym piętnastym, Smogorzewscy Łopienicę od zastawników eliberowali.

Tu uśmiechnięty Pafcio wziął przed się i do światła przybliżył stary dokument, a wygładziwszy papier dłonią, czytać jął, co następuje:

„List otworzysty, obwieszczy ichmości państwa: Karola Władysława Smogorzewskiego etc., i Rozalii Tyszkiewiczówny Smogorzewskiej etc., do ichmości państwa: Jana Krzywkowskiego, horodniczego trockiego, i Krystyny Rejtanówny, bywszej Krzywkowskiej, terażniejszej Płaskowickiej, łowczyny pińskiej. Pamiętnym będąc terminu okupna majątności Łopienicy Skinderowszczyzny, z przykupią etc., prawem zastawnem puszczonych etc.

etc., uwiadamy, że w dniu etc. sumę zastawna spełna wyliczymy i prawu zastawnemu niwczem ubliżyć nie zechcemy etc., zatem żądamy, aby waszmość państwo, sumę rzeczoną odebrawszy, majątność Łopienicę z przykupią, z poddanymi, z zasiewem żytnym i jarzynnym, jako jest przez antecesorów naszych jasnie wielmożnych państwa Ogińskich postapioną, nam, jako wiecznikom należącą postapili i ustapili. Datum w Łopienicy Skinderowszczyźnie, roku tysięcznego siedmsetnego piętnastego, miesiąca marca trzydziestego dnia”.

Odwrocił papier i dodał:

I — Kwit relacyjny z doręczenia listu podpisał Krzysztof Flaszkievicz, jenerał powiatu wołkowyskiego.

Położył papier na stole i cześnikowi triumfująco w oczy spojrzał.

— Zatem, Pafciu-serce? — spytał ów.

— Zatem, mości rotmistrzu dobrodzieju, pre tensja waszmości pana mego, jako *pendebat*, tak i *pendet*, i talerów bitych pięćset, z prowizją i kosztami sądowemi, każdego momentu wywindykowane być mogą.

— Od kogo, Pafciu-rybko? — od kogo?

— Od kogoż, jak nie od Smogorzewskich, Karola Władysława Smogorzewskiego, wojskiego wołkowyskiego zstępnych i sukcesorów?

— Samżeś, serce, powiedział, że w Łopienicy dziś nie Smogorzewscy, ale Bitowtowie...

— Powiedziałem, rotmistrzu dobrodzieju. Ale cóż stąd? Czy wiadomo waszmości panu mojemu: kto jejmość pani Bitowtowa *de domo*?

— Nic mi tam do wołkowyskich koligacyj!...

— Smogorzewska, wielmożny rotmistrzu — Stefana Smogorzewskiego, kapitana, *ex post* pułkownika jego królewskiej mości wojsk litewskich, sta-

rosta bernatowskiego, córka. Ten zaś Stefan toć syn rodzony Karola Władysława, którego zastawnikowi świętej pamięci rodzic waszmościu talerów bitych pięćset na Łopienicę pożyczył. Bowiem rodowód Smogorzewskich-Junoszków — ile pamięć ludzka zasięgnąć może — takowy jest...

Tu pan Mleczek zapuścił się w rozległe genealogie — w czym mu nikt na trzy okoliczne powiaty, a mało kto na Litwę całą, dorównać nie mógł.

Na czasie wolnym nie zbywało mu — poświęcał go w całości dociekaniom familijnym. W wątpliwościach wszelakich szli do niego ludzie, jak w dym. Wyśmienicie też wywąchał swym długim nosem wszelki neofityzm, wszelkie skartabelstwo — miał nawet ułożony przez się katalog „parweniuszów *alias* lisów farbowanych”, który dobrej, starej szlachcie na zjazdach sąsiedzkich ciszką prezentował.

Niesieckiego nie miał za jaje...

— Ten Jezuita — mawiał — wie cośnecoś o domach na Czerwonej Rusi, bo ma one przed nosem, i winem a tabaką jest przez nie traktowany. Ale spytaj dobrodzieja o Białą Ruś, o Litwę, o Żmudź, to — *pasz!*

Wysłuchał pan miecznik swego rezydenta z niejakim roztargnieniem — w tem mu wszelako przyznał rację, że pięćset talerów bitych na Bitowtach i ich Łopienicy dochodzić należy.

Wziawszy na uwagę to i owo, postanowili obaj, żadną literą dziedziczki łopienickiej nie uprzedzając, wyruszyć w Wolkowyskie zaraz po Godach, to jest po święcie Narodzenia Chrystusa Pana.

— Daj Boże — westchnął przytem pan Mokrzeczki — aby nam się udało skończyć z Bitowtami tak gładko, jak z wdową po Girgasiel

Pafcio drgnął i wynurzył z pomiędzy papierów twarz, naznaczoną wyrazem osobliwego, płacziwie-komicznego zdziwienia.

— Z kim, z kim, panie rotmistrzu dobrodzieju? — jakając się, spytał.

— Z Girgasiną, o granicę od Lisiego pagórka... Wytknięto ją raz nareszcie po sprawiedliwości i komornik kopce usypał. Nowa pomiara na mapę wniesiona, a mapa ot tam, na szafie...

Gdy Pafcio, mimo wyjaśnienia, nie przestawał powiekami mrugać i płacziwie uśmiechać się, cześnik rzucił niecierpliwie:

— Zapomniałeś o tem, Pafciu-nieboże?

— Com miał zapomnieć! Toć sam krzyżyki kreśliłem świadkom, pisma nieumiejętnym.

— Więc czemuż się dziwujesz?

— Czemu? A oto temu, że pan rotmistrz dobrodziej uważa sprawę za skończoną...

— Samżeś widział, że kopce sypano.

— Ta i cóż! Kopce rzecz ludzka. Można je usypać — można i rozsypać.

Pan Mokrzeczki skrzywił się.

— Atl... — z wyraźnym gniewem mruknął.

I zaczął bębnić palcami po stole.

Mleczek stulił uszy — twarz wnurzył napowrót w stare papierzyska. Rezydentom gniew pański niebezpieczny, jak grzmoty rakowi.

Przydłuższe milczenie, jakie zapanowało, przerwał nagle umorusany chłopiec z kredensu, który, fartucha nawet nie odpasawszy, do kancelarii wpadł i wrzasnął:

— Jenerał jedzie!

Porwie się pan cześnik, jakby go co podrzuciło — do otwartego okna skoczy...

— Zamykać wrota!... Ludzie pod dach!... — padła energiczna komenda.

W momencie wrota zostały zatrzaśnięte i kołem podparte; dziedziniec i całe obejście folwarcze opustoszały.

Zamknął i pan Mokrzecki okno — na domowników zaś zakrzyknął, aby nikt nie ważył się wyglądać i nosa na szybie rozpląszczać.

Cisza stała się odrazu taka, jakby we dworze i na folwarku wszyscy ludzie, jeśli nie pomarli, to — posnęli.

Aż tu, niewiele poczekawszy, na drodze, co się wifa płasko a kręto, widna ze dworu, jak na dłoni, ukaże się wśród szarugi jesiennej kałamaszka, w konia jedynaka zaprzężona.

Na bryczuszce, człowiek także sierota, dachą włosistą od deszczu nakryty i kopie siana — jeśli nawet nie stercie mierzwy — podobny.

Przed wrotami zatrzymał się koń, człowiek się wygramolił. Koń parsknął, grzywą i ogonem wstrząsnął, zrzucając z siebie gęste krople wody deszczowej; człowiek, w tym samym celu, pozbył się przemokłej burki i wierzchem dłoni wycierać ją wielkie, białe, obwisłe wąsiska, które mu połowę oblicza zakrywały.

Był to mężczyzna stary już, wysoki, chudy, nieco przygarbiony, w czarnym, skromnym kontuszu i w takimże, welnianym pasiku, który luźno wisiał mu na brzuchu, nieosobliwe pełności onego wystawiając świadectwo.

Przystąpił ów chudziaczek do wrót i otworzyć je spróbował — mina jego wszakże wyraźnie mówiła, że to czyni tylko *pro forma*. Na chwilę nawet nie przypuszczał, że się te wrota gościnnie przed nim rozewrą.

Nie rozgniewał się, nie zdziwił nawet — ziewnął jeno szeroko i w kieszenie kontusza ręce głęboko zanurzył. Z jednej wydobył okulary w oprawie ro-

gowej, którymi zaraz czerwone (od zimna zapewne) nosisko osiodłał; z drugiej — blaszany kałamarz z piórnikiem. Potem wyciągnął z zanadru arkusz papieru i, rozłożywszy go, wylazł z onym na duży kamień, nieopodal leżący.

Cześnik, który się tym manipulacjom z głębi kancelarii przypatrywał, za boki się brał od śmiechu. Mleczko, nie śmiąc przy gospodarzu wesółości swej folgować, parsknął jeno, jak kot, rękawem usta zasłaniając.

Tymczasem „jenerał“, na wyniosły posterunek personę swą dźwignawszy, wytknął przed się papier, ręką prawą groźnie potrząsnął i jął głośno czytać, a raczej na całe gardło krzyczeć, ku czterem stronom świata kolejno się obracając.

Mimo zakazu pana Mokrzeckiego, ten i ów z czeladzi, zwłaszcza z ciekawych niedorostków, nos z za węgla wyściubiał — ale wówczas jeno, gdy mówca plecyma był doń zwrócony. Zaledwie jednak ów zmienił pozycję, wszystkie nosy natychmiast zniknęły i przed obliczem jeneralskiem martwa rozpościerała się pustka.

Wykrzyczawszy się, zląkł „jenerał“ z kamienia, papier na płocie rozpostarł i z wielkim trudem coś tam na nim piórem swem nabazgrał. Markotny był, raz po raz z deszczu się otrząsał i melancholijne rzucił spojrzenia to na konika swego, z obwisłym łbem dygocącego na słocie; to na dwór okazały a nieprzystępny, z którego kominów dym gęsty buchał, świadcząc o przygotowywanej, obfitej wieszczerzy...

Wreszcie ręką machnął, jakby mówił: „Ha, głową muru nie przebijesz!“ — i z rezygnacją do wrót przystąpiwszy, wetknął w one swój papier, we czworo złożony.

Obowiązkom urzędowym stało się zadość —

a że sprawa nie poszła, jak należy, temu już jego jenerańsko-woźnińska persona winna nie była.

Konik załośnie zarżał — uczyniłby to samo i jego pan, gdyby umiał. Wytrwał jednak w rezygnacji i, tłumiąc żal w sobie, konika z dryndylką odwiódł w bok, pod drzewa wysokie, gdzie przerzedzone już jesienią listowie dawało jaką taką przed deszczem ochronę.

Tam, wydobywszy z bryczuszki worek z owsem i sakwy z prowiantem, jał przygotowywać posiłek dla konika i dla siebie.

W tymże momencie pan cześnik pacholika przywoła i rozkaże:

— Zbiegnij, duszo, bokiem, wedle lamusa, do starego Hryniewieckiego, co za wrotyma moknie. Przelazem przy rzeczulce, przez sad i przez ogród, do dworu go przyprowadź. Kobylkę do stajni wziąć i owsem dobrze nakarmić. A papieru, co tkwi we wrotach, wara palcem tknąć, bo — sto batów i na tydzień do lochu!

Niebawem stary woźny, *alias* „jenerał Jego Królewskiej Mości” powiatu lidzkiego, witał się z panem cześnikiem wdzięcznie i kordjalnie, acz bez zbytniej submisji — Hryniewieccy bowiem są dobrą szlachta, pieczętują się Przegonią i niwczem Mokrzeckim nie ustępują.

Gwarno i wesoło było przy wieczerzy, bo stary wyga sądowy miał wiele do opowiadania, a jego trybunałskie awantury były nieraz tak ucieszne, że cześnik, chandry swej zabywając, za brzuch trzymać się musiał od śmiechu. Sekundował też gościowi pan Pafnucy, „z cicha pęk”, rzadko głos zabierający, ale którego głowa była, jak lamus, cennymi i ciekawymi rupieciami napchana.

Długo zabawiali się ichmoście wesołym dyszkursem, któremu nie bez zajęcia a profitu i mło-

dziez się przysłuchiwała — tymczasem papierzysko ono, wetknięte we wrota, na deszczu mokło i wicherem srodze było targane. Wyrwał je wreszcie i uniósł podmuch silniejszy, a utarawszy dowoli w błocie, cisnął do kałuży, gdzie marnie krótkiego dokonało żywota.

Przy stole żadnej o onem mowy nie było. Uniął jej pan cześnik z rozmysłem, a i jenerał, wiedzący, gdzie raki zimują, tak dyszkursem kierował, aby o ów obiekt, broń Boże, nie zahaczyć.

Dopiero przy ostatniej kolejce, gdy już od stołu wstawać miano, pan Mokrzecki, symulując ziewnięcie, tonem rzekomo obojętnym, zagadnie:

— A ów fascykuł skąd?...

I podkreślił zapytanie ruchem głowy w stronę wrót wjazdowych.

Dopiero stary Hryniewiecki z pasją splunie i, namarszczywszy się, rzecze:

— Skądżeby, jak nie od tej pohanej piniaczki, Girgasiny z zaścianka!...

Cisza po tem wyznaniu nastąpiła — cisza tak wielka, że głośnym wydał się w niej stłumiony a triumfujący śmieszek pana Pafnucego, choć ten, wesomości swej folgując, usta rękawem zatykał...

IV

— Ojciec przeor mocno w tym momencie *accupatus*. Przyjąć waszmości pana i dobrodzieja nie może.

— Sprawa moja krótka a pilna. Sumę przywiozłem, którą świętej pamięci małżonka moja na klasztor ojców wielebnych zapisała.

— Ubożuchny jest nasz klasztor i posłów takich z kontentacją niezmierną przyjmuje. Wszelako ojciec przeor *nullo modo* widzialnym być teraz nie może. Chyba przeto waszmość pan i dobrodziej dłuższą chwilę na jego przewielebność oczekiwać zechcesz.

— Pilno mi jechać dalej, ojciec wielebny. Przed nocą wyruszyć radbym, a dzień w styczniu to jeno mignie...

— Wążąc w sercu wielką *necessitas* braciszków klasztornych z niemniejszą estymą, tak godnej personie należną — nie widzę, niestety, sposobu wybrnięcia z tego labiryntu...

— Czy ojciec przeor w chórze zabawiony? Czy z szafarzem lub piwnicznym dłuższą odbywa naradę? A może — *quod Deus avertat!* — niedyspozyt?

— Ni to, ni tamto. Jego przewielebność w tym momencie — Dzieciatko kołysze.

— Pan Mokrzecki wytrzeszczył oczy na bra-

ciszka, który, nieświadom wywołanego przez się zdumienia, bawił się niewinnie wiszącymi na habicie ogórkami.

— Dzieciatko?... — wykrztusił głosem prawie gniewnym, jakby podejrzewał, że zeń żarty sobie stroją.

Zkolei zadziwił się braciszek...

A gdy tak obaj stali, wpatrując się w siebie rozszerzonymi nad miarę oczyma, umiłyłował ich towarzyszący cześnikowi pan Pafnucy. Zwyczajów bernardyńskich świadomszy, odrazu zrozumiał, o co idzie.

— Wielce świątobliwa to zabawka... — wyrzekł, głowę nisko pochylając. — Radość z niej w niebiesiech, a na ziemi zbudowanie dobrym i wierzącym.

Przytaknął głową braciszek — on zaś, zwrot wydworny czyniąc, dokończył:

— Czemużbyśmy przecie i my uczestnikami onej świętości być nie mogli? Toć, dzięki Najwyższemu, nie Żydzi jesteśmy, ani insze pogan!...

Miło uśmiechnął się braciszek.

— Byłoby nieprzystojnie, i owszem całe po barbarzyńsku, oponować waszmości panu i dobrodziejowi. Przed tymi, co są *dona ferentes*, wszystkie drzwi stać muszą otworem. Więc, jeśli wola waszmościów panów i dobrodziejów, proszę za mną. Ale śpieszyć nam trzeba, już bowiem śpiewy słyszę.

Poprowadzili ich długim, ceglami wyłożonym korytarzem, gdzie po ścianach żarliwiec jakiś, pendzlem władający, wymalował całe szeregi nabożnych alegoryj, najzatwardziały serca zmiękczyć mogących — z niezmierną profuzją barwy krwistoczerwonej i farbkowo-niebieskiej.

Weszli do wielkiej komnaty, huczącej śpiewem chóralnym, i zatrzymali się w progu — olśnieni.

Ukośne promienie zimowego, a przecie jaskra-

wego jeszcze słońca, wpadające przez zakratowane okna, mieszały się ze światłem mnóstwa świec woskowych i lampek, kołyszących się na srebrnych łańcuskach—a także z blaskiem altembasów, aksamitów, jasnych, srebrem i złotem szytych makat oraz perskich kobierczyków.

Dym ambry i innych, w trybularzu palonych wonności, niebieską chmurą w powietrzu wisiał.

Na środku komnaty stała kołyska. Przed kołyską, w pół okręgu koła, klęczało całe zgromadzenie, wszyscy *patres* i *fratres*, z płonącymi świecami w rękach. Za nimi, oraz z drugiej strony kołyski, również na klęczkach i również ze świecami, cisnął się lud pobożny—nie pospółstwo wszelako, lecz ichmoście, jejmoście i jejmościanki, bliżej z klasztorem związani, tak z miasteczka, jak i z dworów okolicznych.

Kołyska była taka, że i królewiczby się w niej przespał—w koronki cieniuchne spowiła, wstęgami jedwabnymi fruująca, puchem wysłana. Jeszcze ją cne ręce zamożnych dobrodziejek klasztoru sznurami koralu i pereł obwiesiły i w mnóstwo splendorów bogatych przybrały.

Wśród koronek, wstąg i świecideł klejnotnych, na poduszecze puchowej, pod aksamitną kołderką, któż to spoczywa w giezłeczku batystowem, rumianiuchny, jak najdostalsza renetka, z niezmrużonemi błyszczącemi, jak kryształ, oczętami, w nimbusie złotych, jedwabnych, jakby słońcem prześwieconych, włosków?

Jezusek spoczywa maleńki, Dzieciątko Boże *in effigie*, figurka przenajcudniejsza, z wosku misternie wyrobiona, wielkości przyrodzonej, farbami wybor-nemi umalowana, mająca w żrenicach wielkie, brylantowe solitery, przez jaśnie wielmożnego wojewodę *ad hoc* klasztorowi wypożyczone.

Gdzie Dzieciątko, tam być musi i Matka... Jakóż stoi u wezglówia Najświętsza Panienka, *ad instar* wielkiej damy, któraby i na królewskich pokojach rum wywołała.

Gdyby nie mała, pozłocista koronka, na samym wierzchołku sutego, na drutach nastrzępionego koronetu nasadzona, łacnoby kto wziął Matkę Bożą za wytworną kasztelanową albo wojewodzinę, „w gości” jadącą. Bławatna na onej sukni barwy słomkowej, z wielkie bukiety róż ponsowych i bzu białego, z rękawami krótkimi, do których przyszyto sowite, koronkowe, do samej pięści sięgające angażanty. Ztyłu sukni, od karku poczynając przez całą długość figury, idzie fałda wydatna—jak to zawsze bywa przy tego rodzaju mantaszustach, szamerlakach czy szlomprach, bo trudno wszystkie nazwy stroju białogłowskiego zapamiętać. Nie brak także długiego na dwa łokcie ruchu, nowomodnie ogonem nazywanego. Na piersi, do połowy odkrytej, chusteczka leży, na krzyż spięta, z leciuchnej, jakby pajęczej, złotem i srebrem dzianej, tkaniny. Piękne w uszach wisiorki i na rękach manele skrzą się blaskiem drogich kamieni.

Obok Bożej Rodzicielki, wspiera się na lasce wysokiej dostojny starzec, z białą, jak śnieg, brodą, w bogatych, jedwabnych, wesołej barwy, szatach, kroju wszakże starożydowskiego. Święty Józef to jest, nieodstępny Najświętszej Panienki i Dzieciątka Bożego towarzysz.

Ledwie pan cześnik z rezydentem próg przestąpili, zaraz im sługa kościelny świece zapalone podał. Ukłękli z onemi pobożnie i ciekawym wzrokiem przyglądać się jeli obrzędowi, który był całę ekstraordynaryjny.

Któż to bowiem czynność piastunki przy kołysce sprawował i ostrożnie, z macierzyńskim iście

afektem, onę kolebał? Oto we własnych personach: ojciec przeor i ojciec gwardjan.

Kłęczeli po obu stronach kołyski, wzajem ją ku sobie popychając i tworząc figurami swemi prawdziwą antytezys: przeor dorodny i czerwony, jak ćwikła, tuszy, nawet na bernacha, zdumiewającej; gwardjan zasie chuderlawy i żółty, jakby się w szaranie wykapał.

Gdy już ono kolebanie moment dłuższy trwało, najprzewielebniejszy oczy wzniesie do powały i zaintonuje kolendę. Głosem cale cienkim i zgoła nie takim, jakiego po takowym olbrzymie można było oczekiwać, zacznie:

— A cóż z tą Dzieciną będziemy czynili,
Pastuszkowie mili, że się nam kwili?

Odpowiedział mu natychmiast chór, do którego i cześnik z rezydentem głosy swoje dołączyli:

— Zaśpiewajmy Mu wesolo
I obróćmy się z Niem wkoło —
Hoc, hoc, hoc, noc!

Niezbyt składnie poszła ta pierwsza strofa — ile, że szewiec pewien z miasteczka, kęs sobie podpiwszy, melodię z niewłaściwej wziął nuty, a nosa, tabaką zapchanego, oczyścić zaniedbawszy, iście klarynetowym beczał głosem.

Nie było czasu na korekturę; strofa następna popłynęła tymże kształtem, co pierwsza. Przeor zaczął *solo basso*:

— Czy bez Matuleńki płacze Dziecina?
Więc Ją do miłego zaprosmy Syna.

Brzmiało to na podobieństwo inwokacji. Więc odezwą się zaraz żałośnie nawoływania — przeważnie białogłowskie dyszkanty:

— Mama! Mama! do Dziecięcia!
Utul tego płacz Panięcia!
Ma, ma, ma, mal

Były te wołania haniebnie czułe i roztkliwiające — nadewszystko ostatnia przyśpiewka, w której zdało się niejednemu słyszeć kwilenie dziecięce.

Jaki-taki nos wytarł z hałasem, aby się płaczu uchronić — wszystkie zaś oczy wbite były w Przenajświętszą Paniękę, jakby Ją do spełnienia macierzyńskiej powinności obligując. Ona stała sztywno, boć trudno kukle woskowej z miejsca ruszyć; brylantowe wszakże żenice ekstraordinaryjnie błyszczwały, — łzami, rzekłby kto, nabrzmiałe...

Ale ów smętny afekt trwał niedługo. Poweselała cna kompanja, gdy przeor raźnie zakrzyknął:

— A my Pacholęciu w dudki zagrajmy
i na piszczałeczkach rozweselajmy...

Dopieroż hukną wszyscy z niemalem ukontentowaniem:

— Li-li-li-li, moje dudkil
Skacz, Robaczku nasz malutkil
Li, li, li, li!

Aż tu i kapela klasztorna, na chórk ulokowana, a tego momentu wyczekująca, urznie *fortissimo*, aż szyby zabrzęczały i Dzieciątko w kołysce drgnęło... Flety i klarnety, oboje i pikuliny zaświegotały rozgłosnie, niby ptaszki w gaju o majowym rozświecie.

Wesołe „li-li” dzwoniło długo w powietrzu, napelniając wszystkie kąty izby i wszystkie załomy sklepienia, aż wreszcie ścichło i jakby roztajało, pozostawiając w duszach smutek a żal...

Po odśpiewaniu kolendy, przeorowi wstać wypadało z kłęczek — łacniej bywa przecie niekiedy rzecz takową pomyśleć i wymówić, niż wykonać.

Podsadzili się pod jego przewielebność: zakryśtjan i organista, ale gdzie! — tyle jeno, że mu habitu pod pachami naderwali. Posunie się przeto

z pomocą imćpan Mokrzejki, wezwawszy ku posiłkowi sąsiada swego, męża z obliczem statecznym, choć, jak się później (nie bez zawstydzienia niejakego) okazało, człeka profesji rzeźnickiej.

Samoćwierz, *unitis viribus*, dobrze się przy tem zasapawszy i napociwszy, dźwignęli ich moście on kolos przewielebny w górę i na rozdanych nogach ustawili.

Stęknął przeor; chustą z rękawa dobytą, czoło otarł, głęboko odetchnął i do adherentów swych z wdzięcznym obrócił się uśmiechem. Potem, głosem nie nazbyt grubym, odmawiać jął modlitwę, do okoliczności zastosowaną.

In tractu onej modlitwy, Dzieciątko Boże kolebał ojciec gwardjan, z kolan nie powstając.

Zkolei, podano przeorowi trybularz, a on nim długo, na wszystkie cztery strony, machał, napędzając izbę wonnym, niebieskim dymem. Dopieroż zaczęto kichać, grubo i cienko, strzeliście i tak, jakby na panewce spaliło—dym bowiem był gryzący i srodze w nosach wiercił.

Wszelako kichała jeno strona świecka, wszystkie zaś nosy klasztorne uroczyście milczały — jako że *abusus* tabakowy już je był na wszystkie aromaty znieczulił.

Po krótkiej benedykcji i aspersji, gdy już kropisty deszcz wody święconej obficie zmoczył podgolone lub całkiem gołe łby szlacheckie i mieszczańskie—porwali się wszyscy z kolan i hałaśliwie do wyjścia cisnęli.

Nabożna zabawka była skończona — powtórzyć się zaś nie miała, aż dopiero za rok calusieńki.

Pan cześnik posunął za przeorem do zakrystji, aby zaraz, gdy się ów z szat pontyfikalnych rozbierze, sprawę załatwić i w dalszą drogę jechać. Na noc wyruszyć zamierzał—śpieszno mu bowiem

było do córki najstarszej, która w klasztorze Pannien Benedyktynen nowicjat odprawiała, do klasztoru zaś onego było mil ośm z ogonem.

— *Festina lente*, dobrodzieju mój—cienko a przeciągle zaśpiewał *reverendissimus*, gdy przełożen pana Mokrzejkiego wysłuchał.—Za przywiezione dukaciki do stóp dobrodziejowi memu upadnę (cześnik zadrzął na myśl, że to *in effectu* stać się może); Msze solenne *pro defunctam* zaordynuję; cne imię Mokrzejkich na diamencie serca wyrznę i do końca życia konserwować będę—ale klasztor zamknąć kazałem i nikt już stąd, aż do dnia jutrzejszego, nie zostanie wypuszczon.

Pan cześnik jął stawiać swoje racje — przeor słuchać ich nawet nie chciał.

— Ani siostrzyczki wielebne nie palą się, ani nikt dobrodzieja mego nie goni, ani *salus Reipublicae* od tej podróży zawisł. Klasztor, acz ubożuchny, postara się, aby gość tak dostojny miał co na ząbek położyć. Jest-ci tu jezioro, jest i loszek, niewieliczki wprawdzie, lecz i niepróżny — przy piątku, znajdzie się dla dobrodzieja mego rybka, która i pływać w czem będzie miała...

— Konie mam swoje...—bronił się cześnik nieco już miękcej.—Woźnica i pacholik na mrozie ziębną...

— Koniki dobrodzieja mego już od godziny chrupią klasztorny owiesek; ludzie oddawna pod dachem, z czeladzią naszą ciepłem piwkiem się zagrzewają...

Cóż było czynić! *Reverendissimus* miał tak przekonywający sposób mówienia — przytem swą kolosalną figurą drzwi zasłaniając, tak całkowicie odwrót uniemożliwiał...

Został cześnik w klasztorze — i nie pożalował tego. Uraczono go wieczerzą, jakiejby i doma nie znalazł, a gdy z Pafciem udał się na spoczynek,

stwierdził z rozkoszą, że poczciwi ojcowie nietylko o pierzynie, ale i o puchówkach dla swych gości nie zapomnieli.

Spał wyśmienicie — sny zaiste miał wielce osobliwe, choć nie nazbyt przykre.

Śniło mu się, że na cudnym, wyłaczanym okręciu przez morze tokajowe żegluje; pobocz zaś, z prawej i lewej strony, równo z nim, płyną dwa olbrzymie delfiny i ów okręciak łagodnie kolebia...

Jeden z delfinów miał głowę ojca przeora, drugi — gwardjana.

V

Otrząsnawszy śnieg z obuwia, rezolutnie wkroczył pan Mokrzecki do przedsionka klasztornego.

Wiedząc, że u Panienek Wielebnych reguły Świętego Benedykta popasu nie otrzyma, zostawił sanie i całą kalwakatę podróżną w gospodzie i samopas do klasztoru podążył.

Przedsionek był otwarty. Szwędały się po nim baby z garnuszkami pod fartuchem, upatrując miedzianego szeląga albo kilku łyżek strawy gorącej. W głębi, przystępu do klasztoru broniła wielka, posępna, żelazem okuta furta.

Obok furty, na grubym sznurze, wisiał spory krzyż z drzewa czarnego. Nieco dalej, na wysokości głowy ludzkiej, była w ścianie mała, kwadratowa wnęka, zakryta od środka podziurawioną blachą.

Pan cześnik najpierw krzyż ucałował, następnie silnie nim szarpnął. W oddaleniu rozległ się stłumiony głos dzwonka.

— Do kogo?... — spytano po chwili z poza blachy dziurawej.

Głos pytającej nosowy, bezdźwięczny, dziwnie był podobny do kaczego.

— Niech będzie pochwalony... — uchylił przylbysz czapki przed blachą. — Do Hanusi, siostrze wielbna!

Blacha odkwakała:

— Na wieki wieków... Nijakiej Hanusi tu nie-masz...

— Do Hanusi Mokrzejkiej — poprawił się gość.

— Hanusi Mokrzejkiej także nie-masz.

Cześnik odchrząknął, wyprostował się, wąsa podkręcił.

— O jejmościance cześnikównie i rotmistrzównie powiatu lidzkiego mówię, siostró wielebna — z akcentem dumy niejakiej wyrzekł.

— Nijakich cześnikównien i rotmistrzównien nie znamy — brzmiała obojętna odpowiedź. — Wszystkiesmy równe.

Cześnika ogarnęła taka pasja, że chciał kwaczącej babie język pokazać. Bo jakże? — zawzięta się udawać, że go nie rozumie! W ciuciubabkę z nim gra, czy co?

Pohamował wszelako gniew i nawet twarzą go nie ukazał, wiedząc, że jest z poza blachy śledzony.

Poprzestał na uwadze:

— Z niemłą dezolacją spostrzegam, że w zakonie Świętego Benedykta nowe nastały obyczaje. Już tu dziś nawet ojcom z córkami widzieć się nie godził!

— To waszmość ojciec? W takowym razie, proszę przejść do kraty. Sama ksieni rozmówi się z waszmością. Jam jeno furtjanka.

Więc przeszedł pan Mokrzejcki do izby obocznej, gdzie w głębi, całą niemal ścianę zajmowała krata żelazna.

Była to krata podwójna i tak gęsta, że przez nią oblicze osoby mówiącej ledwie można było rozeznąć.

Ksieni ukazała się natychmiast i zaraz z gościem w obszerny wdała się dyskurs.

Przeorysza Panien Benedyktynek była osobą

rezolutną, sciencji i eksperjencji pełną. Równie ją zajmowały sprawy zakonne, jak świeckie; tyleż była biegła w polityce, co w teologii.

Zaraz znalazły się na placu: wojsko i trybunał, hetman wielki i hetman polny, prymas i kanclerz — ba! dotarła pani matka do króla jegomości oraz wszystkich koronowanych głów i główek.

Kręcił się pan cześnik, srodze temi kwestjami sfatygowany — ile, że nie rozprawiać *de publicis* przybył, jeno dla widzenia się z córką ukochaną.

Wreszcie i do tego obiektu przystąpiono.

Ale na pierwsze wspomnienie o Hanusi, matka przewielebna zakrzyknęła:

— Ależ dobrodzieju miłościwy! Już waszmości u furty powiedziano, że Hanusi nie-masz. Nie-masz tu, nie-masz gdzie indziej. Jeno wspomnienie po niej zostało.

Gdy cześnik wielkie zdziwienie oczami wyraził — dodała:

— Hanusi Mokrzejkiej nie-masz — jest jeno siostra Sulpicja. Takowe bowiem imię córka waszmości w zakonie przybrała. Jeszcze jej ono *de jure* nie przynależy, gdyż dopiero postrzyżona, a do obłóczyn jeszcze daleko — wszakże już do onego przywykła.

Zjawiała się niebawem u kraty i cześnikówna — której przybladłe od postów liczko i główka, kosy obfitej pozbawiona, srogi żal w sercu ojcowskiem zbudziły.

Trudno było rodzonym porozumieć się przez kratę, dozwolono przeto panu Mokrzejkiemu do parlatorjum wstąpić.

Hanusia — gdyż mimo wszystko, ojciec to imię jej pozostawił — wcale nie przykrzyła sobie w klasztorze. Zapytywana, czy nie ma chęci wrócić do życia świeckiego? odpowiedziała *negative*.

— Na świecie imaginują sobie, że klasztor to grób — mówiła uśmiechnięta. — O jakże się myła! Prawda, że są godziny modlitwy i umartwienia; że gdy dzwonek ozwie się na *silentium*, już żadnej ani mru-mru nie wolno... Ale ileż jeszcze czasu pozostaje na kontentację, ba! nawet na trzpiotanie się. Uręczam cię, panie ojcze, że podczas brykamy, jak kozy...

Poprawiła się:

— Jak jagnięta!

Cieszył się pan cześnik dobrą fantazją swej córki — ile, że obawiał się, czy z racji swej niezmiernej żywości, w klauzurze klasztornej wytrwa. Wokację dziewczyna od małości miała; wiadomo wszelako, że duch świecki szklany, na próbach nowicjatu łatwo się tłucze.

Ale w błyszczących oczkach Hanusi znać było, że sobie w nowym trybie życia podobała, i że gdyby jej nawet kłatkę klasztorną otwarto, jużby z niej nie wyfrunęła.

Dopytywała o młodsze rodzeństwo; zapewniała, że za wszystkich paciorki odmawia — przyniosła wreszcie całe pudło poświęcanych krzyżyków, szkaplerzy i obrazków, przeznaczonych dla domowników.

— Nie imaginuj sobie, ojczulku dobrodzieju, że my tu jeno na rekolekcjach czas trawimy. Ach, gdybyś wiedział, jakie cudne wystroiliśmy jasełka! W refektarzu stoją, ale zakryte, bo to siurpryza dla panny matki. Takbym chciała, żebyś je obaczył. Ale to trudno; nasza reguła temu przeciwna...

Zafrasowała się panienska i główkę opuściła, szukając sposobu wybrnięcia z trudności.

W tym momencie do parlatorjum weszła ksieni.

Za nią dziewczka klasztorna przydzwigała ogromną tacę z przekąskami. W kilku kryształowych, pięknie

rzniętych, flaszach, mieniły się barwą rozmaitymi słodkie nalewki na farfurkach, w kwiaty malowanych, leżały pierniczki, suche śliwki na patyczkach, rybki wędle i konfitury.

Przełożona, gościnnie krzątając się, prosiła:

— Suplikuję waszmości pana dobrodzieja nie gardzić klasztorną chudobą. Zanim kucharz wieczrę uwarzy, na głodny ząb i to się przyda.

Przysuwać ją flaszę.

— Tu jest kalmusówka, na korzeniach ajeru. Tu dzięgielówka, bardzo pomocna na zgęszczone humory. Tu znowu „balsam anielski”, melankolję, cholere, złość i grzeszne myśli odpędzający. Przyrządza go matka Prowidencja, a przepis w osobliwym trzyma sekrecie. *Miraculose* działa — samam — doświadczyła.

Pan Mokrzecki, kłaniając się i tłustą łapkę żyznej mniszki obcałowując, napił się kalmusówki, poprawił dzięgielówką, oddał hołd należny „balsamowi anielskiemu”. Zbudziło to w nim wściekły apetyt i ani się spostrzegł, jak doszczętnie wymiół wszystkie farfurki. Ocalał jeno pierniczek lukrowany, który ksieni ofiarowała Hanusi.

Bardziej wszelako od pierniczka ucieszyła panienkę wzmianka o wieczery. Pan ojciec otrzymał wyraźną inwitację, co było nielada faworem. Jeśli dobrze pójdzie, będzie mogła pochwalić się przed rodzicem jasełkami, które w znacznej części jej były dziełem.

Pan cześnik, mając usta pełne słodkości, wstał i zęgnąć się począł.

— Dokądże to waszmości dobrodziejowi memu tak śpieszno? Nie lepiejże tę godzinę z córusią przebaraszkować? A i kościółek klasztorny w gościnę zaprasza. Pusto tam będzie, a na osobności najłatwiej duszy wzbić się do nieba.

— Ekskuzować się muszę, matko wielbna. *Non solus sum* — i w tym momencie, gdy ja tu w delicjach się rozpływam, towarzysz mój u niewiernego Joska czy Jankla chandry z nudów dostaje...

— Któż to zacz? — zagadnęła ksieni, a na jej białem, lekko sfałdowanym czole odmalowało się zakłopotanie.

— Imć pan Pafnucy Mleczek, przyjaciel mój i domownik — przedstawił cześnik nieobecnego.

— *Spero*, że mąż równie poważny i stateczny, jak waszmość pan dobrodziej.

— Powagę onego, matko wielbna, asekuruje siwizna. Niestateczny, towarzyszemby moim nie został.

Hanusię korciło wmieszać się do rozmowy, lecz regułę przypomniawszy, zagryzła usta i jeno przeoryszę w rękę pacnęła.

— Powiedzieć coś chciałaś, dziecko — mów zatem... zezwoliła uprzejmie ksieni.

— Rzec jeno chciałam, panno matko, że pan Pafnucy dobrodziej wyniańczył mię i na kolanach wyhuśtał, gdym była tycia... Potem nieraz na trawie przewracał ze mną koziołki...

Zmieszała się i poprawiła:

— Jagniątko, rzec chciałam...

Reguła klasztorna najsurowiej wzbraniała używania wyrazu „kozioł” — któż bowiem nie wie, że w tym zwierzu nieczystym *diabolus* najochotniej sobie *locum terrestre* obiera.

Pan Mokrzecki kąsał się w język, aby się nie rozśmiać. Ksieni zachowała niezmaconą powagę.

— Za cóż godny kompan waszmości pana dobrodzieja na żydowskim wikcie zdrowie ma psować? Jeszczeć się w klasztoru naszym kromka chleba dla onego znajdzie. Więc, jeśli łaska wasz-

mościów dobrodziejów naszych, obu na skromną wieczerzę klasztorną inwitujemy.

Uradował się pan cześnik z takowego obrotu rzeczy; jeszcze większą kontentację miała cześnikówna.

Gościa uprzedzono, że miejsce, pospołu z towarzyszem swym, zajmie w kąciku, dla księży świeckich przeznaczonym, gdzie kompani dotrzymać im będą kapelan klasztorny.

Niziuchnym ukłonem afekt swój wyraziwszy, pomknął pan Mokrzecki do Pafcia, na łonie Izraela medytacje odprawiającego.

Na samym krańcu miasteczka, znajdował się ów zajazd żydowski i pan cześnik przez wielkie zasypy śniegu kopać się musiał, zanim do onego dotarł.

Docierając, już z odległości kilkuset kroków zmiarkował, że się tam dzieje coś ekstraordinaryjnego.

Karczma trzęsła się, jak podrażnione mrowisko; okno w onej, mimo mrozu, było wybite; gwałty, krzyki, lamenty rozlegały się dokoła.

Czerń żydowska, tumultem zwabiona, pchała się drzwiami do środka; w tymże czasie wybitem oknem wylatywały, raz po raz: lisie czapy, zajęcze futerka, żydowskie chodaki, wreszcie całe żydki, wierzgające w powietrzu cienkimi, w brudnych pończochach, łydkami.

Wewnątrz karczmy tała się jakowaś moc burzliwa a nieposkromiona, która wszystko, co przez drzwi weszło, natychmiast oknem wymiatała.

Nieżartem zafrasował się pan cześnik, odrazu domacawszy się: kto jest onego tumultu *auctor*. Dla pana Mleczi chandra bywała zawsze *periculosa* — nądewszystko, gdy miał podówczas trunku grzesznego obfitość. *In ordinario*, człek był sta-

teczny i trzeźwy; wina pod miarę i raczej mało, niż wiele, zażywał — gdy wszakże okazja się zdarzyła i ogniste humory w sobie zapalił, furjom pogańskim, lwom i żubrom rozwścieczonym stawiał się podobien.

— Trojniak to zdziałał, ani chybi! — pomrukiwał cześnik, kroku przyspieszając. — Żyd, na własne nieszczęście, barylkę tęgiego miodu z piwnicy wytoczył. Uręczam, że już do cna wysuszona.

Zbliżającego się cześnika żydostwo hurmem otoczyło, całując po rękach, skarżąc się, biadając. Ale, że wszyscy razem mówili, nic wymiarkować nie mógł.

Z trudnością przeciskając się przez tłum wystraszonych brodaczków, wszedł pan Mokrzecki do izby. Wszedłszy, — osłupiał. Leżeli tam pokotem żydy i żydowice, jęcząc, gwałtując, trzymając się za głowy, za boki, za nosy...

Na środku izby, niby Samson wśród pobitych Filistyńczyków, stał rozjuszony Mleczek, całkiem inny niż zwykle, zdyszany, spotniały, pianę z ust toczący.

Przed pogromcą korzyła się jedna z ofiar: żydówka z przekrzywionym czepkiem, trzymająca w obu rękach gęś, świeżo zarznąętą i do połowy oskubaną, ze zwieszoną, długą szyją, z której krew na podłogę kapiała.

Ławy, stoły i stołki były w izbie powywracane, świadcząc o wielkiej furji, a większej jeszcze krzepkości pana Pafnucego.

Łaska to jeszcze Boska, że gwałtownik karabeli u pasa nie miał, w saniach oną pozostawiwszy.

— Rotmistrzuniu!... Cześniczeńku!... — wykrzykiwał rezydent, idąc na spotkanie pana Mokrzeckiego, a zwykłej submisji na szczyt zapominając. — A bywaj, dobrodzieju! a pomóż!

W tymże momencie żydówka na kolana padła przed przybyłym, krwawiącego ptaka z rąk nie puszczając.

— Jaśnie wielmożny! Jaśnie oświecony panie! — lamentowała. — Sprawiedliwościów dopraszam się od jaśnie wielmożnego kasztelana!

— Co się stało? — dopytywał cześnik, srodze namarszczony, choć mu się na śmiech nie żartem zbierało.

— Pozwól, rotmistrzu dobrodzieju... — mówił Pafcio niezupełnie wyraźnie, na wywróconym stołku ciężko siadając — pozwól... iż tak rzekę...

Ale przerwała onemu żydowica, na całą izbę krzycząc:

— To jest gwałt, jaśnie wielmożny wojewodo! Ja tego gęsia od naszego rzezaka przyniosłam... Rzezak mnie jego na koszer zarznął — żeby un buł zdrów... A jeżeli się z tym krwim trochę talerza powalało, to jest o co tyle żydków zabijać?...

— Zabitych tu nie widzę... — zauważył pan Mokrzecki.

Żydówka wskazała na leżące dokoła ofiary.

— Niech uni sami powiedzą... Im samym jaśnie hetman fałszu nie zada...

— Aj!... Oj!... Aj-wej!... Zabił!... Ubił!... Na gołego śmierci zamordował!... — ozwały się zewsząd przeciągłe lamenty żydowskie.

Cześnik ręką nakazał milczenie żydówce i jej towarzyszom. Natomiast powołał do głosu stronną grugą, to jest pana Mleczkę.

— Ha, ha, ha! — piekielnie zaśmiał się ów — ta zbrodniarka śmie twierdzić, że na talerzu była krew gęsi!... Niech czmuci głupich oszustka! Nie zwiodły żydy sędziów sandomierskich — i mnie nie zwioda. W piekle poznam krew chrześcijańskiego dziecięcia, niewinnie zamordowanego.

— Niech trupem padnę! Niech szabasu nie do-
czekam! Niech moich dzieciów wielga choroba wy-
dusi! — jeżeli ja miałam nawet pomyślenie o takie
paskudztwo! — krzyczała żydówka, jedną ręką trze-
sąc nieszczęsną głę, drugą bijąc się w odkryte,
rozżamane piersi.

Porwał się Mleczek, jakby go bąk uciął.

— Słyszysz, rotmistrzu dobrodzieju? Ta poga-
ka śmie krew chrześcijańską paskudztwem miano-
wać! Hej, szabli! Hej, półhaka! Trzeba z tem tała-
lajstwem raz koniec uczynić!

— Aj-wej-mir! — wrzasnął chór leżących izraeli-
tów, i w momencie na nogi się porwawszy, do
ucieczki się miał.

— Stójcie — zażrmi pan Mokrzecki swym ry-
cerskim, rotmistrzowskim głosem. — Sprawa wyja-
śnić się musi.

— Co tu wyjaśniać, rotmistrzu? Żyda w łeb
i kwita. Zaraz mu się w ślepiach jasno zrobi.

Żydzi podnieśli na nowo takie lamenty, jakby
ich ze skóry obdzierano.

Cześćnik tupnął nogą, nakazując milczenie — po-
tem, do rezydenta swego przystąpiwszy, za ramię
go ujmie krzepko i w oczy bystro mu spojrzy.

— *Silentium!* — półgłosem, ale energicznie wy-
rzeknie. — Ustatkuj się waść, mości Mleczek, bo
ja na wioencje dalsze nie pozwolę. Wiadomo wa-
ści, jak Statut Litewski karze gwałtowników. Ja
sam waści przed *forum* sądowe pociągnę, jeśli bre-
werji nie poniechasz.

Rozindyczony rezydent naczupurzył się i oko-
niem chciał stanąć, ale pod mocą wzroku cześćnika
zmiękł.

— To czemu niedowiarki krew chrześcijańską
żłopia? — oponował, z mniejszą już przecie pewno-
ścią siebie.

— Ani oni są w tem *jure victi*, ani waść urząd
instygatorski reprezentujesz.

— Mogli w Sandomierzu niemowlęta zakłuwać,
mogą i tutaj...

— Jeśli im tego *ad oculos* nie dowiedziesz, ka-
lumnjatorem sąd cię obwoła.

Poskrobał się pan Mleczek po łysinie, która
parować zaczynała.

— Popełnili *infanticidium*, czy nie popełnili, a taki
zawždy zbrodniarze. Któż, jeśli nie oni, Chrystusa
Pana ukrzyżowali?

— Ja jemu nie ksiziował, *off majne munes!* —
zaklął się jeden żyd.

— I ja nie, ziebym tak ścięście do handlu miał!
— pośpieszył za tamtym drugi.

Trzeci usprawiedliwiał się głosem jęczącym:

— Zieby tak moje wrogi wiedzieli, jak ja nie
wiem, co to jest za interes!

Pasja znów w rezydencie wezbrała. Zacerwie-
ni się, porwie stołek i w żydów nim ciśnie.

— Ty, zbóju jeden — krzyczy — Chrystusowi
Panu ćwieki w przenaświętsze ręce wbijałeś! Ty
drugi octem i żółcią przenaświętsze usta poileś!
Ty trzeci Syna Bożego u słupa biczowałeś.

Nuż żydzi na kolana padać i krzyczeć:

— To jest fałsz! To jest plotka! ja wtenczas na
jarmarku we Mścibowie kozę sprzedawałem!

— Ja przysięgnę, co wtenczas po swojej Ryfce
na bosakach siedziałem!

— Ja świadki postawię, co wtenczas miałem
paskudnego wrzodu i wcale na bryczkie siadać nie
mogłem!

Krzyk powstał ogólny, harmider.

W tym momencie wyszedł z alkierza sam karcz-
marz — żyd tłusty, spokojny, zwykły kłótników
i warcholów rozjemca. Uciszyli się inni, — on,

zdjąwszy jarmułkę, pokłonił się do samych stóp pana Mokrzeckiego i poważnie a z submisją oświadczył:

— Dopraszam się łaski jaśniego kasztelana. Jaśnie wojewoda potrzebuje wysłuchać, co powie karczmarz, Icek Szkólnik. U mnie wsistkie bywają, więc ja wsistkie znam. Za tutejsze żydki ja ręczyć mogę, co uni tego interesu nie zrobiły. Uni są czyche, spokojne i patrzą jeno, gdzie tynfa zarobić. A jezieli jaśnie hetman chce wiedzieć, kto tego zrobił, to ja powiem. Tego zrobiły te paskudne bogate żydy z Wołkowyska — te apikojresy, co tref jedzą, krymków nie noszą i córki swoje po francuskiemu uczą. Uni do wsistkie łajdactwo zawdy gotowe.

Pociągnął pan cześnik wasa, czoło rozchmurzył i kazał wszystkim żydom, potłuczonym i „zabitym“, mądrego karczmarza i żydówki z gęsią nie wyłaczając, z izby ustąpić. Rezydentowi zasie swojemu zaordynował miskę śniegu, która wnet przyniesiona została.

Pan Mleczko musiał łeb gorący w on śnieg wnużyć, czemu gwoli sam cześnik oburącz karku mu nagiął.

Remedium pomogło. Ogniste humory wyparowały, statek powrócił. Wyrzeźwiał gwałtownik, skonfundował się i uciszył.

Gdy mu jeszcze, po zimnych okładach, kazał pan Mokrzecki barszczu dać gorącego z octem siedmiu złodziei, do całkowitej przytomności przyszedł.

— Panie rotmistrzu dobrodzieju — wyrzekł głosem ordynaryjnym, cale od poprzedniego inakszym — *mea culpa*, głupstwo się stało... trojniak winien, nie ja... Trzaby to jakoś ułagodzić... Wszystko zresztą *vanitas* — jeno mi o łaskę wielmożnego rot-

mistrza dobrodzieja chodzi, której utraty siarczyście się obawiam...

I całował cześnika w ramię, i pochylał się nisko, jakby za kolana objąć go chciał.

Nie dopuścił cześnik do niewłaściwej *inter pares* uniżoności, podniósł przyjaciela i po plecach poklepawszy, jowialnie rzecze:

— Na indulgencję moją, mości Pafciu, liczyć zawsze możesz, — wszelako bez pokuty się nie obejdzie. Na oną pokutę pójdziesz waść do klasztoru.

— Pójde, gdy każesz, panie mój i dobrodzieju. Radbym przecie wiedzieć: do którego?

— Innego pod ręką nie masz, jeno Wielebnych Panien Benedyktynek.

— Alboż panienki świątobliwe przyjmą do siebie starego hultaja?

— Przyjmą, jeno się, mój miły, przyodziej statecznie i resztę chmielu pozbadź. Za godzinę musimy już być u furty.

Nie wdając się w bliższe dociekania, pośpieszył Pafcio komendę rotmistrzowską wypełnić.

Wieczera u Panienek byłaby wyśmienita, gdyby nie to, że kucharz wszystkie potrawy zaprawiał nadmiernie kanarem. Słodka była nawet kura pieczona; słodkie było piwo, którem przy stole *ad libitum* traktowano.

Mleczko, który słodkości nienawidził jadł przecie i pił z rezygnacją, co moment oczy podnosząc do nieba, jakby mówić chciał:

— Przyjmij to, Panie, za ciężkie grzechy moje!...

Zresztą pomny niedawnych ekscesów, zachowywał się cicho i potulnie. Odpowiadał jeno na zapytania, i to półgębkiem. Cześnika to drażniło, ile, że w Pałciu miał jedyne przy stole kompana.

Siedzieli obaj, jakby w zagrodzie, którą od refektarza oddzielała przejrzysta ściana — właściwie krata z lat drewnianych, naukos się krzyżujących. Wygodnie widziało się przez nią wszystko, co się we wnętrzu klasztornej jadalni dzieje.

Przez czas wieczery cisza panowała tam wielka, przerywana jeno szczękiem naczyń i monotonnym głosem zakonniczy, odczytującej na wzniesieniu „Żywoty Świętych”. Ale natychmiast po wstaniu od stołu, podniósł się gwar niemały, głównie przez nowicjuszeki wszczęty. Pan Mokrzecki z kontentacją serdeczną rozróżniał w nim świeży głosik swej Hanusi.

Przyszła kolej na siurpryzę. Młode zakonniczki skupiły się dokoła przeoryszy, niby pszczoły przy swej królowej, i po rękach a ramionach całując, powiodły ją w głąbie, gdzie w dużej, głębokiej wnęcie, oponą z białego płótna zasłoniętej, kryła się owa niespodzianka.

Pono tej niespodzianki pani matka dawno się spodziewała; zdobywając się wszelako na *pia fraus*, poznać tego po sobie nie dawała.

Posadzono przeoryszę przed zasłoną, na krześle szerokiem; przy niej zasiadły starsze matki. Młodsze siostry i nowicjuszeki zbiły się nieopodal w oddzielną gromadkę.

Zaraz też najwyższa ze wszystkich Hanusia pociągnęła za sznurek. Zesunęła się opona i ukazały się, mnóstwem świec woskowych roziskrzzone jasełka.

— Aaaa!... — przebiegło westchnienie podziwu wśród starszyny klasztornej.

Samą rzeczą, jasełka były piękne. Figury, w połowie przyrodzonej wielkości, wypełniły całą wnękę. Miejsce główne zajmowało Dzieciątko Boże, leżące na sianie. Klęczała obok Panienska Najświętsza, wpatrzona w Nie, jak w tęczę. Staruszek Józef wspierał się na kij, a po obu stronach stały zwyczajne w takich okazjach bydłatka.

Bliżej widza umieszczono pastuszków oraz króle wschodnie. Do nich fantazja młodych autorek dodała: polskiego usarza w zbroi, senatora w delji karmazynowej, chłopka białoruskiego w łapciach i... żydka w lisiem futerku.

Gdy już się oczy starszych matek pięknem widowiskiem napasły, zasiadła przy małym organku siostra Marja od Krzyża i zagrała kolendę. *In tractu* tego, wół i osiel przyklekły, usarz jął poruszać skrzydłami, chłopiek czapkę zdjął z głowy, ży-

dek padł plackiem na ziemię, a mały Jezusek wyciągnął rączki do góry, jak to czyni każde dziecko, z matką swą igrające.

Jeno senator w karmazynach nie drgnął nawet i stał dumnie wyprostowany, — w czym się krył trefny *symbolus*.

Ledwie organek zamilknął, młode siostry wystąpiły naprzód i do przełożonej się zwróciwszy, zgodnemi głosami, z rzeźkością panieńską, zaśpiewały:

— Ej! po kolendzie, po kolendzie,
Niech wesola każda będzie, każda bądź!
Zaśpiewajmy i zagrajmy,
Jejmość ksienię powitajmy, —
Skrzyp, skrzyp, skrzyp, skrzyp... skrzyp, skrzyp,
skrzyp, skrzyp —
Skrzypca weźmy i wiole,
Ciesz, ciesz, ciesz, ciesz... ciesz, ciesz, ciesz, ciesz —
Cieszymy się dziś w pięknym kole.
Niech zabrzmie wesoło nasza melodia:
Wiwat nam Pan Jezus! wiwat i Maryja!

Tyle było w tym śpiewie serdecznego animuszu, iż, rzekłbyś, cały klasztor od onego odmłodził.

Topniało serce cześnika z radości; nadewszystko, gdy myślał, że jego pierworodna jest główną tej imprezy działaczką. Rezydent także się rozpląwał, nie okazując przecie tego po sobie.

Cóż dopiero, gdy siostra Marija od Krzyża, w muzykach wszelakich ćwiczona, ujęła skrzypce, nowicjuszka zaś pewna wiole, i ze śpiewem świątobliwych panienek zespoliła się melodia smyczkowych instrumentów. Iście anielski to był koncert.

Rozochociły się śpiewaczki i strofa następna zwawiej jeszcze poszła:

— Wszak to dziś kolenda, dziś kolenda,
Jejmość ksieni kolendę da, kolendę da.
Nie próżnujmy, ale strójmy,
Koncertujmy, nie kontrujmy,

W ba, ba, ba, ba... ba, ba, ba, ba —
W basy, dudy i cymbały;
Pa, pa, pa, pa... pa, pa, pa, pa —
Pannie ksieni będziem grały;
Be, be, be... be, be, be —
Będziem grać pospół,
Me, me, me... me, me, me — menuet wesoly!

Tu sama wiola ze skrzypcami ozwała się świecącą, taneczną melodią, dla której w każdej innej porze roku mury klasztoru byłyby zamknięte. Ale uroczystość Narodzenia Bożego i dni, które po niej następują, cieszą się i pod tym względem osobliwymi przywilejami.

Na zakończenie, jedna siostrzyczka, największa z całego zgromadzenia figlarka, udając głos panny matki, zaśpiewała sama jedna, — rzekomo w odpowiedzi na usłyszane gratulacje:

— Ej! tu zebrane, tu zebrane,
Siostry moje ukochane, ukochane,
Zabawcie się i zagrajcie,
I wesoło zaśpiewajcie.
Daj, daj, daj, daj... daj, daj, daj, daj —
Dajno winka wikaryjo,
Niech, niech, niech, niech... niech, niech, niech, niech —
Niech się siostrzyczki napija!.

Przeorysza, chustki z rękawa dobywszy, rzekomo nos wycierała, ale była to jeno symulacja dla pokrycia wielkiej do śmiechu ochoty. Tymczasem śpiewaczka powróciła do chóru i znów wszystkie młódki społem zakrzyknęły:

— Wiwat jejmość ksieni, która nam tak sprzyja!
Wiwat starsze panny, wiwat wikaryja!
Wiwat dobrodziejka nasza, panna ksieni!
Wszyscy się kłaniamy jak najuniżeniej.

Już było trudno i przełożonej utrzymać powagę. Gdy się nowicjuszki powtórnie do całowania jej rąk posunęły, powstrzymać się nie mogła, aby ich

nie szczypać w jędrne policzki, po plecach nie klepać, współ z nimi nie chichotać...

Rozradowało się i roztrzępotało całe zgromadzenie. A nie był to dziw żaden, zawždy bowiem weselość z czystem sercem chadza w parze.

Jakby na zamówienie, zjawiła się sługa klasztorna z wielką tacą, na której stała butla wina, koszyk pełen pierniczków oraz mnóstwo maciusieńkich kieliszeczków. W momencie wino zostało w one naparstki rozlane, każda z zakonnic swą szczupłą miarkę do kropli wysączyła, pierniczkiem zakąsiwszy. To była cała mięsopustna uczta czystych panienek, które nawykły swe potrzeby cielesne byle czem zaspokajać.

Mimo to, weselość była niezmierna, a śmiechy i niewinne żarciki huczały tak głośno, jak śpiewy ptactwa na wiosnę.

Zapomniały śmieszki o świeckich gościach za kratą — pamiętała o nich przecie siostra wikarja, której to zawczasu było zlecone. Dzięki jej, przed panem Mokrzeckim, zadość oną mięsopustną krotchwilą zabawionym, zjawiła się flaszka omszała, w kompanji dwóch kielichów, cale innego, niż tamte, panieńskie, kalibru. Z rozkoszą prawdziwą cześnik stwierdził, że to nie maślacz żaden, jeno rzetelny, wytrawny dębniak — zażył przeto tak grzecznego trunku *quantum satis*.

Towarzysz cedził szlachetne wino przez zęby, bowiem niedawny *abusus* przytępił w nim smak do rzeczy dobrych. Z oburzeniem i wżgardą niejaką przyglądał mu się pan Mokrzecki przez szkło swego kielicha.

Nagle odezwał się dwonek na *silentium*...

Jak ptactwo, spłoszone wystrzałem, zamilkły w momencie siostry i matki. Ze wszystkich, młodych i starych twarzy znikła w mgnieniu oka pu-

stota — powlokły się odrazu powagą surową. Zaraz też światobliwe grono rozpierzchnęło się na wszystkie strony i refektarz opustoszał.

Cześnik i rezydent opuścili klasztor, przez działka kościelnego boczną furtką wyprowadzeni.

VII

Polatywał śnieg suchy. Białe płatki, roziskrzane słońcem, bliskiem zachodu, zdawały się pływającymi w powietrzu gwiazdkami.

W szerokich saniach, szeroko na siedzeniu rozparci, dążyli do mety swej: pan Mokrzecki z panem Mleczkim. I droga była na schwał szeroka, co się zowie rozłożysta, gdyż Bogu dziękować ziemi na Białej Rusi nie braknie i wąsko krajać onej nie trza.

Zboku, od lewa, zaciął niekiedy wiatr ostry. Nie zważali nań jadący, wnurzeni w sowite, ciepłe niedźwiedzie, nogi mając kozuchem baranim okutane. Ale woźnica, milczący Białorus, często ku onemu wiatrowi głowę wykręcał, przekleństwa mrużąc.

Cześnik, odrobinę senny, odmawiał, kiwając się, modlitwy *pro defunctis*. Rezydent ciągnął cieniuchno pieśni nabożne.

Gdy już tamtem swoje sześcioro „amen” odmówił, zwrócił się ku Pafciowi, aby z nim o tem i owem podyskurować — co bywało jego zwykłą w podobnych okazach zabawą.

Skarbcem wiadomości, studnią erudycji był umysł pana Mleccki, gdy się doń właściwie dobrać umiano.

Doświadczony w tym względzie, cześnik zaczy-

nał zwykle zdala od istotnego obiektu. I teraz zatem, przeciągle ziewnąwszy, bąknął:

— Zanocować nam przyjdzie, czy co?

— Jak wola pana rotmistrza dobrodzieja — potulnie zauważył rezydent.

— Nie wiem-ci po prawdzie — jakie w tej okolicy zajazdy...

— Jakieżby? Żydowskie.

— Mówią, że chrześcijaninowi u żyda nocować *periculosum est*.

— Bo i prawda! Niewierny urodzonym jest wrogiem chrześcijanina. Zawszy na zgubę jego dybie.

— Słyszałem wszelako, serce, od rabina jednego, że co mówią nasi o ich Talmudzie, kalumnia jest... Rzucił się Pafcio, jakby go żmij ugryzł.

— Do rabina o Talmud, to tak właśnie, jak do cygana o skradzionego konia.

— Jaż nie mówię, duszo, że mu powierzył. *In dubio* dotąd zostawam.

Wędę dobrze zarzucono — połknęła ryba haczyk.

Pan Mleczeko głowę z futra wysunął — perorować jął:

— Przeniknione już są, mości rotmistrzu dobrodzieju, szatańskie tajniki Talmudu. Za sprawą takich godnych mężów, jak Achacy Kmita, Pruszczyk, Kwiatkiewicz — że obcych pomnę — wiemy już, co tkwi w onych księgach, ongi na siedm pieczęci zawartych. Jakże żydy mogą chrześcijan miłować, jeśli Boga ich mają w nienawiści i obrzydzeniu! Alboż nie nazywają Chrystusa Pana *Jeschaj*, co znaczy: oszust; *Tholin*, czyli: człowiek podejrzany i *Nozere*, to jest: zwodziciel ludu? Mówią o nim i grubiej, ale się tego katolikowi powtarzać nie godzi. Nie na tem koniec ich niegodziwości. Matka Najświętsza u nich *Thlua*, to znaczy: katówka; albo *Thmoa*, to jest: ze wszelkich niecnót znana. Kościół

chrześcijański mianują *Moschoft* albo *Beskisse*, to jest: dom bałwochwalstwa lub plugastwa. A Przenajświętszy Sakrament, w którym Ciało i Krew Syna Bożego utajone, pogańska ich paszczyka śmie nazywać chlebem nieczystym, *Lechemtchamel*...

Z wyteżoną uwagą słuchał pan Mokrzecki swego rezydenta, admirując obszar i głębokość jego wiadomości.

— A jak tam, Pafciu serce, stoi sprawa z ich Mesjaszem? — ciekawie zagadnął.

— Wciąż na onego czekają, rotmistrz dobrodzieju. Chodzą i jeżdżą po świecie całym, upatrując swego zbawcy, który ma rządy nad ziemią całą w ręce im oddać.

— A po czemże, duszo, będą mogli poznać, że to Mesjasz prawdziwy, a nie oszust i szachraj, o których u nich nie trudno?

— O! nie brak im na to sposobów, których, jak twierdzą, jeszcze ich prorok Eljasz był nauczył. Dziesięć ich jest, mości rotmistrzu, a jeden od drugiego mądrzejszy. *Ergo*, według mędrców onych, takie być mają znaki przyjścia mesjaszowego. Najpierw, urodzi się osiel pstry, na sierci swej sto różnych maści liczący — bowiem na takowym jeno Mesjaszowi jeździć się godzi. Powtóre, zjawi się król, srogi żydów prześladowca, od Hamana tyśiąckroć gorszy. Po trzecie, pieniądze ginać zaczną bez śladu, nawet z pod zamknięcia. (Pono odnajdzie się je łatwo u lichwiarzy i złodzieiów żydowskich). Po czwarte, drożyzna nastanie tak wielka, że dla chorego małej rybki nie będzie można dostać. Po piąte, w rzekach i w morzu woda wyschnie i w proch się obróci. Po szóste, przyjdą upały tak nieznośne, że ludzie przeklinać Stwórcę swego będą. Po siódme, Saracen albo Turczyn niekóry przy jedzeniu, języka sobie nadkąsi. Po ósme,

rzeka Sabasson od wschodu wysychać zacznie i suchem jej łożyskiem wyjdzie na świat pokolenie Dan, z olbrzymami: Gogiem i Magogiem. Po dziesiąte, wszystkie dusze, przez Boga stworzone, na ziemię zostaną wysłane. Wreszcie po dziesiąte, znajdzie się taki mądry żydek (napewno z naszej Smorgonil), co załata dziurę w niebie, którą Stwórca umyślnie zostawił, aby przez nią wszedł do nieba człowiek, chcący być równym Bogu.

Słuchał cześnik uważnie swego rezydenta, ani się śmiejąc, ani zbytnio się przejmując — z tem leniwem posłuszeństwem, z jakim słuchamy w lecie szumu deszczowego, gdy się nam na sen zbiera. Stałe wszelako pełen był podziwu i weneracji dla iście magistralnej mądrości Pafcia.

Tymczasem zmierzchać zaczęło, wiatr się wzmógł, śnieg zgęstniał i zmiękł. Już się płatki nie osypywały po odzieży, jak piasek, lecz do onej przylegały.

Tuman śnieżny rozbielił całą przestrzeń, co przy ciemniejącem niebie, tworzyło osobliwe *contrastum*.

Woźnica wciąż był frasośliwy i zły. Konie popędzął, nie szczędząc wymysłów; zerkał też co moment to wbok, to za siebie.

— I kruki lecą... — mruknął z nagłą płaczliwie, a tak głośno, że go jadący dosłyszeli.

— Dziw! — zaśmiał się wesoło pan Mokrzecki.

— Za nami, panie, lecą... — powtórzył chłop, wielkiej, lisiej czapy poprawiając.

Cześnik śmiać się nie przestawał.

— Drugi dziw! — jowialnie zawołał. — A trzeci dziw, największy, że wszystkie czarne.

Mleczko powagi nie pozbywał.

— Podczas i białe być mogą — tonem mentor-skim wyrzekł.

Obrócił się doń całą twarzą pan Mokrzecki.

— Widziałeś kiedy takiego, Pafciu?

— Widziałem, rotmistrz dobrodziej.

— Gdzie, serce?

— W Gwoźdźcu, u jegomości pana Kalinowskiego, starosty winnickiego. Zastrzelony był, wypchany, jak się patrzy i postawiony w książnicy starościńskiej obok wilka, który znowu, w opozycji z nim, całe czarnej był maści. Znajdował się pod onym napis łaciński, którego dobrze nie pamięn, sens przecie miał takowy, że owo ptaszyszko było *plumis cygnus, corpore corvus*.

Pokręcił głową cześnik i znów ją we futro niedźwiedzie wtulił.

A pan Mleczek dalej perorował:

— Prawda, że osobliwość to wielka — znam przecie sekret, żeby się wszystkie kruki białemi łęgły. Trzeba jeno krucze jajo mózgiem kocim wysmarować i pod białą kurę, na miejscu zimnem, podłożyć...

— Próbowaleś, duszo?

Pan Pafnucy ramionami wzruszył.

— Naco mi to! Albom to ja Alfons, król sycylijski, co kruki białe dla zabawy chował?

Zerwała się wichura, całemi płachtami rzucając śnieg na konie i na ludzi. Niebo zgoła już pociemniało — od pół jeno białych szło trochę światła. W drzewach przydrożnych słychać było świsty, zapowiadające burzę śnieżną.

— Przy pierwszej karczmie staniesz! — rozkazał cześnik woźnicy.

Świsty wichru stawały się coraz słabsze, w miarę jak się więcej drzew przy drodze jawiło. Wrychle wielkie sosny otoczyły jadących — wjechali w las, gdzie już było zacisznie. Szumiało przecie góra, między wierzchołkami, jakby rozkołysane morze, a przeciążone śniegiem gałęzie z trzaskiem się łamały.

Choć konie bokami robiły, woźnica nie przestawał popędzać ich a kłać.

— Kab was wouki sjolil... — co moment powtarzał.

Obruszył się na chłopca pan Mokrzecki.

— Licha, braciszku, nie budź — upomniał — wilka z lasu nie wywołuj!

Do towarzysza zwracając się, dodał:

— Oby jeno do nas nie dopytały się te dra pieżniki! Wiesz, Pafciu? nie tak mi straszny Turek i Tatarzyn, jak przekłete wilczysko. Zawszem miał do tych rozbójników odrazę — nawet mi się nigdy polować na nie nie chciało.

Pan Mleczek, w którym dziś duch przekory siedział, odburknął na to:

— Nie tak czarny djabeł, jak go malują. Mianowali ludzie wilka rozbójnikiem, a on przecie podczas i świętym być potrafi...

— Cóż-bo wygadujesz, Pafciu-serce!...

— Nie wygaduję, jeno powtarzam uczonych dziejopisów narację. Alboż przy ściętej przez pogłowie Świętego Edmunda, króla angielskiego, wilk straży nie trzymał, w łapy oną ująwszy? Nie wspomnę o Romulusie i Remie, przez wilczycę wykarmionych, boć o tem każdemu pauprowi wiadomo. Ale może i rotmistrz dobrodziej jeszcze nie słyszał, że świętobliwym pustelnikom wilcy jako psi służą, z ich ręki jedzą, a nocami przed chatką legają, od zbójców strzeżać?...

Kreślił cześnik głową z wielkiego zdziwienia.

— Uręcam cię, Pafciuniu — mówił — że gdyby powiedział mi to kto inny, w żywe oczy łgarzem i kpembym go nazwał.

Mleczek ciągnął, na uwagi nie zważając:

— Fortele ma wilk nie gorsze od człowieczych. Gdy konia się czepi, mógłby ów, jako mocniejszy,

łacno go odrzucić — ile, że wilk głodny bardzo jest lekuchny. Cóż więc czyni bestja, żeby przyrodzony swój ciężar zwiększyć? Oto ziemi, szczerzej ziemi, obżera się i cały żywot oną napycha. Dopiero, gdy zmęczone konisko padnie, wilk je zagryza i wszystką ziemię z wnętrza wyrzuciwszy, z końskiego mięsa ucztę sobie wyprawia.

— No, no... Ho, ho... Dziwy nad dziwami!

— A dolożyć też muszę o wielkiej animadwersji między wilkiem i baranem — która jak jest zawzięta dowodzi to, że one stworzenia jeszcze po śmierci antypatję do siebie czują. Ktoby na jeden instrument strunę wilczą i baranią naciągnął, przekona się, że gdy struna wilcza gra, barania milczy, jakby jej nie było. Żebyś waszmość nie wiem jak smykiem po onej piłował, ani beknie. Na kotłach zasie, *alias* bębnach, jeśli na jednym będzie skóra z wilka, na grugim z barana, gdy kto na wilczej zabębni, barania *immediate* puka się od strachu wielkiego...

Pan Mokrzecki już się nie dziwował, a pono i nie słuchał, wielce czem innym zatrudniony. Noc zapadła — w lesie było już nie ciemno, lecz czarno. Jenó zaśnieszona droga kęs się bielili, niby płótno, przez wiejskie niewiasty na łące rozciągnięte.

Coraz gwałtowniejszy szum i trzask w górze, a także spadające co moment na drogę gałęzie znać dawały, że burza śnieżna nie ustaje, owszem, jeszcze się bardziej rozsrożyła. Śnieg wszelako nie zasypywał teraz jadących, konary bowiem starych drzew, splatając się u wierchołków, tworzyły sklepienie, pod którem sanie bezpiecznie pomykały, jakoby pod baldakimem.

Cześnił głowę wytknął z futra, kręcił nią w prawo i w lewo — nasłuchiwał, nosem pociągał, wzrok wyteżał.

— Słysz! — krzyknął nagle na woźnice. — Czy ty aby dobrą jedziesz drogą?

Chłop długo myśli ważył — wreszcie tonem głębokiego przekonania odrzecze:

— Musi być, co nie, wielmożny panie.

— Więc cóż będzie?

Chłop, po długiem milczeniu, tym samym tonem:

— Nie mogę wiedzieć, wielmożny panie.

— Bodajeś zczesz! — zaklął cześnił. — Kiedyś durny, to konie będą od ciebie mądrzejsze. Puść im wodze — niech same drogi szukają.

Już teraz o prędkiej jeździe mowy być nie mogło. Konie posuwały się krok za krokiem, jakby drogę przed sobą macając — podczas i zgoła stały, nozdrzami niespokojnie prychając.

Woźnica, przetrawiwszy w myśli doznana zniechęć, uznał za dobre podzielić się nią z kim innym. Więc huknął na konie z pasją niezmierną:

— Ha!... ho!... hu!...

A potem zaraz:

— Kab wy zdochli!... Kab was wouk sjeli!... Kab z was szkóru stiahnuili!...

Nic to nie pomagało. Sanie posuwały się leniwo, potykając się co moment o wystające z pod śniegu gałęzie i korzenie. Konie bez przerwy prychały, daremnie drogi właściwej szukając.

Nagle, z prawej strony jadących, ukazały się między drzewami światelka.

— *Laus tibi, Christe!* — zawoła z otuchą pan Mokrzecki. — Widać wieś jakowąś — do niej prosto zmierzajmy. Baby warzą wieczkę, to i nam głód nie dokuczy. Nie zginiemy, Pafciu-duszol!

Ale panu Mleczce cale do weselości nie było. — Mości rotmistrz — *solemniter* wyrzekł, głosem nieco zcziszonym — przypatrz się waszmość lepiej onym światłom — *error* swój poznaj...

Samą rzeczą, że światełkami działo się coś osobliwego. Poruszały się to wdół, to wbok, to do góry, i równo z saniami posuwać się zdawały.

Zrozumiał cześnik, co się święci.

— Wilki... — szepnął głosem strwożonym.

I zaraz: do pistoletów, do różka z prochem, do zamknięcia skórzanego, w którym chroniły się rusznice. Jedną strzelbę i jeden pistolet wziął dla siebie; drugą takąż parę ofiarować chciał towarzyszowi. Ale pan Mleczek broni nie przyjął.

— Co mi po niej! — ramionami wzruszył. — Mam dobre krzesiwo — wystarczy!

Więc zbywającą rusznicę oddał cześnik woźnicy.

— Konie ściągnąć krótko! — tonem rotmistrzowskim zaordynował. — Strzec, żeby wilczyśko do gardła nie sięgnęło. Bata nie szczędzić. Lepiej kark na drodze skrócić albo łeb o sosnę rozbić, niż być przez bestję pożartym. Zdarzy-li Pan Bóg, że z tych opałów wyjdziemy, przy pierwszej chałupie, a bodaj i w czystym polu, stanąć, konikom dać wytchnąć. Gdy się wilk zbyt poufale zbliży — strzelać. Baczysz?

— Baczę, wielmożny panie.

Chłop ujął broń ręką wprawną. Przy puszczy mieszkał — strzelać mu nie nowina.

Po chwili mruknął:

— Licho po tem! Wouka wołał, wouk jest. Bóg skarał — człowiek nie poradzi...

Pafcio zasie zaklinał:

— Nie strzelaj, rotmistrzu dobrodzieju, złego ducha nie budź. Cóż wilki? — stworzenia Boże, jako i inne. Dla złośników, złe — człowieka dobrego w spokoju ostawia.

Tymczasem napastnicy tak się już zbliżyli, że słyszać było kłapanie paszczek i oddech zziębnięty. Cześnika korciło plunąć im w ślepie ołowiem, ale

go rezydent całą siłą od tego wstrzymywał. Zresztą sanie śmigały chybką — wilki, nadążyć nie mogąc, w tyle pozostały.

Dopiero, gdy wódz stada zrównał się z jadącymi, Mleczek chwycił krzesiwo i iskry gęsto się posypiały. W tymże momencie wilk zawył i od sań odskoczył.

Niebawem natarcie się powtórzyło. Znowu je przecie *ejusdem modo* odparowano.

Było tego kilka i kilkanaście razy, a pan Mleczek swego krzesiwa tak mądrze zażywał, że iście siarczystym strzelało ogniem.

Wilczyśka uderzyły w lament, że zaś ich antyfony całę niemiłą były dla ucha muzyką. Stawały się też co moment natarczywsze, wyskakiwać nawet jeły przed konie, i pan Mokrzecki aż zębami zgrzytał z pasji, że mu zuchwalców poskromić nie dawano.

Zestrachane rumaki rwały, jak wściekle; sanie, korabiowi na fluktach wzburzonych podobne, trzęsły się, chyliły, grożąc łada moment wywróceniem. Ze się ich wiązania nie zerwały, że same nie rozpadły się i jadących nie wywróciły — cud to był Boski i sprawa Najświętszej Panny Boruńskiej, której pan Mokrzecki siebie i towarzyszy swych ofiarował.

Gdy tak pędzą na złamanie karku, najtęższy z wilków, wysforowawszy się naprzód, rzucił się na konia i bodaj, że mu kły w mięsie zatopił. Szarpnie się koń i w górę skoczy z kwikiem bolesnym...

Nadto było tego i jużby tu żadne perswazje Pafcia nie pomogły. W momencie, i cześnik, i woźnica złożyli się — huknęły dwa wystrzały — wilczyśko, kozła wywinawszy, przewaliło się w śnieg bez zycia.

Strasznym, krew mrozącym wyciem odpowie-

działa reszta bestyj na to powitanie. Zapanowała potem cisza. Wilki oszołomione w miejscu stanęły — zaraz jednak puściły się w pogoń ze zdwojoną wściekłością. I Bóg wie jakby się to nowe natarcie było skończyło — na szczęście, drzewa w tem miejscu zaczęły rzędnąć, wiatr niehamowany owiał jadących, stało się zimniej, lecz i jaśniej, i sanie, w szalonym pędzie, wybiegły z kończącego się lasu na czyste pole.

Rozzuchwalone stado i tu pościgu nie zaniechało. Wilki kupą zbitą gnały za saniami, krwi ludzkiej pożądając.

Dopieroż pan Mokrzecki zacznie w oną kupę szyc, strzelając z jednej rusznicy i z drugiej, i z pistoletów obu. Z nabijaniem broni ledwie mu wprawny chłop mógł nastarczyć. Okropnych skomleń, szczeków, zawodzeń, charknięć, jakie wówczas się ozwały, nie słyszała pewnie i otchłań piekielna...

Krew obfitemi strumieniami śnieg zafarbowwała — mimo to rozjadł wilki jeszcze przez kilka stać po trupach swych towarzyszy pędziły za saniami, krwi i zemsty łakome. Wróciły wreszcie do lasu, onieśmiałe widokiem białej, pustej równiny.

Odetchnął pan Mokrzecki i, dłonie złożony, modlitewkę odmówił dziękczynną. Uczynił to samo i woźnica. Jeno Pafcio mamrotał coś pod nosem, co z nabożeństwem związku żadnego nie miało.

Obruszył się cześnik.

— Spoganileś się widzę, Pafciu-nieboże — z rankorem wyrzekł. — Pan Bóg i Przenajświętsza Pnienka Boruńska życie nam ocalili, a ty...

— A ja, mości rotmistrzu dobrodzieju — żywo przerwał pan Mleczek — wstydzę się w tym momencie imienia wzywać Boskiego...

— Cemu?

— Jakto? Po przelaniu potoków krwi? po spełnieniu tylu zabójstw?

— W obronie życia, Pafciu-serce. Nie wątp, że mi mój spowiednik rozgrzeszenia udzieli. Lepiej, pono, zabijać bestje drapieżne, niż Boгу ducha winnych żydków...

Zrozumiał przytyk jegomość Mleczek i zamilkł.

Tymczasem, zaledwie z jednym niebezpieczeństwem stał się koniec, przyszło natychmiast drugie. Burza zawiąła śniegiem drogę, z której oddawna się zbito. Sanie błdziły po białej, bezkresnej równinie, niby po morzu śnieżnem.

Gdyby to był dzień, możnaby się było kierować słońcem; gdyby noc bezchmurna — gwiazdami. Ale niebo miało czarność węgla, i nietylko na niem, lecz i na ziemi, światelko nie błyskało najmniejsze.

Sanie to uderzały o głaz, śniegiem zakryty, to grażyły się w zdradzieckim dole — groźba kalectwa, może i śmierci, wisiała nad podróżnymi.

Odechciało się panu Mokrzeckiemu zagadywać; odechciało się rezydentowi odpowiadać; nawet woźnica kłąć przestał.

Pędzili naoslep, wśród ciemności nieprzenikniętych, zdając się na instynkt koni, mądrzejszych podczas od człowieka.

Niekiedy, w oddaleniu, jawił się im mały ogieniek, podobny do okna chaty, w której warzą wieczzerze. Cześnik ku onemu kazał konie kierować, choć woźnica głową kręcił i spluwał...

Jechano stają, jechano dwie i trzy — aż nagle ogieniek zniknął, jak zdmuchnięty.

— Tyl!... — zżymał się pan Mokrzecki — bis tu-manami nas mroczył!

I kreślił liczne krzyże w powietrzu.

A ledwie jeden majak zagasnął, jużci drugi i trzeci, to tam, to sam, wyiskrzyły się na jadących.

— Propadł!...—szeptał chłop, potrzykroć się żegnając.

Już i zimno dojmować zaczęło. Wiatr, jak szedłem, grube futra przenikał. Gdzieś daleko wilcze lamenty się rozlegały.

Otrząsał się pan cześnik raz po raz, i pacierze mruczał, to polskie, to łacińskie.

Długo tak bładzili, strachu śmiertelnego pełni, aż zaświeciła im w oddaleniu, wprost przed nimi, gwiazdka maleńka, całe do tamtych niepodobna. Prosto ku onej gwiazdce sunęli, a ona ani gasła, ani miejsca nie zmieniała. Maluczko, a obok tej pierwszej, zjawiła się druga, na jednej z tamtą linią. Im się zaś bardziej do onych gwiazdek zbliżali, tem więcej ich przybywało. Należały jakby do jednej konstelacji, która się tuż przy ziemi sznurem równym rozsypała.

Otucha w serca ichmościów wstąpiła.

— *Laus tibi Christe!*...—wzniósł cześnik oczy do nieba. — Nie zginełisma. Widać zaścianek, albo i wieś, jak się patrzy. Już mię zalata aromat kaszy ze szwedami, którą, da Bóg, pożywać wrychle będziemy.

Mleczek mruknął coś, co mogło być tak dobrze przytaknięciem, jak zaprzeczeniem. Wszystko mu teraz zdało się niepewnem, wszystko miał *in suspicio*.

Ale po czasie niejaki i on fantazji lepszej nabral. Z bliższej odległości, już się w onych gwiazdkach łatwo dostrzegać dawały oświecone od środka okienka. Później jeszcze, zamajaczyły niewyraźnie dachy i kominy domostw. Reszta w mroku tonęła.

Albo to będą Wilejsze Bobrowiczów — zauważył cześnik, wzrok wyęzając — albo Gieruciowo Kollupajłów...

Zasepiony Mleczek poprzestał na mruknięciu:

— Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Babińskie Karczmy!

Tymczasem sanie, już teraz po gładkiej drodze szorujące, dotarły do jakiejś rzeczki, przesunęły się po jakowymś moście i wpadły w uliczkę, gdzie po bokach sterczały jakieś niskie dominy...

Posuwali się teraz wolno, upatrując karczmy, zajazdu albo człowieka, któryby do nich drogę wskazał. Choć jednak zamieć była tu słabsza, niż w czystym polu, żywego ducha nie dostrzegało się w uliczce. Dopiero po pewnym czasie, zaskrzypiał śnieg pod czyjemiś stopami, i jadący ujrżeli włokącego się od chaty do chaty dziadygę, z wysokim w ręce kosturem.

Stały sanie — pan Mokrzecki zakrzyknął:

— Słysz! Jak się ta wieś nazywa?

Dziad zatrzymał się i pokornie oznajmił:

— Niech będzie pochwalony... Ojcie nasz, któryś jest w niebie... Wieczne odpocznienie racz im dać Panie... Jaka znów wieś?... Przecie kuźden dzieciuch wie, że to — Mścibów.

— Mścibów?!—wykrzyknęli razem cześnik i woźnica. — Po wertepach ciągał nas bis — jakżeśmy do Mścibowa trafili?...

— Nie bis, jeno anioł — zaprzeczył Mleczek. — Jest ci tu krewniak mój — on nam zginać nie da. I zaraz, do dziada się zwracając, o pana Ignaca Okulicza zapytał.

— Znam-ci go, znam... Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... A chtëźby go zaś nie znał? Gadajom, co święty — choć się bida przy onym nie pożywi... Teraz i w godzinę śmierci naszej...

— Tak i gadaj: gdzie mieszka?

— Między niewiastami... Owoc żywota Twego... Prosto nosa trza jechać, wielmożni dobrodzieje; potem krzyne z prawości do lewości... Począł się

z Ducha Świętego... umarł i pogrzebion... Tam bendzie kościół śliczny, a podle kościoła cmyntarz... Umenczon pod ponckim Piłatem... Na cmentarz nie trza, ino nawrócić z lewości do prawości, to tamoj bendzie uliczka, wonziuchna taka... Wstompil do pieklów...

— Aha! — mruknął Mleczek — „po drodze mu było...”

— Co tu wiele gadać — zniecierpliwil się pan Mokrzecki. — Siadaj, dziadu, na sanie, jedź z nami i ukaz.

Więc dziad siadł, pojechał i ukazał.

VIII

Już od pół godziny cześnik z rezydentem dobijali się nadaremnie do zamkniętych drzwi jegości pana Ignaca Okulicza. Zimnem i głodem znękani, dobijali się ze wszystkiej mocy, aż łoskot szedł po całym miasteczku, budząc psy podwórzo-we, które żałośnie wyły. Nikt wszakże z mieszczan znaku życia nie dawał.

Niski i skromny był dworek pana Okulicza. Wciśniony pomiędzy żydowskie, krzywe budynki, sam był krzywy, i ganek na krzywych miał słupkach, i okna krzywo patrzące, i dach pokrzywiony — owo zgola ze samych krzywości się składał. Bóg jeno raczy wiedzieć: jakim cudem kupy się to wszystko trzymało.

Stary już był imćpan Okulicz, bezdzietny i bezżenny. W młodości promował się na księdza, coś mu w tem przecie przeszkodziło — pewnikiem jakowaś *puella formosa*, której ślepki zawždy bywają celibatarjuszom niebezpieczne. Potem służył kęs wojskowo i przy palestrze się wieszał, aż grosza uciuławszy, kupił dworek i osiadł w onym na dewocji.

Już byliby stukający odstępili, rezygnując bo-daj w alkierzu żydowskim noc przemęczyć, gdyby nie okoliczność, że ze dworka, przez szpary w okien-

nicach, mdle światło się sączyło — dowód, że ktoś tam czuwa jeszcze.

A nuż mieszkanięc dworka zachorzał? A nuż, *quod Deus avertat*, w opuszczeniu ostatnia przyszła nań meta?

Niepokój o krewniaka dodał panu Mlecze wytrwałości. Coraz mocniej ciężką klamką łomotał; coraz energiczniej pięścią we drzwi uderzał.

Aż nareszcie ozwie się wewnątrz słabe jęczenie.

— *Vade... Vade...* — przemawiał ze środka jakiś głos bolejący.

Cześnik i rezydent nadstawili uszu.

— *Vade retro...* — głos powtórzył.

— Cóż to? — dyfamacja? — mruknął z gniewem pan Mokrzecki. — Odprawiają nas ode drzwi, jak natrętów?

Mleczo molestował:

— Otwórz, Ignasiu dobrodzieju! Bardzośmy snu i pożywienia głodni. Szlachciec jesteś — nie pozwolisz przecie, by bracia szlachta, jako psi, na dworze stać miała. Otwórz, Ignasiu! Otwórz, braciszku!

W odpowiedzi rozległ się jęk głośniejszy i jakby pogrożką zaostrzony:

— *Vade retro, sathanas! Apage! apage!*

Rezydent podniósł głos:

— Widzę, że mię nie poznajesz. Jestem Mleczo, Rafnucy Mleczo, twój krewniak i *amicus...*

— Antychryst! — wrzaśnie Okulicz głosem straszonym.

— Za kogo mię bierzesz? — skarżył się Pafcio. — Polak jestem dobry, chrześcijanin, katolik.

— Chrześcijanin chrześcijanina słowem pozdrawia Bożem, a wy...

— A my, braciszku, od zimna i głodu ledwie językiem w gębę obracać możemy. Czyż wątpisz,

żem twój krewniak, którego matka była rodzoną twojej matki siostrą?

— Szatan różne przybiera postacie — mógł się i w siostrzana matki mojej przedzierzgnąć. Dowodu mi trzeba.

— Wpuść nas jeno — szkaplerze tobie poświęcane ukażemy...

— Nie puszczę, aż mi tu zaraz, bez zająknięcia, *Credo* odmówicie!

Nie było rady. Najpierw Mleczo, po nim cześnik, zębami od zimna szczękając, wyrecytować musieli „Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego...”

Dopiero teraz odsunięto zawory, odczepiono łańcuchy i drzwi otwarły się, wpuszczając przybyśków do środka.

Ukazał się gospodarz, człek haniebnie wysoki a chudy i przygarbiony, w tulubie z wytartego futerka, z bosemi stopami, z nosem ekstremaordinaryjnie długim, na którym spoczywały wielkie, w rogowej oprawie, okulary.

Trzymał ów chudzielec w ręce świeczkę łojową bez lichtarza i ona, bez żadnych ceregieli, przysuwał kolejno do twarzy swych gości. Dopiero po tych oględzinach, wejść im do izby gościnnej pozwolił.

Była ta izba do kapliczki kościelnej podobna — cała obrazami Świętych zawieszona, przed którymi lampki gorzały. Przy drzwiach naczynie z wodą święconą; po stołach czarne krucyfiksy; w jednym z kątów, na postumencie, figura Przenajświętszej Panienki, roboty nieco przygrubej, z drzewa wyrzezana, farbami różnemi pociągniona. W powietrzu jakby aromat kadzidla kościelnego, ze zbutwiałością wilgotnego domostwa zmieszany...

— Siadajcież, dobrodzieje — zapraszał dość obojętnie pan Okulicz, knoty w lamkach poprawiając.

Łacno było zaprosić, trudniej zaproszenie spełnić. W izbie siedzeń żadnych nie widziało się, okrom jednego zydlu, na którym szmaty jakoweś leżały.

Poruszył pan Pafnucy one szmaciska, aż z nich koczur wyskoczy morengowaty, ze srodze zadarłym ogonem, i miauczeć weźmie przeraźliwie.

— Przestraszyliście, dobrodzieje, mego Melchizedecha — mruknął z wyrzutem Okulicz, i dalej przy lampkach majstrował.

Pan Mokrzecki wąsa nadół ciągnął i chrząkał, zły, jak chrzan. Mleczko głosem cierpkim zauważył:

— Już też, braciszku, wyznać trzeba, że tobie reguła „gość w dom, Bóg w dom” cale obca. Wskaż nam jakąś gospodę a wraz się stąd zabierzemy, w dewocjach tobie nie przeszkadzając.

Zafrasował się kęs gospodarz, w łysą głowę się podrapał...

— Pozwólcieź, dobrodzieje... W ukropieście, widzę, kapani... Przywołam Dosię — ona wszystko uładzi...

Obejrzeni się przybysze za Dosią — w mieszkaniu przecie ani śladu niewiasty nie było.

— Dosia — zciszonym głosem oznajmił Okulicz — mieszka po drugiej stronie. Złośliwość ludzka nie zna granic... „Złe języki są jako żądła węzowe” — powiedział Święty Tertuljan.

Wetknął stopy w pantofle i, kłapiąc niemi, do sieni wyszedł.

Cześnik i rezydent zamienili wymowne spojrzenia. Gdyby nie głód, chłód i znużenie, pewnieby nie wstrzymali się od śmiechu.

Przyszła Dosia. Goście, którzy spodziewali się niewiasty urodziwej, ujrzeni wiedźmę bezzębną, na jedno oko ślepą i w opozycji do pana Okulicza, niepomiernie tłustą a przysadziłą. Nawet Święty

Tertuljan — pomyśleli — nie uwierzyłby, że ta białogłowa stać się może komu przeszkodą do zbawienia...

Stara spojrzała na gości z podpełbą, takim wzrokiem, jakby mówiła:

— A was, urwipolcie, ki djabeł tu przyniósł?

— Proszę cię, Dosieńko — słodko przemówił Okulicz — pomyśl, panienko moja, na czymby ichmoście sięść mogli?

Baba w milczeniu wysunęła z kąta kufer, skórą obity. Siedli goście, wzdychając. Cześnik zwrócił się nieśmiało do jejmościanki:

— Gdyby tak chleba kęs... strawy jakiej ciepłej łyżkę... Zapłaciłbym sowito.

Dostyszał te słowa gospodarz — o klejnocie swoim sobie przypomniał.

— Jeszczeć tego, dobrodzieje moi, w naszej sławnej Rzeczypospolitej nie bywało, żeby szlachci-cowi za gościnę płacić. Dosia! cokolwiek ichmościom na głodny ząb podaj. Wybaczcie, dobrodzieje, że marcypanów nie postawię. Ale czem chata bogata, tem rada.

Po dłuższym czasie, pojawiła się na stole flasza ze śmierzdziuchą, szoldry kawał, czarny chleb i serek twardy jak kamień. Głodnemu wszystko smaczne. Goście zmiotli szynkę i ser, po kilkakroć też po flaszę sięgali.

In tractu tego, gospodarz, nogę na nogę założywszy i chudą, kańciastą brodę na dłoni wsparłszy, przypatrywał się im w milczeniu, pilnie o czemś medytując.

Gdy jeść skończyli, zagadnie:

— Czyście już, dobrodzieje moi, *jego* widzieli?

Pytanie było tak niespodziane i enigmatyczne, że obaj goście *obstupuerunt*.

— Siła ludzi widzieliśmy na świecie... — odrzeknie cześnik z atencją, gospodarzowi przynależną — nie

wiemny, o kogo *singulariter* waszmości panu chodzi? Jeśli się to tknie Mścibowa, jawił tu się nam jeden jeno włóczyki, z torbą dziadowską i kosturem.

Okulicz krzywił się i głową kręcił, znać dając, że go nie zrozumiano.

— Wyeksplikuj się wyraźniej, bracie dobrodzieju — prosił Mleczo.

— Co tu eksplikować! — mruknął z gniewem tamten. — Mówię o tym, którego *totus mundus* z drżeniem serca oczekiwają, a który zjawić się już miał między ludem.

— Któż on zacz?

Okulicz wyciągnął bocianą szyję, oczyma łypnął, czoło namarszczył.

— Antychryst... — szeptem solennym oznajmił.

Różnie to słowo na gości podziało. Pan Mokrzecki przyjął je lekkim sercem i twarzą wesołą, jakby to była jakowaś *jovialitas*. Rezydentowi oczy zapłonęły, na twarz wystąpiły rumieńce.

Ku krewniakowi pochylił się — zciszonym głosem zapytał:

— Byłyżby już znaki?

Tymże głosem i z taką solennością odrzekł ów:

— Ogień!

Wyciągnął rękę — na palcach ją liczyć:

— Zgorzała Walichnowszczyzna. Z dymem poszedł zaścianek Mickiewiczów. Nie uratowano ani Porozowa, ani Pilwiszek, ani Hurczyn. Wyjdź, dobrodzieju mój, nocą w pole, na prawo i lewo spójrz — wszędy srogie łuny. Mówią, że i puszcza gore...

Pan Mokrzecki wtrącił:

— U nas, w Lidzkim, o takowych przypadkach, *Deo gratias*, nie słyhać. Co prawda, lud w naszej stronie trzeźwy, czujny, o dobytek swój dbający.

Powstał Okulicz — głosem mocnym zawołał:

— Na nic dbałość, trzeźwość i czujność, gdy z Trybunałem Boskim sprawa! „Zapali Bóg ogień w zapalczywości swojej — mówi Mojżesz — i będzie ten ogień gorzał, aż do dna piekielnego, i pożre ziemię z jej urodzajem, i fundamenty gór wypali!”

— Protestuję! — równie mocnym głosem odpowie cześnik. Jeśli się czyjs folwark z wypadku, z nieostrożności czeladzi lub z szelmostwa cudzego zapali, nie można tego wyrokom Boskim przypisywać. Za grzech miałbym nawet takową supozycję...

— Ale tamten nic nie słuchał i dalej grzmiał:

— „Będą znaki na niebie i na ziemi” — czytamy w Piśmie Świętym. „Dzień Pański przyjdzie, jako złodziej” — mówi Święty Piotr. — „Niebiosy z wielkim szumem przemina, żywioły rozpuszczą się od gorąca, a ziemia i dzieła, które na niej są, popalone zostaną!”

— Jeszczeć nie koniec świata, proszę waszmości.

— Właśnie, że koniec, dobrodzieju mój!

— Byłem niedawno w Lidzie — ba, do Rohaczewa i Mohylewa zajeżdżałem. O wszystkim się z ludźmi mądrymi gadało — nikt o końcu świata nie bąknął...

— *Taceant ranae, dum coelum tonat...* Milczy ród żabi, gdy niebiosy grzmotem zahuczą! — są słowa Świętego Augustyna. Alboż nie mówi Święty Teofil o strasznym i ostatecznym tego świata pożarze? Alboż Święty Tomasz Anielski nie pisze o ogniu, który spali figurę tego świata, nie przyrodzonym zasie porządkiem rzeczy, jeno wolą Boską wywołan będzie? „Ziemia, która zginać miała potopem, zachowana ogniom” — powiedział Święty Augustyn.

Obaj goście głowami kiwali — cześnik z powątpiewaniem, rezydent z admiracją.

Na żółtą twarz gospodarza wystąpiły ceglanej

barwy rumieńce. Długim, chudym, do krogulczego szpona podobnym palcem w stół stukał i mówił:

— Wiele jest znaków przyjścia antychrystowego, a za pierwszy kładą zbliżanie się ostatniego tej ziemi terminu. Licznym ogniom dziwicie się, dobrodzieje moi, a cóż, gdy wam argumenty Pisma Świętego wywiode, fizycznie i matematycznie ugruntuję?

— Bardzośmy onych argumentów ciekawi—bąknął pan Mokrzecki.

Wiadomo dobrodziejom moim, że ten świat przez sześć dni tworzony. Ergo, tyleż czasu trwać ma.

— Ba!—wyrwało się cześnikowi.—Toć ci trwa on już bezmała i sześć niedziel!

Chmurno spojrzyna Okulicz.

— *Symbolica* to są, dobrodzieju mój—karcącym tonem magistra wyrzeknie.—„Tysiąc lat są u Boga jako dzień jeden”—mówi król Dawid. Przeto sześć dni ewangelicznych oznacza sześć tysiącleci. A iż właśnie do szóstego tysiąclecia dobiegamy...

Cześnik z przekąsem wtrącił:

— Mamy dopiero *annus Domini millesimus septingentesimus*...

— Dodaj do niego, dobrodzieju mój, cztery tysiące, które ubiegły od Adama i Ewy do Chrystusa Pana—skarci go tamten powtórę.

Skonfudowany cześnik głowę zwiesił w milczeniu. Okulicz wykladał dalej:

— W pierwszym wierszu *Genesis* cóż znajdujemy, dobrodzieje moi? Oto sześciokrotnie ukazuje się tam litera hebrajska *alef*. A teraz zapytam dobrodziejów moich: co wyraża ta litera w hebrajskiej arytmetyce?

Pan Mokrzecki odpowiedzieć nie umiał—za to Pafcio, sciencyj wszelakich pełny, bez namysłu odrzekł:

— Oznacza tysiąc, braciszku dobrodzieju.

Przyświadczył gospodarz głową z zadowoleniem.

— Więc sześć tysiącleci jest terminem doczesnego naszej ziemi bytu.

— A potem cóż?—rzucił się cześnik, którego już to całe gadanie o cholere przyprowadzić zaczęło.

— Djabli nas porwą, czy co?

— Potem—wykladał dalej gospodarz—nastąpi szabat czyli dzień odpocznienia. Skończy się okres doczesności, zacznie się wieczność, która będzie wieczną delcją dla wybranych, a wieczną katuszą dla przeklętych.

Zamyślił się, potem dodał:

— Są i inne znaki...

I zaraz, palcem stukając, wymieniać jął:

— Pierwszych patryjarchów rodu ludzkiego sześciu było: Adam, Set, Enoch...

Mleczko pokwapił się z erudycją:

— Kainam, Malalel, Jared...

— Wszyscy oni—ciągnął ów—na ziemi żywota dokonali. Siódmy...

— Henoch—podpowie Pafcio.

— Henoch żywcem do nieba wzięt. Jeno ślepy a niemądry w eksplikacji tego zdarzenia pobłądzi. Kto przy zdrowych zmysłach, zrozumie ukrytą w tem wróżbę, że będzie sześć tysiącleci śmierci, a siódme tysiąclecie zacznie okres wiekuistego żywota.

Pan Mokrzecki, przeziębły i niewywczasowany, uczuwał senność—ile, że długie wywody gospodarza całe go nie bawiły. Na ręce głowę wsparł, powieki przymknął—już jeno naksztalt szumu deszczowego dochodziły go dalsze Okulicza z Mleczkiem *colloquia*.

A było tam jeszcze do syta różnych różności o końcu świata i o Antychryście. Zacietrzewieni

ichmoście gadali bez końca o prorokach, ewangelistach i Ojcach Kościoła; o Piśmie Świętem, Talmudzie i Kabale; obliczali lata mojżeszowe i mnożyli je przez 50; przytaczali teksty z Apokalipsy; prawili o „sześciu pieczęciach”, o „białym koniu”, o dziwach, które koniec tego świata wyprzedzą... Ze wszystkiego wysuwało się zawsze w końcu: sześć tysięcy — i te sześć tysięcy, jak owad uprzykrzony i nieodegnany, wciąż dzwoniły nad uchem usypiającego...

Kołysany równym brzękiem wyrazów, na dobre już zasnął pan cześnik. Raptem przebudzi go podniesiony głos Okulicza, który krzyczał:

— Przyjdzie czas, jakiego nie było odkąd poczęły się narody! — mówił Daniel prorok. — Ani oko widziało, ani ucho słyszało, ani serce czuło! — mówi Święty Paweł. — Będzie ucisk i utrapienie, jakich świat nie znał dotąd i później znać nie będzie! — mówi Mateusz ewangelista.

Cześnik otworzył oczy na całą szerokość. Na środku izby stał gospodarz, rozczzerwieniony, trzęsąc obiema, w górę wzniesionymi, rękami. Pafcio, pokonany wymową krewniaka i własną sennością, skulił się i przypłaszczył na stolku, że ledwie samemu sobie był podobien.

Było już nadto tej mitręgi dla cześnika. Przypomniawszy sobie, że, jako szlachcic polski, ma prawo do *liberum veto*. Wyciągnie ramię przez stół i rzecze:

— Pozwól waszmość, panie gospodarzu... Aby z Antychrystem skutecznie wojować, sił nam trzeba. A skądże sił weźmiemy, jeśli się nie wywczasujem? Krótko rzekąc: ukaż nam, waszmość, łoża, gdziebyśmy na spoczynek leżz mogli.

Stropił się Okulicz, tak nagle przeniesiony od spraw wielkich do miłej doczesności. Tam — już koniec tego świata oglądał; tu — przypominają mu, że świat trwa jeszcze, a ludziska na nim wcale swych ziemskich potrzeb nie zapomnieli.

Nie od razu oprzytomniał. Długo błędnym wzrokiem po izbie i po gościach swych wodził — wreszcie bąknął:

— Jest-ci tu łóczynia jakaś obozowa, jeszcze po nieboszczyku dziadku. Wyprawę Wiedeńską pamięta. Przygodzi się śpiącemu. Zresztą — bezradnie dodał — przywołam Dosię...

— Protestuję! — z rozpaczliwą energią zawołał cześnik.

Chętnieby był samego Antychrysta ujrzał przed sobą, niżli owo *monstrum* w babskim czepcu.

— Ukaż nam jeno waszmość alkierz — do Okulicza rzekł. — Zresztą sami już sobie poradziema.

Szczupły, zatęchły alkierzyk kojcem byłby całę wygodnym — spać tu dwom ludziom, nie łokietkowej urody, równało się męce czyścowej. Kilka gratów w onej dziurze ledwie się kupy trzymało — o łóżku lepiej zamilczeć.

Westchnie pan Mokrzecki i do towarzysza rzecze:

— Zbiegnij, Pafciu-serce, do Antona. Niech nam tu futra nasze poda.

Wyszedł Mleczek, a on zaraz, dalszych dyskursów z gospodarzem poniechawszy, do ściany się obrócił, mamrocąc:

— *Pater noster, qui es in coelo...*

A potem:

— Kto się w opiekę podda Panu swemu...

Przydzwiganą niedźwiednią rozesał cześnik na

podłódze i nie bawiąc, buty ściągnawszy, leżał na niej, jak długi. Było zaś ono futro tak wielkie, że i pod spód, i do nakrycia starczyło. W drugim końcu izdebki Pafcio, *ejusdem modo*, w swoją się wilczurę zakopał.

Niewiele poczekawszy, rozległo się potężne chrapanie, które, nakształt grzmotów podziemnych, wątle ściany dworku wstrząsało.

W obocznej zaś izbie, imćpan Okulicz, do pasa obnażony, chłostał się dyscypliną za grzechy swoje i świata całego — powtarzając co moment:

— *Vade retro, sathanas... Apape!... apage!...*

IX

I pogoda, na podobieństwo fortuny (dodaćby można: i białogłowy) bywa *variabilis*. Któżby był zgadł, że po srogim wichrze i gwałtownej śnieżycy, ranek zaświta niebieściuchny, jak modraki w litewskim życie, z obłoczkami tu i ówdzie bielutkimi, jak chusta świąteczna białoruskiej „dzieuczyny”.

Powietrze było mroźne i jakby kryształem płynnym nalane, a zarazem ciche takie i spokojne, że się całę zimnem nie zdawało. To też cześnik i Pafcio, wygodnie w saniach rozparci, uchylili swych wielkich futrzysk, bo im w nich podczas było, jak w piecu Antychrystowym... Zapomnieli o spędzonej mizernie nocy, o twardym serze i zatęchłym alkierzu, o łysinie pana Okulicza i tygrysich wąsach jego Dosi — śmiały się im oczy do złotego słońca, modrego nieba i wielkich płaszczyzn śniegu, co iskrzył się, jakby prochem diamentowym przy-sypany.

Milczeli obaj, senni trochę, wodząc leniwie oczyma po ziemi i niebie, po ubielonych wierzchołkach drzew przydrożnych i po dalekich, zawsze czarnych ścianach prastarej puszczy. Śnieg na drodze stał się puszysty, szorowania płoz słychać nie było — saniem mknęły cicho a lekko, niby powietrzem niesione.

Przerwie milczenie pan Mokrzecki.

— Wyeksplikuj mi, Pafciu-duszo, zawilość jedną — głosem poważnym, niemal smutnym, rzecze. — Świat Boży tak cudny, śmieje się cała natura — czemuż, gdy oczy się radują, serce ból jakowyś, jak świder, przewierca?

Westchnąwszy dodał:

— Śnieg zda mi się podczas czarny, niebo szare, słońce zaćmione... A tam, we środku, coś duszę toczy, jak mniszka sosnę.

Spojrzał bokiem pan Mleczek na towarzysza, na jego oczy bystre, twarz energii pełną, oblicze przy białych włosach niemal młodzieńcze. Głową pokręcił, uśmieszek nieznaczny po wargach mu przebiegł.

— Panie rotmistrzu dobrodzieju — z submisją wyrzekł — już ta zawilość w Piśmie Świętem opisana.

— Co gadasz! — zdziwił się tamten. — Gdzieżby zaś?

— W Księgach Rodzaju, mości rotmistrzu. Powiedziano tam: smutno było Adamowi samemu w raju...

Rzucił się cześnik i poczerwieniał. Po chwili, surowo się namarszczywszy, bąknął:

— Bajesz, Pafciu-gaduło...

I znów w medytacjach swych zatonął.

Ale Mleczek nie spuszczał go z oczu i uśmieszku się swego nie pozbywał.

Raptem zagadnie:

— Rogowicza Michała, rotmistrzu dobrodzieju, znałeś?

— Rogowicza? — ocknął się pan Mokrzecki. — Jakiego znów Rogowicza?

— Z Mohylewskiego, sędziego granicznego.

— Poczekaj, Pafciu. Rogowicz... Czyżby Michał?... Tak, tak — Michał... Siwosz taki, brodofijasza... Zmar-

ło mu się dwa, trzy roki temu. Jakoś wrychle po owym Sejmiku, na którym tak mocno gardłował.

— Już też była mu i pora. Dziewięćdziesiąt lat miał z okładem — omal nie całą setkę.

— Cóż zatem ów Rogowicz?

— Ano, nic wielkiego. Tak mi się jakoś przypomniał. Dobry był człek — rzadny, wymowny. A żon to miał cztery. *In quarto voto* pojął Ślepściównę.

— Wiem-ci, wiem. Panna była, jak rydz, a on w wieku późnym...

— Co za późnym! Miał siedmdziesiąt pięć, i to niecale.

Pan Mokrzecki spojrzał zukosa na towarzysza i usta otworzył, ale nic nie wyrzekł.

Pafcio ciągnął głosem niedbałym:

— Z wcześniejszych ślubów dzieci nie miał. Ślepściówna udarowała go sześciorgiem, z których jeno jedna córka, zresztą same chłopcy. I nie chłopcy to już dziś, ale chłopcy — najstarszemu dwudziestka minęła — w petyhorcach służy...

Milczał pan Mokrzecki, rzekomo w ślady zajęcze, na śniegu odcisnięte, wpatrzony, w głowie zasie przetrawiał myśli, które Pafciowi może nie ze wszystkim tajne były.

Począł mało-wiele rezydent, oczyma po polach włócząc — potem rzeknie, z zupełną jakoby indyferencją:

— Setnie-by się w taki dzień zapolowało. Ślady wszędy zajęcze, lisie, wilcze — jakby kto palcem po śniegu pisał...

Cześnik głową przyświadczył — milczenia wszelako nie przerywał.

Pafcio podjął:

— Pomnę, takusienka była pora, kiedyśmy z nieboszczykiem Sanguszką w piętnaścioro sań do

kniei jechali. Książę, jako był pan poufały a krotofilny, mówi do mnie: — Trzymaj się ostro, Śmientanko (tak mię zwał, gdy dobrej był fantazji), i nie podłuj, bobym cię musiał z Mleczka w Serwatkę przekabacić...

— O którym Sanguszkę mówisz? — spyta cześnik, z zadumy wychodząc.

— O którymżeby, jak nie o księciu Pawle, marszałku wielkim litewskim. Już to drugie lato się kończy, jak do chwały Bożej powołan.

— *Requiescat in pace...* Jest komu i oplakiwać nieboszczyka, i modlić się za onego. Licznie rozrodziła się *gens Sangusciana*.

— Wszystkoć to księcia Pawła praca a dorobek. A niewiela już brakło, żeby przy trumnie ostatniego Sanguszka kopię kruszono. *Post fata* pierwszej małżonki, która mu synaczka jednego powiła, zaszedł już był książę marszałek w sędziwość, daremnie na wnuczęta czekając. Czekalby pewnie do dnia sądnego, bo książę Józef — mówią — *sterilis...* Cóż więc miał czynić, nieboże? Sam o nowych Sanguszkach pomyślał!

Przestał pan Mokrzecki śladów zajęczych upatrywać. Całą twarzą ku towarzyszowi się obrócił i wężą pokręcając, zaśmiał się:

— Ano, zadość onych wymyślił. Mówią o pięciorgu...

— Sześcioro żyje, rotmistrzu dobrodzieju. Synów trzech i trzy córki. A niemal drugie tyle Bóg do chwały Swej wziął.

— I to wszystko z drugą małżonką?

— Wszystko z Duninówną, wielmożny rotmistrzu. Paniątka była lat siedemnastu — młode drzewko... Na takowem szczepić najlaciej, retmistrzuniu dobrodzieju. Jedynaście lat *in communitate* przeżyli — Pan Bóg błogosławił — co rok prorok...

Pokraśniał pan Mokrzecki — od mrozu może, a może od myśli, które mu towarzyszyły do głowy napędziły... Nie odezwał się zresztą ani słówkiem, wszystko *in petto* skrywając.

I znów w ciszy zupełnej po białej drodze śmigali, oczy mrużąc przed blaskiem, ze śniegu bijącym. Nie czuły zmęczenia konie — owszem, różne ich parskanie świadczyło, że im ten polot, wskroś białości, złości i modrego kryształ, uciechę sprawia. Więc rzadko popasano, a gdzie już koniecznie wypadało to uczynić, tam próżno karczmarz na swoje kugle, łoksiny i echt-węgierskie małmazje zapraszał. Wszystko się w sakwach podróżnych znalazło: i *solida*, i *fluida*; nawet nowomodna „kafa“, już na proch mialki utarta — i jeno wrznięcie do naparzenia onej od żyda żądano.

Pan Mokrzecki przez resztę drogi — która się omal nie przez cały dzień ciągnęła — poważny był i mało mówny. Więcej myślał, niż mówił, a gdy słów kilkoro bąknął, całe się do tamtej materji nie odnosiły.

Pod wieczór już było — który *in januario* ledwie że nie zaraz po południu zapada — gdy po dłuższym milczeniu, na towarzysza nie patrząc i jakby całe o onym zapomniawszy, półgłosem wyrzekł:

— Gdyby się znalazła taka, jak sędzina Towiańska...

Uśmiechnął się, ale tegoż momentu sposepniał:

— Nie! nie! — zaprzeczył sobie — taka nie najdzie się! Takiej drugiej na świecie być nie może!

Choć to jeno *a parte* było rzeczzone, dosłyszał słów cześnikowych Pafcio — i chytrze się uśmiechnął.

Słońce schowało się za szaniec puszczy dalekiej i zgasło szybko, jakby kto świecę zadmuchał. Razem z cimą wieczorną, tęskność jakowaś na ziemię padła. Westchnął pan Mokrzecki i swoje

sześcioro *amen* jął głosem jęklwym odmawiać. Zawždy on o swych zmarłych pamiętał, choć rzadko o tem mówił, a rozszerzać się ze swym sentymentem przed ludźmi za rzecz niemęską poczytywał.

Niedługo poczekawszy, wszedł miesiąc, biały a błyszczący, i blaski błogosławiące na ziemski padół rozlał.

W srebrnej poświacie ukazały się na lewo od drogi wzgórze dość wyniosłe, rzadkimi świerkami zjeżone, których dotąd na białych płaszczyznach widać nie było. Współcześnie droga zwęziła się i nachyliła, staczając nieznacznie w rozległą kotlinę, pełną łamiących się ze sobą światła i cieni.

— Łopienica! — oznajmił wesoło Mleczek, stron wolkowyskich od cześnika świadomszy.

Rękę wyciągnął — wskazującym palcem wodzić jął w prawo i w lewo.

— Tam, na wzgórzu, nade drogą — wymieniał — bieli się kościół i klasztor Ojców Franciszkanów. Kapłani to świątobliwi, a w sztuce ogrodniczej równych im na cały powiat niema. Ich kwiaty i frukta do Wilna idą, na stół biskupi i hetmański. Mistrzynią wielebnych ogrodników jest jejmość pani Bitowttowa, sama ogrodniczka nieporównana.

— Te dwie ciemne, wielkie plamy w dole — mówił dalej — to dwa stawy zamazłe. Grobelka je przedziela, wierzbami foremnie wysadzona. Z aleją ona się łączy, która potem w prawo skręca i do dworu prosto wiedzie. Cudnie tu latem, gdy na szafirowych wodach białopióre łabędzie cicho pływają, a korowód łodzi, w różne kolory malowanych, wstęgami i kwiatami strojnych, z muzyką i kompanią wesołą, tam i sam wdzięcznie krąży. Wszystko to zdziałane konceptem jejmości pani

Bitowttowej, w tych sprawach wielce doświadczonej.

— Dworu łopienickiego — ciągnął — za drzewami nie widać, ale jest to *aedificium* wspaniałe, murywane, które raczej pałacem mianowaćby się godziło. Cale inaczej ten dwór — ba, i cała Łopienica — wyglądały, dopóki kto inny tu mieszkał i rządził. Nowi dopiero posesorowie nowe życie we wszystko tchnęli. Dwór przerobiono kształtem nowomodnym, wedle planu jejmości pani Bitowttowej, która jest damą grzeczną i kunsztów nadobnych świadomą.

Kiwał głową pan Mokrzecki, relacyj Pafusio-nych słuchając. Gdy ów skończył, rzeknie:

— Z tej jejmości, jak widzę, chodząca doskonałość — albo raczej: doskonałości wszelakich kwintesencja.

Na to Mleczek:

— Czy tak jest *in effectu*, wiedzieć nie mogę. Wszelako fama stugębna szeroko jej cnoty roznosi. Smogorzewszczanka — to dość.

Tu pan Mleczek, słabostce swej folgując, zapuścić się chciał w szerokie rodowody — czasu już przecie na to nie stało. Sanie przyspieszonym pędem po drodze pochyłej sunęły, i niebawem, z poza czarnych konarów drzew, wychylił się wielki, murywany dwór, w którym już światła wieczorne palono. Nie było to zaś zwykłe wieczorne oświetlenie: wszystkie okna płonęły blaskiem rzęsimym, rzucając na śnieg sowe, różowe łuny.

Podjechawszy bliżej, usłyszeli ichmoście brzęk dzwonek i uprząży końskiej przy licznych saniach, które dziedziniec dworski zapępniały. Wrychle też słyszeć się dał dźwięk kapeli, skocznym rytmem przygrywającej. Śnać u państwa Bitowttów balowano.

Przejechawszy groblę, zatrzymali się, niepewni,

co czynić w tej okazji. *Stricte* rzecz biorąc, ani gośćmi, dla samej zabawy przybywającymi byli — ani się im też w podróжной odzieży przed tłumem balującym jawić wypadało.

Więc chyba do ciwuna zajechać, o nocleg poprosić, i dopiero jutro pośpieszyć na pokoje dworskie, dla złożenia atencji dziedzicowi i dziedzicze?...

Na drodze pojawił się chłopiec w krótkim, mocno w pasie ściśniętym, kożuszk.

— Słysz, człowieczku! — zakrzyknął nań cześnik.

Wieśniak stanął, usta szeroko otworzył.

— A co? — zwolna, po długim namyśle spytał.

— Co to dziś u was? bał, imieniny czy może praznik jaki?

Chłop przystąpił bliżej, zajrzał w oczy obu podróżnym, potem ich woźnicy, wreszcie przypatrzył się pilnie saniom i każdemu koniowi z osobna.

Uspokojony, lisiej czapy poprawiwszy, zaśpiewał:

— Tancujom pany, taj cóż? Na każdy dzień u nich muzyka. Młode som, coż skakać nie majom?

W tymże momencie ktoś, na małych saneczkach, w jednego lecz pięknego konia, od strony dworu podjechał.

— Służeczka waszmościów dobrodziejów! — kłaniał się, czapki uchylając. — Kto grobelkę łopienicką przejechał, ten już łopienickiego dworku minąć nie może.

— Z kimże mamy zdarzenie? — spytał cześnik, ukłonem za ukłon płacąc.

— Kupść jestem — przedstawił się tamten — jakoby *majordomus* dworu tutecznego. Przykaz nam taki, abym wszystkie godne personsy, na drogach łopienickich przydybane, nie zwlekając, *per fas et nefas*, do jegomości pana obersztajlantanta sprowadzał.

— My nie w gości — wyznał skromnie cześnik. — Interes nas tu sprowadza...

— Interes interesem, gościna gościna. Suplikuję waszmościów dobrodziejów, abyście woźnicy swemu ku dworowi skrócić kazali.

— Przytem — oświadczył cześnik — odzianiemy cale nie po balowemu. Kontusiki wdzieliśmy na podróż podnoszone, buciki czarne...

— O te faramuszki niech się już waszmoście dobrodzieje nie frasują. Zawiozę ich do komnatek gościnnych, a tam się wszystko uładzi.

Okazało się, że imćpan Kupść jest rezolut nie jeno w słowach, lecz i w czynach. Dalszych sporów poniechawszy i ekskuz cześnikowych nie słuchając, kazał Antonowi przesiąść na swoje saneczki, sam zaś miejsce jego zajął i ku dworowi popędził.

Na ogromnem zakolu przed dworcem, sanie skrzyły w prawo, potem w lewo, minęły rześście oświecony, piękny, piętrowy pałac i zatrzymały się przed jednym z pawilonów bocznych.

Wszystko tu było wspaniałe, pańskie, nowomodne — wszystko pachniało Warszawą, a bardziej jeszcze Dreznem i Paryżem.

W momencie, Anton z końmi i saniami odesłany został do stajen, a cześnik i Pafcio znaleźli się w wygodnej, cieplej komnacie, gdzie na kominku płonął ogień sowity, łoża zaś szerokie, puchówkami wysoko nastrzępione, zapowiadały nocleg wyborny.

Znalazły się wnet srebrne nalewki, wodą zletnioną napełnione, mydła aromatyczne, cienkie, ołenderskie ręczniki — owo zgola wszystko, co do obmycia grzesznego ciała potrzebne, w gatunku zaś tak superfinowanym, jakby z niewieściej gotowalni wzięte.

Wycudzili się obaj ichmoście przystojnie, pan Mokrzecki w mundur rotmistrzowski, Pafcio w atla-

sowy kontusik—zaraz im też polewki winnej gorącej, dla konkocji żołądka, podano.

Właśnie gęby po onej ucierali, gdy do komnaty wpadł, jak wicher, człowiek młody jeszcze, urodziwy, fantazji wielkiej pełny, w błyszczącym uniformie, po którym poznano, że to sam gospodarz, imćpan Franciszek Bitowtt, obersztlejtant dragonów królewskich i starosta dymnicki.

Szaławila, ale człek serdeczny, bez żadnych wstępów, obu gości uściśkał i wycałował, z należą wszakoż dla wieku i urzędu imćpana cześnika submisją.

— Czołem bije! sercem pozdrawiam! — powtarzał z błyszczącemi szczerą radością oczyma. — Od przybycia waszmościów, tak osobliwych dobrodziejów moich, na horyzoncie łopienickim jakoby słońce wzeszło. Zapraszam i suplikuję, aby waszmość panowie uhoronowali swą prezencją skromną kompanję, która się we dworze zabawia.

— Raczej prześwietnym ansamblem mianowaćby oną trzeba—zauważył cześnik, węża okazałego gładząc.

— Gdzie zaś, dobrodzieju najosobliwszy! Ot, zjechało kilkoro sąsiad łaskawych, więc sobie kęs pijemy, kęs płasami, boć w tych opresjach publicznych *laetificare corda* należy.

Nie upłynęło trzy *Ave Marja*, już ichmoście, hurmem szlachty znajomej i nieznajomej otoczeni, stali przed piękną, wystrojoną damą z pudrowanemi włosami, w szerokim sztywnym robronie, i słyszeli, jak ich gospodarz onej zalecał:

— *Madame ma femme, j'ai l'honneur de vous présenter deux de mes meilleurs amis. Monsieur Mokrzeci, rotmistrz buławy polnej, cześnik lidzki, mój szczególnie dobrodziej i łaskawca. Monsieur Mleczko...*

Zaciął się i zachłysnął, ale wnet *resolute* dokończył:

— Bywszy towarzysz jednej z chorągwi, wojskowicz nowogrodzki wołyński.

Uśmiechnął się jadowicie Pafcio, rączki jejmości całując, pomyślał wszelako:

— Tęgo węzła samby djabeł nie rozplątał...

Wdzięcznym dygiem przyjęła gości pani Bitowtowa i dla każdego słodkie a kwieciste słówko znalazła.

W tymże momencie zagrzmi kapela, na środek posuną pary menuetowe. Starościnę powiodł do tańca gładysz jakowyś, w wielkiej, umęczonej peruce, a cześnik i Pafcio zaprowadzeni zostali do komnaty ubocznej, gdzie poważniejsi ichmoście kielichem się zabawiali. Stały tam także stoliki do kart, a na nich duże rulony złota z brzękiem się przetaczały. Przybysze, na pokusy fortuny obojętni, bez namysłu *ad pocula* zasiedli.

Kompanja była zacna, wina przednie — pito pod miarę do wieczery, omawiając przeróżne *publica i domestica*.

Wieczere podano taką, żeby się onej sam Radziwiłł nieświski nie powstydział. Co zaś było po wieczery, tego już nigdy pan Mokrzecki uprzytomnić sobie nie mógł. Wszystko opary bachusowe, nakształt mgły gęstej, zasnuły...

X

Ciemno było, gdy się pan Mokrzecki przebudził i zaraz, według zwyczaju, równemi nogami z pościeli wyskoczył.

— Chłopcze! — krzyknął na pokojowca, drzwi uchylając.

W tymże momencie zjawili się ich dwóch, z których jeden niósł wodę ciepłą do mycia i czyste ręczniki, drugi zaś lampę zapaloną.

Spojrzy cześnik na ekscytarz — siódma. Latem wstawał o piątej, zimą o szóstej — więc mruknął, ziewając:

— Godzinę-m zaspał. A że legliśmy o czwartej, przeto: piąta, szósta, siódma — *summa facit*: trzy godziny spania. Dla żołnierza dość.

Spojrzał w stronę Pafcia, a ów, w puchówkach zakopany, śpi snem sprawiedliwych i jeno mu koniec nosa widać, z którego dobywają się osobliwe, flegmatyczne melodie.

Chwyci go za ramię, termosć weźmie.

— Wstawaj, leniuchu... śniadanie zażyczył

Usłyszawszy to, jeden z pokojowców głośno się roześmiał i rzecze:

— Chybaż wieczerzę, jaśnie wielmożny panie...

Zmarszczył się pan Mokrzecki na tę służusową konfidencję.

— Świat u was, widzę, na opak — mruknął.

— Rankiem wieczerza — to pewnie w wieczór do śniadania siadacie.

— Bogać tam, jaśnie panie. Gdyby tak było, toby teraz kucharz kawę warzył, a on właśnie indyka na rożen zasadza.

— O siódmej rano?

— O siódmej wieczorem, jaśnie panie — bo taką jak raz godzinę zegar pałacowy wskazuje.

Cześnik zdumiał, a i Pafcio oczy wytrzeszczył i usta otworzył kształtem całcie nie mądrym.

— Co gadasz?... Oszalałeś?...

— Com miał oszaleć! Jaśnie panowie calusieńki dzień Boży przespali, aż się jaśnie wielmożny starosta dziwował, po kilkakroć tu zaglądając, to wedle śniadania, to wedle obiadu.

Cześnik czempredziej zanurzył głowę w misie, a Mleczek napowrót dał nurka do puchówki, aby ukryć konfuzję. Po odejściu zaś służby, pierwszy rzecze:

— *Mirabilia* to są, Pafciu-duszo. Takowy *casus* raz mi się jeno trafił, i to w dawnych leciech — gdy mnie, młodzianka jeszcze, nieboszczyk książę Radziwiłł miodem starym utraktował. Jakże się czujesz, Pafciuniu?

— Jak ryba w wodzie, mości rotmistrzowi dobrodzieju.

— Ja także zdrow. Dowód to, że trunki przy wieczerzy były grzeczne i cnotliwe. No, ale pośpieszajmy na pokoje, bo o nas lada co pomyśleć gotowi.

— Noc poprzednia i Mścibowski niewywczas ekskuza nam będą!

Już się była połowa gości wczorajszych rozjechała — dość ich przecie zostało, aby przy wieczerzy gwar przyjemny czynić i fantazję podtrzymywać. Potrawy i wina nie ustępowały dobrocią

wczorajszym, a smaku i ponęty dodawała wszystkiemu uprzejmość gospodarza, bardziej zaś jeszcze jej pięknej małżonki.

Teraz dopiero mógł być cześnik jejmości pani Bitowttowej dokładnie się przypatrzeć i zarówno jej urodę, jak zalety duszy, lepiej ocenić.

Była to dama wzrostem niezbyt wysoka, ale o której rzecz było można, że jest jak najpiękniejsza porcelanowa figurynka, w każdym szczegółliwie misternie ukształcona.

Ani wiedział pan cześnik, jak miłą siurpryzę chowa dlań ta nadobna osóbką. Oto, gdy znaleźli się *a parte*, wręcz go ona zagadnie:

— Dawno też łaskawa Fortuna pozwoliła waszmośćpanu oglądać oblicze pani sędziny Towiańskiej?

Na to, pozornie tak zwykłe, zapytanie, przebiegła pana Mokrzeckiego jakby iskra piorunowa. Zdrętwiał na moment i pobladł, a potem mocno pokraśniał.

— Honorują mnie drogocenne słowa pani starościny dobrodziejki... — zakłopotany jękał. — I nigdy nawet w suppozycji nie miał, żeby... w tej okazji...

Zaciął się, skonfundowany.

— Och! och! — zaśmiała się pani Bitowttowa — nic w tem niema ekstraordinaryjnego. Sędzina jest moją przyjaciółką od serca, ze wszystkiem mnie się zwierza...

Cześnik milczał, trąc podgoloną czuprynę; oczy miał w końce czerwonych butów nieruchomo wbite.

Obersztlejtnantowa zaś słodko cedziła:

— Sędzinka zawsze mile waszmości wspomina, o ile stracona przez marjaż swoboda na taki afekt zezwala. Sędzia dobrodziej ma w niej wierną i stateczną małżonkę, otacza też ją wszelakimi delicjami — i w złoczonej przecie klatce zdarzy się

plaszкови westchnąć za minioną przeszłością — za gaikiem, w którym, czasu wiosny, inne śpiewanie słyszał...

Cześnikowi było razem i błogo, i strasznie. Chciałby był owych konfidencji do końca życia słuchać, a przecie ucieszył się, gdy mu konwersację przerwano.

Do starościny, w ukłonach i lansadach zbliżył się małżonek dobrodziej. Zawsze się on po kawalersku przy żonie zachowywał, z submisją i atencją, afekt gorący wyrażającami.

Sklonił się cześnikowi a starościne w łapkę cmoknąwszy, rzecze:

— *Ma très chère Franula! Mon admirable épouse!* Cała dostojna kompanja, która domek nasz swą prezencją gloryfikuje, składa u stópek jejmości swe wota pokorne, aby Franula dobrodziejka swym głosikiem syrenim coś niecoś przy klawicymbale zanucić raczyła...

— Zawżdy na usługi swych gości łaskawych gotował — oświadczy starościna i natychmiast ku klawicymbałowi pośpieszy.

Głos okazał się w zupełnej harmonji z osobą — miły, jak ona, słodki, do serca prosto trafiający. Zgadzał się też z onym i instrument, którego klawisze, pod białymi paluszkami, niby stado zięb i skowronków świegotały.

Oczarował cześnika śpiew pani Bitowttowej — w oczach łzy mu się zakręciły, gdy starościna, jak gołąbek, gruchała:

Gdyby Bóg łaskawy
Pozwolił w tej mierze
Cieszyć się plejzurą
Do czego gust bierze...
Ach! — Ach!... —
Ochl — Och!...

Tego wieczora nie tańczono — ile, że pan Wojniłowicz, podkomorzy nowogrodzki, główny tańców promotor, porzucił był kompanję, przez umyślnego do chorej małżonki wezwany.

Był to człek wielkiego dowcipu i fantazji kawalerskiej, niedarmo też go księżę Radziwiłł nieświszki, hetman wielki litewski, swym przyjacielem i konfidentem uczynił.

Po odjeździe onego — jako to jest zwykłe u herbowych — wszczęła szlachta dyskurs o Wojniłowiczach.

Tu dopiero mógł przyjść do słowa pan Mleczo, który dotąd z musu w milczka się zabawiał.

Szło o prozapję domu wojniłowiczowskiego, który od czasów Trojana, obrońcy Lachowicz, szeroko po Litwie się rozslawił.

Gdy obecny imćpan Karp nazwał Trojana dziadem podkomorzego, zjeżył wasy Mleczo i mruknął:

— Przeskoczyłeś waszmość jedno pokolenie, a to w genealogjach *non licet*. Sławnej pamięci Trojan, wojski nowogrodzki, nie dziadem był panu podkomorzemu, jeno pradziadem.

— Jakże to? — spytał tamten. — Toć pisze ksiądz Niesiecki...

— Uniżenie proszę waszmości, abyś mi o tym Jezucie nie wspominał — zżymnął się Mleczo. — Bazarz to osobliwy, a jego *opus* w sam raz na tutki do pieprzu. Kto zakonowi świadczył, to u niego luminarz — o innych wie piąte przez dziesiąte, więcej z babskich, refektarzowych i odpustowych plotek, niż z dokumentów. O Wojniłowiczach firki popisał. Jednych po dwakroć powtarza, innych opuszcza. Napłodził fikcyjnych, a o istniejących nie wie.

Któryś z gości stateczniejszych basem głębokim objaśnił:

— Jegomości pana podkomorzego rodzi Jan Wojniłowicz.

— Tak — przyświadczył Pafcio — podwojewodzi nowogrodzki. A Jana rodzi Jan Teodor Wojniłowicz. Ten zaś miał dwóch braci: Pawła i Stefana.

— Wiem-ci, wiem! — wyrwał się z kąta imćpan Kopeć, ocierając zmaczane w winie wąsiska. — Obaj podkomorzyce nowogrodzcy.

— Stefan już nie podkomorzyc, bo podstoli Nowogródka siewierskiego.

Ten i ów rozśmiał się. Zawsze ów Nowogródek i godności jego wesołość budziły.

Korzystając z momentu, pan oberszteljtant skinął na sługę, który stał we drzwiach, dźwigając na tacy gąsior brzuchaty.

— Serdeczni dobrodzieje! — kordjalnie zaśpiewał, rozkładając ramiona, jakby chciał wszystkich do piersi przycisnąć. — Wiem, że waszmościów panów nie godzien, ale większa jest wspańałości wasza, niżli moja mizerja, więc tuszę sobie, że mi nowej łaski nie odmówicie. Oto...

W tym momencie wjechał na stół ów brzuchacz dwugarncowy, pleśnią a grzybami porośły, od którego powietrze piwniczne na biesiadników powiało. Rozszerzyły się nozdrza panów braci, którym ów zapaszek, sam przez się wabny, był zapowiedzią smakowych i węchowych delicyj.

— Oto — dokończył imćpan Bitowtt — cenny dokument, który więcej, niż zbutwiałe papiery, powie waszmościom o cnym Wojniłowiczów rodzie. Dał mi go pan podkomorzy, osobliwy mój dobrodziej, a pamięta pono Trojana, bohatera Litwy, który ją przy Boskiej i pana Stefana Czarnieckiego pomocy, od natrętów oswobodził.

Przyjęto propozycję *unanimiter*, wyrażając zgodę

nie głośnemi okrzykami, jeno pełnem solenności milczeniem.

Przy pierwszej kolejce było cicho, jak makiem siał; przy drugiej, ocknęły się co niecierpliwse języki — trzecia zdziałała cud, że wszyscy przemówili, a wszyscy hucznie i równocześnie.

Umysły, skierowane ku wywodom genealogicznym, nie porzuciły i teraz tego obiektu. Każdy miał coś do powiedzenia i o Wojniłowiczach i o innych rodach litewskich. Spierano się, krzyczano — nazwiska, imiona, tytuły, daty sypały się rzęsście, jak ogień rotowy.

Pan Mleczek mówił najwięcej i nikomu przegadać się nie dawał. Miał zresztą w tej mierze powagę ustaloną; bywało, że nawet Radziwiłłowie, Sapiehowie i Pocię do niego w wątpliwościach się zwracali.

Węgrzyn nieboszczyka Trojana rozgrzał szlachcica, który w zwykłych okazjach bywał cichy i pokornego serca, lecz ekstraordinarynie stawał się oratorem wielomównym, a podczas i gwałtownikiem.

— *Tempora mutantur*, dobrodzieje moi! — krzyczał, szyję wyciągając, cały już od trunku czerwony. — Dziś Wojniłowicze z Radziwiłłami z jednej szklanki piją, a za króla Zygmunta Augusta, Semen Wojniłowicz z Radziwiłłem Krzysztofem, co to go przezwali „Sierotką“, koty darł o kawałek jeziora i jakąś łączkę nadbrzeżną. Po trybunałach się wodzili — ledwie, że nie za łby brali!...

— Ot, Semen wymyślił! — wtrącił jakiś głos przekorny. — Wojniłowicze, dobrodzieju, zaczynają się od Trojana; Trojan zasie był sam, jak palec.

Na to ów:

— Podwójnieś waszmość pobłądził. Ani Trojan dał Wojniłowiczom początek, ani był w rodzie

sam jeden. *Ad fontem* chcąc sięgnąć, cofnąć się musisz wstecz przynajmniej o dwa pokolenia. Dowiedz się także, że miał Trojan rodzonego, któremu było Michał. Przy Czarnieckim ów w Danji wojował. Od tego to Michała poszła młodsza Wojniłowiczów linja, która na różnych imionach siedzi. Starsza zasie linja jest zawsze „Niańkowska“ *alias* „Borysyńska“, bo się twardo Niańkowa i Boryszyna trzyma. A co się tknie trzeciego Wojniłowicza, któremu było Jerzy...

— Zadość już mamy Wojniłowiczów! — przerwał mówcy gruby pan Karp, grzmocąc w stół wielką szklanicą.

— *Satis!... Satis!...* — poparli go drudzy.

Z katów szydzić zaczęto:

— Jużby też przestał na jednej strunie bzykać!

— Zapachniał mu Niańków, jak żydowi cebula!

— Kto o czem, ksiądz o Magdzie, a ów o Syrokomli!

— Widać *illiteratus* — Paprockiego jeno jedną kartę przesylabizował!

— Na Wojniłowiczach, braciszku, Litwa się nie kończy! — zamknął rzecz imćpan Kopeć basem piwnicznym.

Do Mleczka łacno przystępowała cholera. Już też i węgrzyn podkomorzego ogień mu w żylach zażęł. Więc, gdy mu tak panowie bracia nad uszami ksykały a kół, niby osy natrętne, czuba siwego najeży i wrzaśnie:

— Ej! jak to się Litwa rozjechali! Ckni się „bojarom“, że tu ich prozapji nie wywodzę. Czekaćcież, mileńcy — na każdego kolej przyjdzie. Jeno, że mi o wasze pergminy trudno. Stara szlachta — w arce Noego jej gniazdo. Zachował Noe wszelakiego zwierza po parze, to i o was nie zapomniał. *Patientia* zatem. Nie pchać się i tumultu nie czynić.

Wszyscy pójdą ordynkiem — ale po starszemu na gałąź!...

— Przemilczano koncept o arce — na „bojara” przecie ten i ów się zżymnął. Po kątach słyszeć się dały niedźwiedzie pomruki.

Pan obersztajtendant zaniepokoił się, mówcę na stronę odciągnął, coś z nim poszeptał...

— Kochani! serdecznie! najosobliwsi dobrodzieje moi! — ujmująco przemówił, do kompanji wracając. — Jegomość pan Mleczek krotofilnie się wyraża, gdyż sprawę całą za krotofilę poczytuje. Nie na Sejmie, nie w Kole Rycerskiem ani na Trybunale rozprawiamy, jeno *privatim, inter pocula*. Wszelako, kto mu krzyw, tego prosi i suplikuje, by jawnie wystąpił.

Pomruki ucichły — ozwały się głosy:

— Niech gada — my po nim!...

Wygramolił się tedy Pafcio na stołek, wielki palec lewej ręki za pas zatknął, czuba zadarł i prawą ręką żywo gestykulując, w ten sens zacznie:

— Prześwietne rycerstwo Wielkiego Księstwa Litewskiego! Przechacni, karmazynowi i szaraczkowi, bracia szlachto! *Illustrissimi domini, tam boćwiniarze, quam kolduniarze!*...

Rozszerzyły się policzki, roześmiały oczy — wszelaki rankor z serc ustąpił. Zrozumiano, że to *in effectu* — krotofila.

— Szeroko i głęboko — ciągnął Mleczek — rozrodzili się *nobiles Lituaniae ac Samogitiae*. I czas przyszedł, że wypadło dla onych *Genesis* napisać. Podjął się tej imprezy *meus amicus, Bobricus, historicus*, którego *opus immortale* waszmościom dobrodziejom prezentuję.

Odchrząknął, odkaslnął, w chustkę splunął — zwolna a dobitnie wygłaszać jął:

— Oto są Księgi Rodzaju narodu zacnego, uczciwszy uszy, Księstwa Litewskiego, według opisu

małego Bobryka, najprzedniejszego w Litwie historyka:

Radziwił zrodził Sanguszka, Sanguszko wysadził Kryszpina, Kryszpin wyrwał Białozora, Białozor wytrząsł Kurcza, Kurcz wyciągnął Kopcia, Kopeć wykopcił Hołownię, Hołownia wyświeciła Prozora... A Prozor wypalił Rora, Ror wyrznął Kirkora, Kirkor Bremera, Bremer Romera, Romer Mejera, Mejer Rożna, Rożen lepak Suryna, Suryn zaś Sweryna... A Sweryn wydział Horaina, Horain wyrarił Szewrotę, Szewrota wyszemrał Korfa, Korf wykołatał Korsaka, Korsak wykrzeszał Kośniaka, Kośniak wystawił Bułhaka, Bułhak wytrącił Kułaka, Kułak wytłoczył Czernika, Czernik dobył Szóstaka, Szóstak kupił Półtoraka, Półtorak dostał Kuropatwę... A Kuropatwa wypuściła Woronę, Worona wysiedziała Sorokę, Soroka wyległa Czyżę, Czyż wyśpiewał Dropia, Drop wydreptał Hołuba, Hołub wygruchał Sołohuba, Sołohub wyhołubił Drożdżika, Drożdżik zaś wygwizdał Draudzika...

Zamilknął zmęczony pan Mleczek i kęs poczękał, ruchem wymownym znać dawając, że mu w gardle zaschło. Wyciągnęło się doń zaraz rąk kilkanaście, a w każdej szklanica tkwiła, pełna nalana.

Szlachta pokrzykiwali:

— Dzbanemby mu nalewać za taką orację!

— Nikomu bestja nie przepuścił — nawet Radziwiłłowi!

— *In vino veritas*. Po trzeźwu, milczkiem się zdał i symplakiem!...

Pan Kopeć symulował gniew:

— Żeby cię, braciaszku, kaczki zdeptali za Kopcia!...

Żaś pan Hołownia dorzucił:

— A za Hołownię bodajesz zjadł sto par półgęsków!

«Pociągnął Mleczeko tego to z tej, to z owej szklarnicy, językiem młasną, wąsy otarł—i tak dalej rzecz prowadził:

— *Ergo*, jako się rzekło, Drożdżik wygwizdał Draudzika, Draudzik zaś pokazał Odyńca, Odynieć wyrzył Ordyńca, Ordynieć sporządził Fedziuszka, Fedziuszko wyszpecił Okuszkę, Okuszek wyrobił Boniuszkę, Boniuszek posadził Kościuszkę, Kościuszek wykosił Moniuszkę, Moniuszek Wieliczkę, Wieliczko Władyczkę, Władyczko Wołoczka, Wołoczko Tołoczka... A Tołoczko wytłukł Siemicza, Siemiecz wysiał Homicza, Homiecz znalazł Kondycza, Kondycz złapał Koszczyca, Koszczyć przyniósł Machwicza, Machwicz machnął Oleksica, Oleksic stworzył Bołbasa, Bołbas wybełtał Korkucia, Korkuć wykorcił Asperjasza, Asperjasz otworzył Worytkę, Worytko wyorał Korytkę, Korytko zaś wylał Wala... A Wal wywalił Morkutę, Morkut wymruczał Rahożę, Rahoża wyplół Moroza, Moroz ściał Kotła, Kocioł wysmażył Skopa, Skop wytryksał Kozła, Kozioł zaś wyskakał Burego... A Bury wymłócił Owsianego, Owsiany Jęczmiennego, Jęczmienny wysypał Skorobohatego, Skorobohaty wyskrobał Mikrutę, Mikruta Ancutę, Ancuta Łodziatę, Łodziata Puciatę, Puciata Zawiszę, Zawisza Medeksę, Medeksza Bakszę, Baksza Jadwejszę, Jadwejsza Godwejszę, Godwejsza Rymszą... A Rymsza rymnął Rudominę, Rudomina wydobyl Haraburdę, Haraburda wykrzyczał Orde, Orda poczęła Wojnę, Wojna wysiekła Tryznę, Tryzna wytrysnęła Wirzotofkę, Wirzotofka wykleciła Żabę, Żaba wydukała Żabkę, Żabka wykrzekotała Skołohubę, Skołohub wydułubał Macieszę, Maciesza wymacał Janinę, Janina Puzyne, Puzyna Hreczynę, Hreczyna Botwinę...

W tem miejscu znów mówcy tchu przybrało, i znów z pełnego kielicha zaczerpnąć go musiał.

Litwa śmieli się półgębkiem, ale Żmudź i Inflanty od zbytnej wesołości aż boków nadrywali. Najosobliwiej rade były krotofili wszelakie Steinery, Fitzthumy, Weissyi i inne podrzucone Rzeczypospolitej Sasy, których pod tę porę w wojsku koronnem i litewkiem nie brakło.

— A o Karpach nicże nie będzie? — zagadnął flecikowym głosem pan Karp, stolnikowicz wołkowyski, człek chudy a kościsty, całę nie karpiej urody.

— *Patiential!* — uspokoił go Mleczeko. — Kolej na każdego przyjdzie — wszyscy na drzewie rodowem zawisną.

— *Ergo*, mospanie Mleczeko?

— *Ergo*, jako się rzekło, Hreczyna wydał Botwinę. Botwina zasie ułowił Karasia, a Karaś wypłuskał Karpia...

— To postpozycja, mospanie Mleczeko! Karpie zawsze chadzali przed Karasiami...

— Nie jam porządek ów zmienił. Uczony *Bobricus* tak pisze — mnie poprawiać go wara... *Ergo*, z Karpia wypłynęła Sielawa, z Sielawy uczynił się Sielec, Sielec natrafił Szyszła, Szyszło znalazł Szyszkę, Szyszka wyleżała Glinde, Glinda wyględziła Łubę, Łuba wylupała Roubę, Rouba zdysła Łapę, Łapa złapała Burbę, Burba wybrała Reszkę, Reszka wyrechotała Koszkę... A Koszka wymruczała Wereszczakę, Wereszczaka wywrzeszczała Suchomiakę, Suchomiaka wysuszył Komuniakę, Komuniaka wykrecił Iszore, Iszora wykończył Kończę, Kończa Borejszę, Borejsza Skorupe, Skorupa wysmażyła Kodłubaję, Kodłubaj wydłubał Litawę, z Litawę wydobyl się Koracz, a Koracz wytłoczył Tokacza, Tokacz wyświdrował Rymwida, Rymwid Monwida,

Monwid lepak ulepił Pakosza, Pakosz także Kołczana, Kołczan wykolił Mołczana, Mołczan wymilczał Aspersa, Aspers wykropił Ostroucha, Ostrouch Wysłoucha, Wysłouch Sołoucha, Sołouch Pocięja, a Pocięj wypocił Kierdeja, Kierdej zaś Kołontaja...

— A nicze, kochanieńki, nie powiesz o sobie? — przerwał mówcy, z przekąsem niejakim, pan Wysłouch, wychylając z ciżby łysą i, jak dynia okrągłą, głowę.

Mleczek złożył mu ukłon niziuchny i rzekł:

— Właśnież, na usługi waszmości dobrodzieja mego. Kołontaj wydoił Mlecza, Mleczek dało Śmietankę. Śmietanka urobiła Masło. Masło zdało się do Ziemi, a Ziemia do Serucia, Seruc zaś wykarmił Kuleszę, Kulesza wychował Skoworotkę, Skoworotka wytłukła Kaszę, z Kaszy wzięła się Krupa...

— Oho, — zaśpiewał on tych powtórę — pokiebasileś, kochanieńki! Krupy nijakiego w Litwie nie masz. Jest jeno Krupek herbu Krupka.

Ktoś odpowiedział:

— Są także Krupscy herbu Korczak.

Inny poprawił:

— Nie brak onych i herbu Topacz.

— Pozwólcież, dobrodzieje moi! — wyrwał się z kąta milczący dotąd szlachetka. — Są jeszcze Krupcy, Krupiccy i Krupoccy. Krupickich rodzina znaczna w Pińszczyźnie. Sam onych znałem.

Dyskurs stał się powszechny.

Bieluśki jeden staruszek podniósł w górę palec trzęsący się, na znak, że chce mówić. Cała kompanja umilkła, on zaś oświadczył:

— Jegomość pan Wacław z Potoka Potocki, podczaszy krakowski, ostrzegał, aby nie mieszano Krupskich z Kurpskimi. Pierwsi, to stara, osiadła

szlachta litewska, drudzy zasie ród swój wiodą z Moskwy. Powiadał on o tem:

...Znałem Kurpskich wiele

W Litwie, ale od Kurpskich różnej parentele.

Jeżeli z Moskwy poszły familije obie,

Nie wiem jakby je zgodzić? — bo Kur Krupy zdziobie.

Rozśmieli się szlachta po swojemu, to jest hucznie a krzykliwie, jakby naraz stado pawłów wrzasnęło...

Dopiero, gdy ten wybuch przycichł, dorwie się do głosu Mleczek, zgłoła zakrzyczany i wesa szpakowatego w rozdrażnieniu przygryzający.

— Dobrodziele! mości panowie! bracia Litwini! — krzyczeń weźmie. — Choć wy na mnie kupą, ja przecie się nie dam. Daj Bóg zdrowie Krupkom, Krupcekim, Krupickim i Krupockim. Niech żyją fortunnie i Kurpscy, których *origo* w kniaziowskim Kurbskich domu. A taki nie przedam ja waszmościom swego Krupy, o którym wszystkie już zaścianki śpiewają:

Król Jagiełło bił Krzyżaki,

I pan Krupa chciał być taki...

Krupa, powtarzam, Krupa — a nie Krupka, Krupce, Krupicki czy Krupicki.

— Protestuję! — zakrzyknął ktoś, mocno już podpiły. — Szlachta, to bractwo, rodzina — świętość, mosanie! Dość już mamy skartabellów i neofitów — nowymi wtrętami zapaskudzać jej wara!

Rzuci się Mleczek, jakby nań kto wrzątkiem prysnął.

— Psu swemu każ waść warować, a nie szlachcicowi tak dobremu — ba, lepszemu! — jak sam jesteś!...

W moment przyskoczył doń tamten z podniesioną pięścią, drąc się na całe gardło:

— Co?... jak?... „Lepszemu?...“ Odemnie lepszemu?... Pukszta jestem, mosanie!... Od Pukszty nikt lepszym być nie może.

— Pukszta czy Szukszta, to mi zarówno. A waść się nie drzej, bo cię tu *immediate* uciszyć potrafię.

— Spróbuj... Pożałujesz!

— Owa!... Dośćby mi było kułakiem głębę ci zatkać!

— Pożegnałbyś się z onym — i z całą ręką!

— Pierwejby twoja odpadła, po samo ramię odrabana!

Indyczą się tak, srodze obaj rozczzerwienieni, strasznie ślepiami przewracając, patrzeć zaś na nich — istna krotofila.

Pukszta, mały a przysadzisty, z głową w ramionach, na krótkich, krzywych nogach, wyskakuje ku Mlecze, na wysokim stołku stojącemu. Tamten zaś, długi a chudy, na nogach szczudłowatych, z nosem pociągłym, zgarbił się i z góry onemu wygraża. Bocian, rzekłbyś, zabierający się dziobnąć żabę.

Animusz obu, węgryzmem podkomorskim podniecony, wzrastał tak gwałtownie, że maluczko, a porwałiby się do szabel. Widząc to, kompanja rzuciła się ichmościów rozdzielać, mitygując zapezrzonego Mlecza i odciągając Puksztę, który z wielkiej pasji tupał nogami i zgrzytał.

W rozgardjaszu ostatniemu urwano połę od kontusza, Mleczo zasie, zrzucony ze stołka, legł, jak długi, na pawimencie.

Ponieważ, ległszy, powieki zawarł i żadnym członkiem nie poruszał, zatrwożono się wielce, czy go od cholery śmierć nagła nie potkała...

Ale uspokoił gospodarza i panów braci imćpan Mokrzecki, który znając dobrze swego rezydenta i przyjaciela, ledwie nań spojrzawszy, oświadczył krótko:

— Chrapnął.

Zaczem Pałcio przez dwóch rosłych hajduków wyniesion jest do komnat gościnnych, gdzie go łożę, puchówkami usłane, w objęcia przyjęło i utuliło.

Pukszta, jeszcze po ustąpieniu adwersarza, rzucał się i hałasował, zwady to z tym, to z owym szukając. Wówczas pan Karp, w takowych sprawach *vir expertus*, szepnął panu staroście, aby kazał przynieść petercymentu. Gdy gwałtownikowi przyzwoitą *dosis* pieprznoognistego trunku zaaplikowano, wnet się uciszył, głowę o poręcz wsparł i ssąc kielich, niby pierś matczyną, słodkim snem niemowlęcia zasnął.

Nowego wybuchu obawiając się, pozostawiono pana brata *in pace*.

Szlachta powróciła do kielichów i do przerwanego dyskursu.

— Panu Mleczkowi — ozwie się ktoś — Bachus nie pozwolił rzeczy swej doprowadzić *ad finem*. Powiedział on nam jeno, co było przed transmigracją Litwy do Żmujdzi. A przecie nie kończy się na tym punkcie ani świat, ani Litwa...

— To się wie — przytwardził inny. — Nie do czekał się nawet wyvodu swego nieboszczyk Pukszta...

— Nieboże — westchnął trzeci — nawet przed Świętym Piotrem wylegitymować się ze swego szlachectwa nie potrafi...

Dla szlachty, każdy, kto kielichowi placu nie dotrzymał, był *mortuus*. Wykreślali go natychmiast z listy żyjących — do pewnego, rozumie się, terminu.

Starosta skinął na służbę, która w mgnieniu oka niedopite kielichy ze stołu sprzątnęła, stawiając na ich miejscu inne, po same wręby nalane.

— Najosobliwsi, najserdeczniejsi, całą duszą ukochani panowie bracia i dobrodziejcie moi! — ze

łzami w oczach zakrzyknął, ramiona do uścisku rozkładając. — Robak nędzny jestem, ale mię łaska wasza do najwyższej godności podniesie, gdy na intencję nieboszczykowską raczycie wychylić jedną jeszcze koleję: za zdrowie duszyczek w czyścicu cierpiących...

Z wielkiem przejęciem się wezwania wysłuchano. Nikt słowa jednego nie wyrzekł, nikt nie powiedział: „tak”, ani „nie” — ale wszyscy, ręce do pełnych puharów wyciągnawszy, krzepko one ścisnęli.

Ponuro jęknął chór:

— A dusze zmarłych, które w grzechu z tego świata zeszyły, niech odpoczywają w pokoju wiecznym...

Wszyscy, jak jeden, puhary do ust podnieśli.

Wszyscy, jak jeden, osuszyli je do dna.

Wszyscy, jak jeden, huknęli:

— Amen!

Wrychle potem, to tego, to owego wynoszono na spoczynek — nie wiekuisty wszelako. W sypialniach, zamiast letniej, esencją różaną zaprawnej wody, pojawiły się miski ze śniegiem. Niedawna *bilaritas* ustąpiła miejsca jękom i zębów zgrzytaniu.

Jeno pan cześnik Mokrzecki, w zupełnej czerstwości zdrowia, ze sterczącym w górę wąsem, na kwaterze swą bez niczyjej pomocy poszedł, sam się rozdział, codzienne modlitwy *pro defunctis* odmówił i leżał spokojnie na łożu.

A przed zaśnięciem, wżgardliwie wydawszy wargi, nachmurzył się, i w przestrzeń, niewiadomo do kogo, rzucił:

— Kpyl...

XI.

Było nieco po dziesiątej, gdy rzeźwy cześnik z osowiałym Pałciem udali się do pałacu na posiłek ranny, mianowany „drugim śniadaniem”, choć obfitością wiktów niemal obiadowi dorównywał.

Spożywano owo śniadanie albo wspólnie z gospodarstwem, albo *a parte*, każdy w swojej kwaterze. Tego dnia tak się złożyło, że jeno pan Mokrzecki i jego rezydent do wspólnego stołu sięść mieli.

Wyszedł na powitanie gości pan obersztylejtnant, serdeczny, jak zawsze, lecz jakoś markotny. Ucałował obu, o stan zdrowia troskliwie wypytał, a potem zaraz, na środku komnaty stanawszy, minę przybrał smętną i wyrzekł:

— Żałosną wieść waszmościom dobrodziejom mam zwiastować. Wczoraj, o godzinie szóstej na półzegarzu, jegomość pan sędzia Towiański, serdeczny mój przyjaciel i najosobliwszy dobrodziej, *cito et insperate*, terminu dni swoich doszedł...

— Umarł? — wykrzyknął cześnik, pełen przeżenienia.

Starosta ręce rozłożył, głową pokiwał.

Zapanowała na dłuższy moment cisza, którą maścił jeno szczepek gdańskiego zegara w kacie. Wszyscy głowy zwiesili, pełni powagi i zadumy. Przerwie wreszcie milczenie Mleczko, mówiąc

głosem cichym a głębokim, do okazji przystosowanym:

— *Sicut flos egreditur, et fugit velut umbra*. Róża wspaniała rozkwitała, a zwiadła, jako trawa podcięta... *Requiescat in pace*.

W głowie cześnika myśli kołowały, napelniając ją chaosem. Żał mu było przyjaciela, żał człowieka prawego, choć podczas i przykrego w pożyciu; litował się też nad małoletnią, pozostałą po nim sierotą; wszelako nie była ta boleść tak wielką, żeby mu aż całą duszę osmęcać miała...

Coś tłumilo porowy żalu, coś trzymało na wodzy litość. Myśli z trudnością dawały się skupić na smutnym obiekcie; odlatywały wciąż odeń z drażniącą płochością.

Żył się pan Mokrzecki na siebie samego, na swe niewczesne rozstanie, na grzeszną obojętność...

Przy stole jedzenia nie tknął — cmokał jeno małemi łykami kawę z porcelanowej filiżanki i siedział, jak mruk, w pustym talerzu wpatrzony.

Inni zatrudniali się *exclusive* nieboszczykiem.

— Zawždy był superfinowy... — szczebiotała miłym, flegmatycznym głosem pani Bitowttowa.

— Jak kurczę! — potwierdził pan Bitowtt, we wszystkim echem swej jejności będący.

Pafcio wtrącił półgłosem, nieśmiało:

— Nie wadziło mu to przecie wazą krupnik litewski spijać i kopami zmiatać kołduny...

— A co mówią o zbytniej nieboszczyka porwywości, to czysta kalumnia — ciągnęła dalej słodko staroscina. — On jeno, najpocziwsza pod słońcem dusza, ścierpieć nie mógł widoku uciśnionej cnoty...

— Uciemionej niewinności... — dodał starosta, czule w małżonkę wpatrzony.

A Pafcio wtrącił:

— Widział zaś one na każdym kroku, najpierwej zaś — we własnej personie...

— Ach! — westchnęła oberszteljtantowa, chusteczkę koronkową do oczu przykładając — anioła straciła jejność pani Towiańska — prawego anioła!

— Sama takż aniołem jest prawym! — westchnął oberszteljtant, powiekami mrugając, aby z oczu bodaj jedną łzę wycisnąć.

Mleczko, któremu jeszcze z głowy wczorajsze czeremere nie zgoła ustąpiło, mruknął:

— Jegomość anioł, jejność aniołowa, to jejnościanka pewnikiem — aniołówna. Szkoda, że się ta familja obficie nie rozrodziła, mielibyśmy niebo w ludzkim powiecie...

Na te faramuszkę Pafciowe nikt uwagi by najmniej nie zwracał. Zresztą czynione były bardziej dla osobistej satysfakcji, niż na użytek publiczny.

Staroscina, mieszając łyżeczką kawę, której jeno kilka kropel przez białe ząbki przecedziła, ozwie się wprost do pana Mokrzeckiego:

— Wszystkim nam do Kotczyna trzeba jechać, nieboszczykowi panu sędziemu posługę ostatnią oddać, nieutuloną w żałosci wdowę pocieszyć...

Zanim jeszcze zagadnięty zdołał odpowiedzieć, już starosta przypadł do rąk małżonki i czule one obcałowywał.

— *Charmante Franula!... ma femme exquisel...* — mówił, romansowo w jej oczy patrząc. — Z aplauzem tę myśl przyjmuję, jak wszystko, co z różanych ustek mojej Minerwy wychodzi. Tuszę takż, że jegomość pan cześnik, ekstraordynaryjny mój przyjaciel, i (ku Pafciowi się zwrócił) pan wojskowiec nowogrodzki, serdeczny nas wszystkich łaskawca, i wszyscy zebrani *in hoc momento* pod dachem moim

sąsiedzi, współpowietnicy i najosobliwsi dobrodziejowie moi, wraz z nami na pogrzeb jegomości pana Towiańskiego pśpieszą.

— Bodajby zaraz! — przytaknął cześnik, budząc się z zadumy i na Pafcia spojrzając, który powstał i kłaniając się towarzystwu, oświadczył:

— Komu w drodze, temu czas. Gdy mamy jechać, to już mitrzyć nie wypada, jeśli chcemy oblicze nieboszczykowskie chociaż w trunie obaczyć.

Zaczem wszyscy się do komnat swych rozeszli i do drogi gotować się jęli.

Pan sędzia Towiański, acz nie magnat, człek był znaczny i w powiecie swym konsyderowany. Wieść o jego śmierci, dzwonami licznych kościołów i cerkwi, od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, od zaścianka do zaścianka, podawana, szeroki krąg obiegła i szerokiem w sercach współziemian odbiła się echem.

Do Kotczyna śpieszono zewsząd karocami i kałamaszkami, wierzchem i *per pedes*. Pospołu ze szlachtą, księżmi i rycerstwem, ciągnęło tam, chmarą wielką, dziadostwo wszelkiego kalibru, chrome, ślepe, pokurczone, wiezione na wózkach, przez psy albo pacholeta prowadzone, na szczudłach dyrdające i czołgające się na czworakach — dziadostwo syte, wypasione, gorzałką cuchnące, którego łapcie były grubo wymoszczone słomą, a łachmaniaste opończe sowito, od spodu, futrem zajęczym podszyte.

Drogi się popsuły, śnieg był kopny — ledwie na noc dowleczono się z Łopienicy do Kotczyna.

Uściskom, łzom i jękom końca nie było, gdy starościna z sędzią witać się jęły. Aż je przemocą rozłączać musiano i sole im trzeźwiące pod nosy tkać, boby pewnikiem obie jejmoście pomgłały.

Zresztą, z panią Towiańską dyskursu żadnego być nie mogło, jeno bowiem ręce co moment ła-

mała i tuląc do boku swą córę, jęczała głosem rozdzierającym:

— Och, sieroty my teraz — sierotęńki!

W wielkiej bawialni, gałęźmi świerkowemi przybranej, których ciemna, prawie czarna, zieleń pochłaniała światło mnóstwa świec jarzących, leżał na marach nieboszczyk pan sędzia, niby dąb, burzą powalony. Nie miała wszelako w sobie nic bolejącego okazała postać w kontuszu, z podgoloną czupryną, z małym, opuszczonym wąsem — której oblicze okrągłe, spokojne, z zawartemi powiekami, zdało się mówić:

— Otóż ja się teraz za wszystkie czasy wyśpię!

Bowiem *notandum est*, że nieboszczyk pan Towiański zawsze się na niewywczas użalał i nigdy snu nocnego i poobiedniego zadość mu nie było.

Pogrzeb odbyć się miał nazajutrz — i teraz już przecie zakonnicy różnych reguł, kolejno się mieniając, swoje lamentacje przy zwłokach odśpiewywali.

Cześnik, ułożywszy w drodze trefną dla wdowy kondolencję, nie mógł jej nawet *ad finem* doprowadzić, przerwano mu bowiem wybuchem płaczu i słowami rzecz całą zamykającemi:

— Och! sieroty my teraz — sierotęńki!

Pani sędzinie asystował na każdym kroku pewien jegomość układny, w starszym wieku, lisem zdala zalatujący — niby to jej brat, ale jak mówiono, przyszywany. Niegdyś pana Mokrzeckiego *amicus*, okazywał mu i teraz względy duże, poznać wszelako dając, że jeśli z gorącym afektem wita go, z większymby jeszcze pożegnał.

Dziwnie się ów jegomość turbował o substancję majątkową nieboszczyka pana sędziego; ciwuna i czeladź na stronę brał i rozpytywał, do archiwum wkładał się, choć tam wstępu broniono. Wciąż był

przytem słodko uśmiechnięty, z amicycją wszystkim się narzucający, i tak poczynął sobie, jakby już wdowa z sierotą i całą schedą nieboszczykową w opiekę oddane mu były.

Gdy po jednej stronie dworu braciszczkowie zakonni ciągnęli przez nos żałobne rekwije, po drugiej — kucharz od ognia nie odchodził, przez cały dzień Boży gotując, smażąc i piekąc dla miłych sąsiad, na pogrzeb zjeżdżających.

Kuchciki naszali wciąż czubate półmichy do wielkiej, dębina futrowanej komnaty, a i loszek nieszepnie opróżniano.

Serce sercem — brzuch brzuchem. Na c. czo nawet czułym i litościwym być trudno.

Dobrze bracia Litwini podjedli na wieczerzę, poprawili nazajutrz przy śniadaniu, to też w czasie żałobnego obrzędu serca ich pełne były gorącej komizeracji, a łzy rześście kapąły na lisiury, wilczury i niedźwiednie, któremi się byli odzieli.

Sam zaś obrzęd nie przyniósł ujmy ani godności nieboszczykowej, ani sławie powiatu, którą zawsze cnym obywatelom w należytej obserwancji trzymać wypada.

Pod tę porę siła gadali w Kownie i Litwie o pogrzebie sławnej pamięci hetmana Potockiego, gdzie zakonników białych, czarnych i burych na seciny liczono, gdzie od huku dzwonów powietrze się wstrząsało, sprowadzając chmury wielkie i czarne, a potem nawalnicy z błyskawicami i grzmotami (rzecz w zimie niesłychana), gdzie nakoniec na salwy działowe tak wiele prochu zużyto, żeby go było na niejedną potrzebę z Tatarami i Moskwą starczyło...

Pogrzeb jegomości pana sędziego nie mógł z owym iść w paragon — przecie, dyferencję stanów

uwzględniając, wszystko odbyło się *boneste* i z zupełną cnym uczestników kontentacją.

Zakony okoliczne wystąpiły *in pleno*, tak męskie jak białogłowskie, z przeorami i przeoryszami, afekty manifestując gorące — k'czemu pomogła niemało fama o hojnych zapisach, przez pana Towiańskiego na klasztory zdziałanych.

Bicia we dzwony było zadość — ile, że dzwonnikom przygodnym dawano po szelągu, więc się ochotnie do sznura kwapili. Trwała ona muzyka spiżowa od momentu śmierci pana sędziego, dniem i nocą; ochotnicy mieniali się, a sił nie szczydzili, boć wiadomo, że to i nieboszczykowi idzie na zdrowie, i dzwoniącym nieba kęs przyczynia.

Nie brakło także i strzelania — a dwie wiwatówki księcia pana Radziwiłłowe, *ad hoc* z Nieświeża przywiezione, huczek całe przyzwoity sprawiały.

Coronam wszelako *operis* wyobraziło przemówienie żałobne jegomości pana starosty cyryńskiego, zawołanego oratora, który żadnej okazji nie chybił: bądź na Sejmiku, bądź na pogrzebie, bądź też na godach weselnych, żeby swem krasomówstwem zabłysnąć.

Pan starosta, mąż niewieliczki, chuderlawy, ale z wysokim, łysym czołem, z którego *ingenium*, jako światło z lampy, na całe zgromadzenie biło, minę solenną a żałosną nastroiwszy, w ten sens rzecz swą prowadził:

— Próżno się uganiać za laty i próżno rączyr niedoścignione chwytac godziny Pegazem! Unoszą skrzydlate Eury od Wschodu aż ku ostatnim Zefirom szybko lecące życia naszego obroty! *Eheu!* wynosi się niedaremny zamachem *inevitabile Fatum* nad krótką dni naszych rewolucję! Nieutulonym chyba żalem dostarczać możemy zasutych popio-

lem wielkich parenteli utraconych koligatów i przyjaciół, obfitemi onych windykując Izamil...

Jakkolwiek aż do tego punktu nic się persony nieboszczykowskiej zdala nawet nie tknęło, wszelako w zgromadzeniu, tam i sam, stłumione słyszeć się dały szlochy. *Sollennitas loci et momenti*, sama już przez się, wymagała tego po obecnych.

Teraz dopiero mówca, nazbyt górne sfery porzuciwszy, ziemskiego padółu dotknąć raczył stopą — i jeśli tak się rzecz godzi — językiem.

— Dziś oto — zagrzmiął, głos podniósłszy — stawiamy sobie *pro doloris objecto* ciebie, niegdy waszmość panie sędzio graniczny powiatu wołkowskiego, którego scena fatalna *in lugubri theatro* na widok publicznemu *exposuit* żalowi. O ty, prześwietna wielmożnych ichmościów panów Towiańskich prozapjo! I któż wyrazić potrafi nie tylko domowych z przysięgłej i wrodzonej miłości orfanatów, kędy *tot lachrymas generavit amor*, ale i licznych koligatów w sercach zanurzone żale? Godne honoru i wdzięcznej pamięci wielkich antenatów w wielmożnym niegdy iegomości panu sędzim złożone akcje, chwalebne przymioty zasłużonych Ojczyźnie herojów, jenerałów, pułkowników, poświadczą bałtyckie brzegi w szwedzkich, duńskich i moskiewskich potyczkach, inflanckie granice — ba, i w otomańskich imprezach heroiczne dzieła, którzy własniemi Ojczyznę zastawiali piersiami!...

In effectu, milczy dotąd historia o wielkich tego rodu dziełach i cnego skądinąd imienia Towiańskich na kartach heroicznych nie zapisała — zawždy wszelako takowe krasomówcze addytamenta mile bywają słuchane, a w solennych okazjach, jako to: na weselach albo pogrzebach, są zgola nieodzowne.

— Tuć to trzeba było — ciągnął mówca głosem

coraz podnioslejszym — sprawiedliwą wyrzucić srogość, i zawziętej na cną parentelę wstręt uczynić Libitynie! Albo przynajmniej, nieuchronnej uchodząc żaloby, żarliwością biegu swego, nieoszczędne unosić życia!

Nastąpiły z kolei ogólne a wielce żałośliwe lamentacje na temat krótkości żywota ludzkiego. Głośny płacz rozlegał się po kościele i cmentarzu. Ryczeli zwłaszcza włościanie i pospólstwo, wiedząc, że już z reguły zawsze tak czynić wypada.

W zakończeniu oracji, pan starosta cyryński zwrócił się wprost do pozostałej rodziny — i wpierv dokładnie koligatów nieboszczykowskich zliczwszy, takim rzeczą swoją zakończył zwrotem:

— Nie chciałym pozostałej małżonki, oraz dwunastu serc krwią złączonych, żałosną dotykać palpitacją, wszelako z pod tego kamienia, o który kontentece wasze i wszystkie rozbiły się nadzieje, sławnej pamięci jegomość pan dobrodziej i nieboszczyk ostatnią przeze mnie do was czyni narrację: — Poprzestań nad głuchym grobem wyrzekania i niemężnych nad mężnymi lamentów, rozkwilona we łzach krwi ukochana! Poprzestań!...

Ostatnich słów krasomówcy, dla ogromnego płaczu, nie można już było dosłyszeć.

Po pogrzebie, zwykłym obyczajem, odbyła się stypa sowita. W kilku komnatach długie rozstawiono stoły, przy których jadłem i napojem ugaszczani byli przyjaciele, współziemianie, współpowieśnicy i koligaci nieboszczykowscy, a także Ojcowie, Bracia, Matki i Siostry obecnych zgromadzeń zakonnych.

Pani Towiańska ukazywała się jeno na moment to tu, to owdzie, zawždy z córką i z panią starościna Bitowttową przy boku. Nie odstępował biatogłów i ów przyszywany brat jejmościu — łączno

było wszelako poznać, że jest dla nich niepożądanym natrętem,

Wyraziło się to jeszcze dobitniej przy okazji obierania opieki dla wdowy i sieroty. Natrętnego krewniaka zgola od onej usunięto; głównym natomiast opiekunem został pan Antoni Mokrzecki, rotmistrz buławy polnej i cześnik powiatu lidzkiego.

XI.

...I znów siedzi pan cześnik w swej kancelarii zatęchłej, i w kompanji wiernego Pafcia, swe *otia domestica* rozpatruje.

Jest piękne, letnie popołudnie. W kancelarii rozwarto okien dwoje na przestrzał: jednym nadbiegają z dziedzińca głosy krzątającej się przy gospodarstwie czeladzi, drugim płynie aromat świeżo skoszonej łąki. Właśnie kończą tam układać stóg wielki, baniasty, a raczej cebulowaty, wedle powszedniego na Litwie zwyczaju.

Prąd świeżego, wonnego powietrza przewiewa komnatę, pełną starych papierów i zakurzonych rupieci.

Cześnik i Pafcio siedzą przy stole, z nosami wetkniętymi w stos prawniczych fascykułów. Tym razem wszelako ta obfita jurystowska pisanina nie tknie się osobistych spraw cześnikowych.

Pan Mokrzecki, skończywszy odcyfrowywać jakiś odwieczny dokument, starą białoruszczyzną a pokręconym, jak żydowskie cyrography, charakterem pisany, ziewnie szeroko i rzecze:

— A bodaj jego kaczkę zdeptali, chocia on i nieboszczyk! Taże, Pafciu-duszo, pieniacz to był, jakiego Litwa i Korona nie znały!

Pafcio, długi nos z papierów wynurzywszy, potwierdził:

— Widzi mi się, panie rotmistrzu dobrodziej, że on i na tamtym świecie niewinne duszyczki przed sądy ziemskie i grodzkie, ba! i przed Trybunał Najwyższy ciąga. Niedarmo sędzią był i sędzicem. Towłańscy, z ojca na syna, juryści i pieśniacze.

— Uważ, kochanieńki, co ja z apryla miesiąca w interesach jego grzebię się, a nie wiem, czy i do septembra będę gotowy!

— Sam, rotmistrzuniu dobrodziej, napytałeś biedy, tak i cóż się uskarżać...

— Mus to być, Pafciu-serce—obywatelski i chrześcijański obowiązek. Wdowie a sierocie pomóc nieść, sama Ewangelja przykazuje.

Mleczek nosem czmychał, rzekomo go wycierając.

— Tak, tak, Ewangelja... Tak, tak, obowiązek...

— niewyraźnie mamrotał. — A taki, dobrze wszystko zliczywszy, nie wiem, czy z tych czterech miesięcy choć jeden w Rakowiczach pan rotmistrz dobrodziej spędził...

— Prawda to jest, Pafciu-duszo. Toć nawet i jejmość szafarka kiedyś pytała, czy ma pościel moją, bieliznę i skrzynię z szatami do Kotczyna, jako *in locum fixum*, wyprowadzić.

Pafcio prychnął, krztusił się, przyszytych wąsiki tarł, szeroką dłońią zakrywając uśmiech zagadkowy.

Cześnik, w stół knykciami zabębniwszy, mruknął, jakby do siebie:

— Mitręgi z tem wszystkiem zadość, ale cóż czynić!

Pafcio bąknął:

— *Est modus in rebus*, panie rotmistrzu dobrodziej...

— Dawajże go, a prędko, Pafciu-klejnociel!

Spuścił oczy Mleczek—ledwie dosłyszalnym głosem wyszeptał:

— Zamiast Kotczyn ustawicznie nawiedzać—jejmość panią sędzinę do Rakowicz sprowadzić...

Nic na to pan Mokrzejcki nie odrzekł. Nie zawsze wszelako milczy jeno ten, co nic do powiedzenia nie ma.

Poczekawszy moment, cześnik, jakby niespodzianem przypomnieniem uderzony, w czoło się stuknie i zawoła:

— A oweż sto talerów!

Rezydent udał, że nie rozumie. Więc cześnik znówu:

— Sto talerów, mówię, któremi nieboszczyk mój rodzic nieboszczykowi panu Smogorzewskiemu, dziadkowi jejmość pani Bitowttowej, niegdyś, w pilnej potrzebie, był wygodził. Jak widzę, zapomniałeś o tem na szczęść, Pafciu-kochanie!

— Com miał zapomnieć!—uśmiechnął się Mleczek. Jeszczeć, Bogu chwała, na głowę nie szwankuję.

— Czemuż tam, Pafciu-przekoro, ani bąknął o onych?

— Byłże czas? byłaż okazja? Późno się wstawało, późno kładło, a między tem ciągły traktament i różne przyjemne rekreacje. Trudnoż *inter pocula*, w godnej kompanji, przy wzajemnych komplementach i weneracjach, z obligeem wyjeżdżać. A jak na toż, i obligeu nie mamy.

Potańczę czała cześnik.

— Prawdęś rzekł, Pafciu-serce. Korciło mię nie raz przemówić się o ów dłużek, który z prowizją blisko półwieczną, piękne *quantum* przedstawia—ale, że mi na wyprawkę dla jejmościanki córki gotowizna pilno potrzebna—ale mówić o sprawie nie było sposobu. Jejmość pani starościna tak słodko nadobnemi oczyma spogląda, tak uprzejmie dźwięcz-

nym głosił szczebiocze, tak wreszcie przymilająca się i gościnna, że najmeźniejszemu odwagi-by zbrakło, choćby rzecz szła nie o talery, lecz o czerwone złote...

Pafcio milczał, ale wąskie wargi rozszerzały mu się coraz bardziej wiele mówiącym uśmiechem.

Dostrzegł to pan Mokrzecki — niecierpliwie się zmarszczył...

— Cóż tak krotofilny, Pafciu-wesołku? — z przekąsem niejaki zagadnął.

— Uśmiecham się, wielmożny rotmistrzu dobrodzieju — odrzecz Mleczek — bowiem i sprawa cała jest krotofilna. Jejmość pani Bitowttowa rozbraja tym kształtem swych wszystkich kredytorów. A liczy ich pono więcej, niż pereł w swym naszyjniku...

Zadziwił się cześniak.

— Cóż-bo wygadujesz, Pafciu-paplo! W łopienickim dworze dostatek taki, żeby go i dla innych starczyło. Obfitość sprzętów, splendorów, służby, jadła, napoju, jak u wojewody albo hetmana. Państwo obersztłejtnantowstwo *honeste*, po pańsku i magracku, żyją...

— Za cudze pieniądze! — dokończył rezydent półgłosem.

— Bój się Boga, Pafciu-złośliwcze! Ta-że samo starostwo dyminickie piękny profit czyni...

— Zapłacił za one pan podkomorzy Leparski, pożyczwszy dwa tysiące dukatów — któremu za pilnem naleganiem, oddał sumę rodzony pan Bitowtta, jegomość pan Karol Bitowtt, marszałek upicki. On jeden w rodzinie pieniądze i stateczny. Jego są Wodokty i Dawidyszki. Estymy wielkie zażywa, jako mąż poważny i rozważny, całe do pana obersztłejtnanta niepodobien — który był zawsze lekkoduch, utracjusz i golizną świecił.

— A Łopienica? Toć-że mu ją Smogorzewszczanka w ślubnem wianie wniosła.

— Gdzie zaś! Kupować ona od stryjecznego musiała. I znów połową sumy wygodził staroście pan marszałek, całe do tego nie obowiązany, bowiem substancji po rodzicach zostało tyle, co nic. A resztę sumy popożyczali, gdzie się dało. Niema pono jednego w pułku dragońskim oficjera, ani w całym powiecie wołkowyskim pieniądze ziemianina, którychby debitorami państwo obersztłejtnantowstwo nie byli.

— Spłacają ich, tak i cóż?

— Gdybyż spłacali, mości rotmistrzu dobrodzieju! Ale oni jeno komplementami i gościnnością liczby swe regulują. Pan starosta ściska, fetuje o dozgonnej przyjaźni zapewnia; sama zaś jejmość...

— Przestań, Pafciu-obmówco! Sameś cnoty pań obersztłejtnantowej pod niebiosy wynosił!

— I dziś onym ujmę nie czynię. Ale trudno nie widzieć, że swego pana małżonka nad wszelką miarę i potrzebę miłuje, i wszystko bez braku poświęcić dlań gotowa. Jej też jeno rezolucji zawdzięcza pan Bitowtt, że interesy starościńskie i łopienickie jeszcze się dotąd kupy trzymają.

— Niech jej Pan Bóg da zdrowie i dziatki nadobne! Miłe i grzeczne z niej kobieciątka. A co się tknie tych tam kredytorów...

W tym momencie zaszedł fakt, który panu cześniakowi zaczętego przemówienia dokończyć nie dał.

XIII

Już od pewnego czasu, z łąki, gdzie siano grabiono, dochodziły podejrzane głosy.

Brzmiało to niby echo głośniego sporu: jakby ciwun łajał parobków, albo chłopstwo kłóciło się między sobą.

Nie zważał na te głosy pan Mokrzecki, pilniejszemi sprawami zabawny.

Ale jednym razem, wrzask się podniósł taki, jakby orda tatarska na Rakowicze napadła. W ucho cześnikowe wpadły wyraźne już okrzyki:

— Bij! łapaj! wiaź!...

Przerwie sobie zatem mowę, do okna skoczy i dłoń od zbytniej jaskrawości słońca zasłoniwszy się, wzrok i słuch wyteży...

Obok cześnika znalazł się wnet i Pafcio, długim nosem wiatr od sianokosów wciągający.

Badali tak przez moment sytuację — wreszcie rezydent z pomieszaniem niejakiem szepnie:

— Rotmistrzuniu dobrodzieju... czyżby zajazd?...

— Zajazd, Pafciu-mospanie! Zajazd najformalniejszy!

— Skądże przecie? Kto? i o co?...

— Wnet to się wyklaryguje. Tymczasem i nam pomyśleć o sobie trzeba. Chcą awantury — będą mieli awanturę.

I zaraz, do okna przeciwnielego podbiegłszy, całą piersią zakrzyknie:

— Chwedor! Ściepan! Józik! Matwiej! W dzwonek uderzyć! czeladź z pola, z łąki, z ogrodu zwoływać! Na koń wszyscy — z fuzją, z kosą, z widłami, z czem kto może!

W momencie rum się zrobił wielki; ludzie wysypali się na dziedziniec rojno, jak pszczoły z ula. Donośny głos dzwonka trwożę na całą okolicę rozsiewał.

Starszy synaczek cześnika, młodzieńczyk zadzierzysty, ukazał się na koniu, jak na wojnę zbrojny, bo nawet w koszulce drucianej i w misiurce, którą z lamusa wyciągnął. Prawdziwy Mokrzecki, w mig zrozumiał, co się święci, błyskawicznie plan obmyślił i piorunem go wykonał.

Zahuczał dziedziniec od tententu koni, od szczerku szabel i kos, od prędkiej, głośnej komendy i hałaśliwych odzewów. Śladem ojca postępując, spsobił się cześnikowicz na rycerza; wojenne rzemiosło mu pachniało.

Sam cześnik o zbrojeniu się nie myślał — jeno harapnik w rękę wziął, poły kontusza zakasał i wyprowadzić dla się kazał konia cnotliwego.

— Nie strzelać! — krzyczał do zbrojnej gromady — chyba, gdyby tamci zaczęli. A flinty nie ołowiem nabite mieć, jeno solą!

Pafcio tymczasem, wzięwszy w sukurs kucharza, w rożen zbrojnego, pomknął opłotkami ku łące, gdzie się owo *larum* wszczęło. Z ukrycia nos wytknąwszy, popatrzył, posłuchał, nozdrzami powietrza pociągnął, i nie bawiąc, z raportem do cześnika powrócił.

— Na mojem się stało, rotmistrzuniu dobrodzieju — nie bez niejakej kontentacji mówił. — Nie pomogły sądy i wyroki; nie pomogło traktowanie *per*

non est jenerała; nie pomogły nawet sypane przez komornika kopce graniczne. Sprawa z Girgasiną odrosła, jak grzyb, którego nie wyrwano z korzeniem.

— Więc to ruszył się zaścianek?

— A któżby inny, wielmożny rotmistrzu! Toć z panami sąsiady w zgodzie żyjemy statecznej — jedna jeno jejmość Girgasina zawsze coś tam na wątróbce do rotmistrza dobrodzieja chowa...

— Niech ją Bóg sekunduje. Babus nieuchodzony! Splunął cześnik i prędko wypytywać ją!

— Siła ich?

— Kupa znaczna.

— Zbrojni?

— Strzelby mają, pistolety, rapiry. U jednogom widział garłacz, coby weń wszedł półkwartek ołowiu.

— Zbieranina pewnie? hałastra?...

— Girgasiaków sześciu na czele. Chłopcy, jak dębczaki.

— Któż przewodzi?

— Grubas jakowys, z blachą na piersiach, w czapce lisiej z nausznikami, w skórzniach za kolana...

— Girgasina!

— Nie białogłowa, rotmistrzuniu dobrodzieju, jeno mąż, i to urody niedźwiedziej, z szabliskiem sążnistem, z brodą w pół pasa...

— Wiem, co mówię. Girgasina to jest, jeno od sześciu niedziel nie golona. W ośmnastu leciech była *virago*, dziś z niej *hic mulier*.

— *Hic* babal... — poprawił Mleczek, krztusząc się od tłumionego śmiechu.

Z łąki dochodziły krzyki coraz głośniejsze. Słychać było parskanie koni i skrzypienie wozów.

Cześnik nogą tupnął.

— I cóż ta hałastra poczynąć myśli, do stu par dziurawych rajtuzów?!

— „Łaka — wrzeszczą — nasza i siano naszel!” Stogi rozrzucają, na swoje wozy ładują...

— A więcej co?

— Siekiery przywieźli i łopaty — kopców imać się zamierzają...

Cześnik wasa targał; harapnikiem przecinał ze świstem powietrze.

— Gotować się! — krzyknął do czeladzi, na koniach już siedzącej. — Czuj duch!

— Ojcaszku dobrodzieju! — podjechał cześnikowicz na bystrym koniu, od stóp do głowy uzbrojony. — Ręka świerzbi — pozwól na tę dzicz polecieć i bodaj wypłazować...

— Ani się waź! Wszystko iść musi ordynkiem. Konia mi dajcie!

— Na ulubionym srokaczu rozsiadłszy się i stopy w strzemiona wetknąwszy, jął plan kampanji rozrzucać, rozkazy w prawo i w lewo rzucać. Rotmistrz ozwał się w nim — po wojskowemu sprawę traktował.

Siły na cztery części rozdzielone zostały; każdej inną wyznaczono rolę.

Pierwszy oddział, z cześnikowiczem na czele, stanąć miał oko w oko z nieprzyjacielem i pierśią o pierś uderzyć. Ale natarcie nastąpić miało dopiero po wyczerpaniu środków łagodniejszych. Cześnik, jakkolwiek był stroną wyzwaną, nie kwapił się zbyt do bitwy, poczytując ją w każdym wypadku za środek ostateczny — dlatego pewnie, że był żołnierz z zawodu, a nie, jak inni, z okazji lub upodobania.

Dwom hufcom następnym — gdzie czeladź dworska zmieszana była z gajowymi, a stajenni z ogrodniczkami, zlecono napastników oskrzydlić. Turecka

to była i tatarska moda, wybrał ją przecie cześniak, poczytawszy *in hoc casu* za najwłaściwszą.

Oddział wreszcie ostatni, któremu przewodził kucharz, mający pod sobą kuchcików, służbę kredensową, parobka, noszącego drwa na kuchnię, oraz sześć pomywaczek, wysłany został drogami bocznymi, aby zajął nieprzyjacielowi tył i odwrotu mu bronił.

Nie upłynęło trzy pacierze, a już hufiec pana Mokrzeckiego i zbieranina Girgasinej znalazły się naprzeciw siebie, wazkim jeno pasem skoszonej łąki przedzielone.

Na dłuższy moment zapanowała cisza. Takowa cisza poprzedzać zwykła wybuch, czy to nawałnicy, czy też bitwy.

Ci, co już z zagrabionem sianem odjeżdżać mieli, zatrzymali konie w miejscu. Tym, którzy słupy graniczne rąbali, uzbrojone w topory ręce znieruchomiały w rozmachu.

Na znak, uczyniony synaczkom przez Girgasinę, akcję zaczępną wstrzymano. Sama jejmość, rozparta hardo na rosłej, w zadzie szerokiej kobyle, wyjechała szlapią na czoło swego hufca i przybyłym uragliwie przyglądać się jęła.

Girgasiaki kołem otoczyli swą macierz, gotowi na jedno jej skinienie: kłuć, strzelać, rąbać.

Wszelki człowiek zrozumiał był, że nadszedł moment, gdy ktoś głos zabrać musi i wyrzec coś albo bardzo mądrego, albo wielce zadzierzystego.

Jakoż wysunął się na lichej szkapinie pan Mleczko, aby imieniem swego patrona, dłuższą powiedzieć orację, i tak rzecz swą zagał:

— Wielmożna mościa pani Girgasino, sercem ukochana sąsiadko i dobrodziejko nasza! *Obstupimus omnes*, tak wielmożny jegomość pan rotmistrz dobrodziej, jak wielmożni ichmoście panowie

rotmistrzowicze i ja, wierny ich wszystkich *servus et amicus*, na bezprzykładną w dziejach świata wiolecję praw ludzkich i Boskich, jakiej waszmość pani dopuściłaś się, najeżdżając z orężem wytyczone przez komorników, bezsporne i nietykalne majątności rakowickiej granice. Różne już na powierzchni tej ziemi zdarzały się *mirabilia*, o których czytać w księgach i ludzi uczonych rozpytywać — nic wszelako z tak ekstraordinaryjną napaścią w paragon iść nie może. Nieopodal sławnego miasta Arlem, w kraju, który zowią Ollandją, pokazowano *publice* białogłową morską, w jeziorze ułowioną, nadobnej urody, z piersiami mlecznymi, ogon rybi mającą. Z morza Fryzyjskiego wyciągnęli żeglarze morskiego człeka z brodą zieloną, całego takież farby, włosami obrosłego. W mieście Haye pewna hrabina, imieniem Margaryta, porodziła za jednym razem dzieci trzysta sześćdziesiąt i pięć, to jest tyle, ile dni w roku. W kraju znów afryckim, w *Caput nigrum*...

Niewładną już sobą z pasji wielkiej Girgasina, na cały głos zakrzyknęła:

— Zczeczniej, pyskaczu obmierzły! Nie zamknieszże to nigdy swej rozjechanej paszczki?...

Rezydent, zbity kęs z pantafelku, ale bynajmniej na honorze nie draśnięty (nijaka baba nie ma mocy na rzecz tak świętą nastąpić) opuścił dalsze zadziwiające *exempla* i już prosto *in medias res* górząc, ciągnął:

— *Eheu!* Te wszystkie, i większe jeszcze od nich, ba! i największe nawet dziwy i *curiosa*, faramuszką są w komparycji z niegodziwością i całe już zbójceckim obrotem waszmość pani, sercem ukochanej sąsiadki i dobrodziejki naszej. Przecieram oczy i sam siebie zapytuję: — Kogoż to ja mam przed sobą: niepolerowaną, obory jeno i chlewa świadomą,

w kurnej chacie zrodzoną, chłopiankę?... Przebóg! cóżem wyrzekł nieszczęsny? Toć głośna fama, po zaściankach chodząca, jejmość panią Girgasinę szlachcianką obwołała...

— Szlachcianką?... — przerwie zaperzona baba. — Sameś waść szlachetka — z tych, co to poła nos a wiechciem gębę ucierają! A Girgasy z kniaziów zawsze szli, idą i po wieki wieków iść będą!...

Na tę, cale niespodziewaną, deklarację, wymowny Mleczek zamilkł, jakby mu kto plastrzem usta zalepił. Za heraldyka się miał pierwszej mocy, rodowód każdej familji litewskiej i żmujdzkiej umiał być od Noego, ba! od Adama i Ewy foremnie wyprowadzać — a tu mu, jak kamień na głowę, spada taka genealogiczna nowinka...

— Z kniaziów?... — wybełkotał, do głosu wreszcie przyszedłszy. — Jakem żyw, o kniazach Girgasach nie słyszałem!...

— Boś kiepl!... — odpaliła, nie zwlekając, baba. — A mądrzejsi od ciebie taki słyszeli!...

Najczulszą wenę Pafcia potracono. Uspokoić się nie mógł. Mniejsza o babskie przygryzki, ale — gdzież prawda historyczna? Więc w dalszym ciągu protestował:

— Ani Paprocki, ani Bielski, ani Okolski kniaziów Girgasów nie znają. Nie spotkałem-ci też ich w herbarzykach Swacha i Gorczyzna. Ba! nawet Kojałowiczowi obcy, a *pater* Niesiecki przeżegnałby się pewnie, o onych usłyszawszy...

— Mam ich wszystkich... tam, gdzie i ciebie! — wrzeszczała Girgasina, ani myśląc ustąpić. — Girgasy kniazie z kniaziów, a kto temu przeczy, dureń i kwita!

— Ba! Gdzież przecie dowody?

— Upartyś waść, jak kozioł, a durny, jak stolowe nogi! Dowody byli, ale się spalili. Nieboszczyk

moż dokumenty miał, jak się patrzy, na byczej skórze, z dyndałkami takimi z wosku. Trza było wtenczas o one pytać. A teraz gębę stulić, bo — zamałuje!

Najstarszy z Girgasiaków podjechał na koniu — matkę w łokieć trącił.

— Co matuś tak długo ze skurczypalką tym pytluje?... Czas ucieka, a tam nasze chłopcy aż rżą do zabawy!

Baba kęs ochłoneła — wierzchem dłoni nos utarła.

— Racja twoja, synuś!... — spokojnie oświadczyła.

I, aby okazać adherentowi wyraźnie, że dysputa skończona, skreśliła swego konia tym kształtem, że rozrosły zad onego znalazł się nawprost Pafcia. Zaraz też kobyła, jakby tego nauczona, zadniemi kopytami mocno wierzgnęła, obrzucając pana Mlecza piaskiem i błotem.

Zbyttnia to już była konfidencja, a zarazem konfuzja — i nie przeniósłby onej nawet zwykły *scartabellatus*, cóż dopiero urodzony szlachcic, pieczętujący się Doliwą? (Byli także Mleczkowie herbu Korczak, ale się do nich jegomość pan Pafnucy nie przyznawał).

Więc na doznaną zniewagę odpowie rezydent wyniosłem pluniciem i zaklnie, cale już grubo, po białorusku, pan Mokrzecki zaś, w strzemionach się uniósłszy, zakrzyknie:

— Bij, kto w Boga wierzył!...

Zaczem nastąpiła rzetelna łupnia.

Cześnikowicz, wesoło poświsując, powiódł swą jazdę na czołowy hufiec nieprzyjacielski, który miał być *stante pede* oskrzydłony i w jasyr wzięty. Ciurrom zlecono załatwić się w tymże czasie z ludźmi, przy woziech z sianem zatrudnionymi.

Zdawało się, że wszystko pójdzie, jak z płatka

— aliści jejmość Girgasina okazała się orzechem, cale do zgryzienia trudnym. Rzemiosło wojenne nie było snąć obce ani synom, ani matce, cała też rodzina dowiodła niemalej w fortelach bitewnych eksperjencji.

Gdy cześnikowicz z rozpędem ogromnym na nieprzyjaciela natarł, ów, zamiast murem stanąć, oględnie wstecz się cofnął. Nie był to zaś odwrót szermierza porażonego, z haniebnem ukazaniem pleców połączony. Girgasiaki z macierzą swą przenieśli się jeno z miejsca na miejsce, upatrując wygodniejszego.

Nie przestali także na jeden moment czynić przechwałek, czekanami wywijać, rusznicami potrzasać...

Cześnikowicz wszelako wyeksplikował to sobie fałszywie, rozumiejąc, że owi ustępują. Więc do upatrzonej mety przycwalaławszy, stanie, w lewo i w prawo okiem strzeli i zwycięsko zakrzyknie:

— Oskrzydłać!

Ruszyli się stąd leśnicy, wysunęła się zowąd czeladź — wszyscy prą ku środkowi, wrzeszcząc przeraźliwie:

— Haj go, haj!... A imaj!... A wiąż!...

Daremnie rotmistrz, w tych sprawach *expertus*, harapnikiem zdala wymachuje i piersi zrywa, krzyząc ostrzegawczo — tumult się wszczął, rośnie — nic go już naprawić nie zdoła.

W momencie wszyscy ludzie rakowiccy w kupę się zbili, splełali, zdurnieli. Kręcą się w miejscu, jakoby *in circulo vitioso*, ani wiedząc: z kim się potykać, kogo imać, kogo oskrzydłać?...

Dopieroż Girgasina swoim da znak i szykiem foremnym na oną kupę uderzy.

Do korda, a tem więcej do strzelby, jeszcze się był nikt nie porwał, w ruchu był jeno oreż dREW-

niany. Wynikło stąd, że przez dłuższy moment dudniało na onych pokosach, jakby kto cepami młócił.

Wnet też, to tu, to owdzie, krzyk buchnął, już nie z zapalczywości, lecz z bólu zrodzony. Dojeżdżali sobie ci i tamci uczciwie, a choć to barki litwina niedźwiedzim, a podczas i żubrzy m sprostać, trudno było nie krzyknąć, gdy one cale nie po sąsiedzku nadwerężano.

Najzapalczywszą była sama jejmość. Nie darmo gadano o niej po zaściankach, że zadrzeć z panią Girgasiną toż samo jest, co djabła za ogon pociągnąć. Srogi dębczak kręcił się i furkał w jej olbrzymiej łapie, jak skrzydło wiatraka przy wichrze najtęższym. Łomotała, miażdżyła, grzmocąc po ludziach i koniach, nie patrząc: łeb, zad, czy plecy. To znów, dla odmiany, pałkę do lewej ręki przerzuciwszy, prawicą najbliższego jeźdźca za kark chwytając, i — raz, dwa, trzy! — już on nieboże na ziemi leżał, za bok dzierząc się, lub za co innego...

Do ostatniej pasji przyszedł cześnik. A żółć tembardziej w nim wzbierała, że hamować oną musiał, nie mogąc, z racji swego urzędu wysokiego, stawiać *personaliter* do walki, która, uszy uczciwszy, burda jeno była.

Możeby wreszcie i nie strzymał, i o ziem cześnikostwo i rotmistrzostwo swoje cisnął — ale nagle sprawa cale nowy obrót przybrała.

Nowy i fortunny.

W momencie, gdy strona girgasowska najbardziej zbytkuje i już wiktoryę odbwoływać gotowa, na tyłach jej ruch się wszczyną gwałtowny, a wnet potem i popłoch.

Trudno było pojąć zrazu, co się stało. Bez widocznej przyczyny któryś z napastników na siodle się skręca, z bólu się wiję i cugle puściwszy, cwałem na stronę ucieka. Drugi i uciec nie zdążył —

ból z konia go zwałił, na trawie rozciągnął. Maluczko, a cała gromada rozprzega się, animusz traci — bardziej o ratowaniu siebie, niż o porażce przeciwnika, rozmyśla.

Ani wątpić, że stronie rakowickiej sukurs przybył jakowyś.

Zrozumiał wreszcie cześnik, co się święci; odgadł, skąd posiłki nadchodzą. Toć sam usadził był na tyłach oddział zapaśny, kucharza Macieja na czele swem mający. Miał ów oddział oczekiwane go odwrotu nieprzyjaciela bronić, wszakoż *insperate* sam się w ogniu walki znalazł. Przeciw rygorowi wojennemu to było, i słusznie kucharz naganiony być musiał. Wszelako, — *nulla regula sine exceptione*.

Ale już najbardziej dziwił się pan Mokrzecki rodzajowi walki, przez starego Macieja podjętej. Nie było tam widać w ruchu przyrodzonej kucharzem broni, a więc: różnów, patelni, tasaków, ściepek — latały natomiast na głowy wrogów pociski cale osobliwego gatunku.

Pod tę porę, gdy cześnik podniósł we dworze *larum*, Maciej, obok wieczerzy dla państwa, warzył strawę dla czeladzi. Właśnie zdejmował z ognia spory kocioł kaszy jaglanej, olejem okraszonej (dzień bowiem był postny), gdy mu, wraz z podwładnymi, pod bronią stanąć kazano.

— Ot, zachciało się!... — warknął z pasją, i mało-wiele myślać, w tabakierce nos umoczywszy, kazał kuchcikom dwom on kocioł za ucha chwycić i za sobą nieść, sam zaś jeno warząchew dużej miary za pas sobie zatknął.

Podśmiewali się z tego inni — ale stary wiedział, co czyni. Miał on w pamięci przypadek onego towarzysza, który ongi, dzięki workowi z gorącą jagłą, zwycięstwo nad Tatarami sprowadził. Umyślił naśladować go — innym wszelako kształtem.

Gdy napastnicy ludziom pana Mokrzeckiego na kark już wsiedli, i dusili onych, jak jastrząb kuropatwę, zrozumiał Maciej, że dlań chwila działania nadeszła. Chwyta przeto warząchew, w kotle zanurza, i — dalej na ona dzicz wrzątkiem swym chlustać. *Notandum est* zasie, że między gorącemi jagłami na oleju a wrzącym ołowiem, dyferencji jest tyle, co nic.

Kucharz miał rękę pewną i celne oko. W wolnych od gotowania i pieczenia chwilach, myślistwem się zabawiał. Więc i teraz każdy jego pocisk nieomylnie trafiał do celu.

Już jednemu z Girgasiaków haniebnie oparzona gęba poczerwieniała i wzdęta się jak pomidor. Już drugi karkiem ruszyć nie może, bo mu na nim bąbel usiadł ogromny. Już trzeci ręką nie włada, dmuchając na palce, które ze skóry oblażyły...

Stary kucharz wiedział kogo brać na cel.

Najbardziej upodobał sobie samą jejmość i raz po raz częstował ją swym postnym przysmakiem. Ale choć pociski z drogi nie zbaczały, żaden skutku pożądanego nie sprawił. Broniły panią Girgasinę od postrzałów: skóra juchtowa, blacha, gruby samodział, wreszcie kołpak futrzany z nausznikami.

Mężna niewiasta miała nawet na rękach dra-gońskie, łosiowe rękawice, oblicze zaś tak szczelnie zakryła, że jej jeno długi nos i szpakowate brodzisko na świat wyglądały.

Straciły ducha zastępy Girgasinowe. Jaki taki o odwrócie myślał, upatrując, gdzie łacniej przecisnąć się koniowi. Drugi gotów był oddać się wrogom w jasyr, byle mu jeno kasza jaglana nie na gębę, lecz do gęby wpadała.

— Durniel! — zakrzyknie na swych ochotników lwim głosem jejmość Girgasina. — Dopókiż tamten psubrat paskudztwem swem babrać was będzie?

Ruszyć mi kupą! Zmasakrować kpa! Na zrazy go
posiekać!...

Nie miało to spaść na starego Macieja niespodzianie. Gdy mu jagiel przybrakło, wy dostał duży, z łyka lipowego tabakierę; otworzył ona, do nosa przytknął, pociągnął... nie kichnął przecie, bowiem starzy tabaczarze mają sprężyny nosowe obluzowane. Łzami zaszył mu jeno oczy, które dłonią otarł, i wojowniczo potrząsnawszy tabakierą, przez nos zakrzyknął:

— Rożny wytknąć!... Szpikulce mieć w pogotowiu!...

W momencie zjeżyła się ostremi kolcami wiara kuchenna.

Z dobrą fantazją natarła na oddziałek Girgasi-
na, lekce go sobie ważąc, natychmiast przecie opi-
nię swą o nim zmienić musiała. Rożny kłuty nie
gorzej szpad i kopij, szpikulce kasaty jak żmije.

Cześniak, widząc co się święci, plan kampanji zmienił. Już mu się teraz oskrzydlać wroga odechciało. Wszystkie oddziały zmieszał, w jedną linię wyciągnął i — hajże na Girgasiaków!

Wzięci w kupe, możeby czmychnęli, mimo nawoływań samej jejmości — ale nie było kędy. Od przodu i od tyłu nieprzyjaciel; po prawej stronie tabór wozów z sianem, przy których rakowickie parobczaki, po stronie lewej — rzeczułka.

Więc—zdechł pies!... Niby to się biją, swej przewodczynie słuchając, ale coraz to ten, to ów z konia, rzekomo nieumyślnie, zesunie się, przez trawę wysoką chyłkiem popełźnie, junakom cześnikowskim na łaskę i niefaskę się odda. Miano, jak na toż, przygotowane tyka i deszczulki, więc oni tchórze, jeden po drugim, w kij byli wiazani.

Girgasiaki skupili się przy swej macierzy, jadu i zawziętości pełni. Zbliża już im dopiekano, i ra-

kowiczanom, jak osom, na wsze strony opędzać się musieli—kipiała też w nich cholera, wierzchem się przelewając.

Nie jeden parobczak cofać się musiał z rozplataną szabliskiem gębą, szli bowiem na ostre. Dwaj wywijali haniebnie długimi koncerzmi, a jeden do pistoletów nawet się miał...

Nie doszłoby przecie było do prochu, gdyby nie taki *casus*, że ów z pistoletem wcale nieumyślnie z onego wystrzelił. Kula w ziemię poszła, nikomu szwanku nie czyniąc, *clamor* wszelako w tłumie wszczął się, jako, że już na zabój uciarać się miano.

Więc pan Mokrzecki do swoich się obróci:

— Osolić tych obwiesiów!

Zaczem w jednymże momencie ze wszystkich flint wygarnięto i grzmot poszedł po okolicy. Nikomu w myśli nie pozostało bliźniego brać na cel, drugi przecie i nie patrząc trafił, i kilku ze strony Girgasinowej kręcić się jęło i wierzczać, poczuwszy nagle haniebne swędzenie...

Nie zwlekali tamci z responsem. Z rusznic i pistoletów ognia dano; ryknął także i garlacz, siekającym ołowiem rzygnawszy.

Zgola inakszy był skutek tej palby, niż tamtej. Co ołów, to nie sól. Kilka koni na miejscu ubito, siła ludzi pokaleczono; jednemu ogrodnickowi kula paskudnica połowę ucha urwała, jeden zasie kuchcik, zwinawszy się z bólu, z siodła spadł—któremu już jeno Sakrament aplikować przyszło.

Ale też ostatni to już był tej burdy termin.

Rakowiczanie pokwapili się z ukończeniem sprawy, nie dając tamtym powtórę wystrzelić. Uśmie-
rzono wnet gwałtowników, lykiem a rzemieńmi
związawszy onych jak się patrzy.

Jeden z Girgasiaków miał na łbie guz jak strusiowe jajo, od maczugi, którą go leśnik dojechał.

Drugi łapę bezwładnie zwiesił, bo mu ją różnem przekolono. Trzeciemu i czwartemu dolegały oparzelizny srogie na głowie, karku i rękach. Ostatni dwaj byli rzetelnie osoleni i wiercili się jak frygi.

Owo zgola cały sztab jejmości siłą pospołu z fantazją postradał i nie do użycia był. Reszta kupi zgola już tchórzem śmierziała i sama szła w niewolę, ręce do pęt podawając.

Jeno jejmość Girgasina trwała wciąż na swej pozycji, harda, zawzięta, nieprzejednana i ani jednym dotąd pociskiem niedosiężona.

Już całej awanturze kres położono; już wozy z zagrabionem sianem na folwark rakowicki pojechały; już zaściankowa hałastrą w rzemiennych i lyczanych więzach ciężko dyszała; już wreszcie sześciu synaczków jejmości oręż złożyło i jeńcami się wyznało, — a ona sama, szablikiem potrząsając i na kobyłę swej harcując, nie przestawała kłać, grozić i pana Mokrzeckiego inwektywami sromotnemi obrzucać.

Już też i cześnikowi, choć był, jako mówią, człek bez zółci, naprzykrzyło się ono brzęczenie natrętnego owadu.

Sam nie chciał się w wojnę z babami wdawać, uważając to za ujmę swej rotmistrzowskiej godności, pchnął wszakże rezydenta, aby buzią jejmości na stulił.

Króciuchno bawił Pafcio na onej legacji. Gdy wrócił, minę miał wielce markotną i do gadania cale się nie kwapił.

— Cóż powiedziała? — dopytywał cześnik.

Rezydent jeno skrzywił się i ręką machnął.

— Gadajże, Pafciu-milczku. Toż wiedzieć muszę, co baba myśli i jakowy koniec uczynić mi z nią wypada?

— Aż, kiedy bo... rotmistrzuniu dobrodzieju...

— Cóż tak cedzisz? Prędzej gadaj.

— Kiedy bo... nie wszystko w uczciwej kompanji powtarzać się godzi...

— Rozumiem. Pewnie cię baba po swojemu sfukała?

— Gdybyż tylko mnie, wielmożny rotmistrzu!... Ale nie uszanował babski ozór i jegomościęgo honoru. Ba! nie znał respektu nawet dla czcigodnego cienia świętej pamięci matki waszmościnej...

Ubódł pan Mokrzecki swego srokacza ostrogami, aż ów szczupaka dał. Harapnikiem, ze świstem głośnym, przeciał powietrze.

— Ha! — wrzasnął — mościa Girgasino! Musisz mi to w żywe oczy powtórzyć!

— Powtórzy, rotmistrzuniu... Jak Boga kocham, powtórzy...

— To jej w łeb palnę — i raz będzie koniec wszystkiemu.

Przerażony rezydent z konia zeskoczył, do pana Mokrzeckiego przybiegł — za ręce, za nogi ścisnął...

— Umityguj się, wielmożny rotmistrzu dobrodzieju! Jakiż to byłby koniec?... Taż to sprawą gardłową grozi, kryminałem pachnie!

— Baby do wszystkiego doprowadzą — na toż one i na świeciel... Ale uspokój się, Pafciu-serce... Girgasina *ad oculos* mnie nie stanie — rura jej zmięknie...

— Nie zmięknie, dobrodzieju mój! — uręczam, że nie zmięknie! — lamentował zatrwożony Pafcio.

— Już ja ją na wylot przejrzał. Jędza to z tych, które w szabas z samym biesem dzyguna tańczą... Ona-by i Belzebubowi nie ustąpiła! Wartoż dla takowej insekty swoją i familji swojej spokojność na szwank narażać?

Rzucał się jeszcze i zębami zgrzytał pan Mo-

krzecki, starając się pasję okrutną okiełznać. Po dłuższej ze sobą walce, tak wreszcie zakonkludował:

— Idźże tedy do niej raz jeszcze, Pafciu-cnoto i już jej jeno *ultimam* zadaj *quaestionem*, co za rację ma do takowej naprzeciw mnie nienawiści? Jaz jej ni w czym nie ukrzywdził, szkody na honorze i substancji nie wyrządził — nawet, od czasu minionej młodości, nie gadał z nią, ani na nią patrzył.

— Są wszelako jakoweś dyferencje graniczne...

— Kpij ty z tego, Pafciu-duszol! *In effectu*, tyleż je ona sobie waży, co ja baszostwo tureckie, albo chaństwo tatarskie. Posuń ty dziś kopce tam, gdzie jej się żąda, ona jutro *de noviter* rozrzucać je każe! Ów spór to jeno zamówka.

— Cóż przeto w tem wszystkiem tkwić może? boć *sine ratione* jejmość takby nie gwałtowała...

— Ba! Zgaduj zgadula, gdzie złota kula. Ani wiem, ani się domyślam.

Potarł cześnik czoło w zadumie.

— Jednom jeno zauważył. Ale to związku nijakiego z tą sprawą niema. W trzech głównie życia mego terminach, jejmość Girgasina największą pasją przeciw mnie wzbierała. Najpierw — gdym się żenił z nieboszczką pierwszą moją żoną. Powtóre gdy mi tamto żonisko zmarło. Po trzecie — teraz, gdy mi przyszło śmierć drugiej małżonki swej opłakiwać. Mądry byłby, ktoby te racje z wybrykami jejmościinemi do kupy związać potrafił!

Splunął dla okazania, jak mu to wszystko obmierzło.

— A ty, Pafciu — do rezydenta się zwrócił — ruszaj mi *stante pede* z tem, com tobie zlecił, bo wiem rzecz raz nareszcie wykłarygować się musi.

Skrzywił się Mleczek, w głowę się podrapał — westchnawszy, dosiadł powtóre swej chudej szkapiny. Mina jego okazywała wyraźnie, jak mu w smak

idzie ta nowa legacja. Ale rezydenci od tego są, żeby spełniać bez szemrania, co im ich chlebowdawcy rozkażą.

Tym razem nieobecność wysłańca dłużej się przeciągała. Cześnik wesa gryzł, pomrukując:

— Nie dojedzie on z tą sekutnicą końca... Z djabłem-by dojechał, z nią nie dojedzie!

Zniecierpliwiony, do ludzi swoich się obrócił, komenderując onymi. Jeńców rozmieścić przykazał wedle stanu: Girgasiaków, sznurem jedwabnym przystojnie związanych — w jednej z komnat dworskich; szaraczków zaściankowych, w konopnych pętach — w świronku; chamstwo ordynaryjne, tykiem prostem skrępowane — na gołej ziemi, w dworskiem obejściu.

Ludziom poszwankowanym z tej i z tamtej strony udzielała szafarka doświadczonej pomocy. Maści, balsamów i osobliwych drjakwii dostarczyła apteczka rakowicka, wielce we wszelakie medykamenty zasobna. Synaczkom pani Girgasinej zalewano rany czystym węgrzynem — co jeno szlacheckiej kondycji ludziom bywa aplikowane i *miraculose* onym pomaga.

Szpetnie postrzelonemu ogrodnickowi plastry i zalewania na nic już się zdały. Wezwać doń musiano parocha.

Zjawił się nareszcie i Mleczek, którego cześnik, wnet na osobność wzięwszy, pytaniami zarzucał. Cale inszej cery był teraz legat. Choć nastrojał się poważnie, znać było, że mu po głowie chodzą *jo-vialitates*.

— Dojechałżeś końca? — badał cześnik niecierpliwie.

— Nie odrazu to poszło!... — westchnął ów, ale mu w zmrużonych oczach jakby świeteczki zamigotały. — Na początku krzyczała, że jeśli synaczków

swych natychmiast nie odzyszcze, spali dwór rakowicki, mnie na pal wbije, a wielmożnemu rotmistrzowi dobrodziejowi... ach! aż strach i wstyd powiedzieć...

— Powiedz przecie, Pafciu-serdeczny. Raz mi już wreszcie czarę sromoty swej do dna wychylić trzeba.

— Ha, skoro taka waszmości pana mojego wola... Otóż odgrażało się ono babsko przebrzydłe, że z rotmistrzem dobrodziejem obejdzie się zgola po barbarzyńsku... że figla mu wypłata, po którym już się waszmości panu mojemu amorów raz na zawse odechce...

Zagryzł pan Mokrzecki usta, aby śmiechem nie parsknąć, trząsł mu się wszelako żywot od wielkiej wesołości.

— Gadajże, Pafciu-figlarzu, jakież to tam były nowe owego babusa inwencje?

— Bogać tam nowe, rotmistrzuniu dobrodziej. Panięskich czasów jejmości sięgają, a waszmości nych kawalerskich!

— Ba! — może jeszcze onej pory, kiedyśmy się oboje piaskiem bawili?...

— Piaskiem nie piaskiem, jeno kwiateczkami, listeczkami, a podczas i taneczkami, jak to między młodzieżą zwyczajne.

— Bodajże cię, Pafciu krotofilny! Ano, oczywiście prawdziwie trudno *negare*. Z jejmościanką Wydrzanką, zanim jeszcze jegomości Girgasa poślubiła, tańcowało się w zapusty nie raz i nie dziesięć. Bies nie śpi — może się jej kiedy i sentyment jakowy słodkim słówkiem objawiło. Dziewka była na schwał, co się zowie *puella formosa*, a na wasy i brodę jeno się onej mięki meszek sypał. Doświadczęni już ją wonczas mianowali *virago* — młodziankowi przecie i piwonja wyda się róża.

Zamyślił się cześnik i jakoby o obecności rezydenta zapomniął, dawnych czasów zasłone odchyliwszy...

— Cóż to się przecie naszej sprawy tknie? — zagadnął nagle, głowę podnosząc.

— Właśnież tknie się, rotmistrzowi wielmożny. Girgasina na one momenty się powołuje, one tańce i słówka przypomina — wreszcie *affirmat*, że od waszmości pana mojego przeróżne amorowe manifestacje, ba nawet i obligacje *accipiebat*...

— Phil... — dmuchnął przed się pan Mokrzecki. — Choćby to i było, dawno z wiatrem uleciało... I w sto koni nie dogoni!

— Ona inaczej o tem sądzi. *Verbum dabile* — gada — *debet esse stabile*.

Usłyszawszy *insperate* takową nowinę, cześnik brwi wysoko podniósł, oczy wybałuszył i minę uczynił całę osobliwą. Znać było po jego obliczu, że nie wie: śmiać-li się ma, płakać, czy gniewać?

Pomilczawszy cokolwiek dłużej, półjowialnie, pół żałośliwie zapyta:

— Gadałaż to ona przy zdrowych zmysłach?

— Przy najzdrowszych, rotmistrzowi dobrodziej. Krzyczała, że dopóty nie ustąpi i waszmości panu mojemu spokoju nie da, dopóki wymierzone jej nie będą *justitia et satisfactio*.

Zżymnął się cześnik, wasa zatargał.

— Do czegoż to ona kieruje? — krzyknął, nogą tupnąwszy.

Pafcio oczy spuścił.

— Ano... być może... wiadomo... aczkolwiek... — jękał i bąkał, jakoby wstydział się całą myśl wypowiedzieć.

— Czyżby się babie roilo przed ołtarz mnie pociągnąć? magnifiką moją zostać?...

Pafcio w milczeniu kiwnął kilkakroć głową w spo-

sób twierdzący. Oczy wzniósł przytem w górę, jakby niebo przyzywał na świadka, że on temu wszystkiemu nie winien.

— I cóż jej na to rzekł?—ciągnął cześnik, od pasji czerwony.

Mleczko rozpostarł ramiona bezradnie, oczami przewracać nie przestając.

Zagryzł wargi pan Mokrzecki, czoło okrutnie zmarszczył — biegać jął prędko naprzód i w tył. Wzburzony był—uspokojenia w ruchu gwałtownym szukał. Wreszcie stanął w miejscu, spokojniej już oddychając, głowę do góry zadart...

— Tfy!...—głośno, z wysoka splunął.

A jakby ze śliną razem wszystką już pasję z siebie wyrzucił, czoło w momencie jednym wygładził, zjeżone włosy wyrównał, zwyczajną posturę przybrał.

— *Finis!*—spokojnie a dobitnie wyrzekł, dłoń na ramieniu pałciowem kładąc.—Czem innem zatrudnić się nam trzeba. Kto kaszy nawarzył, niech ją je. Jeńców się wypuści, admonicję każdemu przystojną dawszy. Girgasiaków związanych odstawi się do sądu grodzkiego. O najazd, przechwałki, naruszenie granic i gwałtowne zabicie ogrodniczka sążeni będą. Odechce się ichmościom *in futuro* zbyt-ków i wiolencyj. A że sprawa gardłowa, mogą ona i gardłem przypłacić. Co się tknie postrzelonego śmiertelnie ogrodniczka, matka onego oddzielną żałobę do instygatora wniesie.

— A co się uczyni z samą jejmością?

— Już rzekłem. Naje się kaszy, którą uwarzyła. A moja już w tem głowa, aby jej tę strawę suto omaścić. Uręczam, że i przez ruski miesiąc smaku jej nie zapomni!...

Taki najbliższych działań abrys rzucił rezydentowi cześnik, gdy był jeszcze furji swej ze wszystkim nie wyczmychał.

Po wieczerzy, do której wszyscy z żarłocznością iscie wilczą zasiedli, odstąpiły ogniste humory od głowy cześnikowej. Konkokcja żołądkowa zatrudniła one. Cześnik jadał obficie i sprawę posiłku z należą traktował powagą.

Zwyczajem jego było, dopiero gdy się najadł, wydrzemał i wysapał, na nowo przerywany wątek spraw aktualnych snować. Przystępował zaś wówczas do onych z sercem miękkiem od wosku, słodkiem jak patoka...

I tym razem przeto srogie zarządzenia przedwieczne po wieczerzy całę inną przybrały postać. Jeńców rozwiązano i wolno puszczono — *pro forma* jeno nad każdym w powietrzu harapnikiem świśnawszy.

Girgasiakom ucieczka była ułatwiona, rzekomo przez niedopatrzzenie. Pęta z onych zdjęto i klucz w zamku pozostawiono. Musieli wszakoż *anticipando* przysięgę złożyć, że granice rakowickie szanować będą i nigdy się już na ludzi pana Mokrzeckiego *armata manu* nie porwa.

Jak na toż, i fortuna *in hoc casu* onym sprzyjała. Ogrodniczek, któremu co najdroższe medykamenta z apteczki dworskiej zaplikowano i kordjałem serdecznym ducha skrzepiono, lepszej nabrał cery. Przywieziony z miasta *medicus* zapewnił, że się ów, przy pilnym opatunku, z ran swoich wyliże.

Już się też odtąd na panią Girgasinę i na jej latami niepożyte afekty, pasją cześnik nie unosił. Owszem, wesołość w nim one budziły i—rzecz całą za krotofilę poczytał.

XIV

W Mięsopesty siła szlachty zjechało do Boryszyna, do jęgości pana Wojniłowicza. Było tam haniebnie wesoło, ale i statecznie, bowiem wszyscy dla gospodarza i gospodyni respekt wyznawali.

Dziedzic boryszyński należał do tych dobrych, prawdziwych Wojniłowiczów, którzy się wywodzą od Trojana Wojniłowicza, bohatera i zbawcy Litwy. Miał on w swym rodzie i junaków serdecznych, i kościelnych dygnitarzy, i mężów uczonych, i nawet poetusów — to też tego wszystkiego po kęsie i w nim mieszkało.

W Boryszynie pito, płaśano i dudkowano nie gorzej niż indziej, wszakoż ton panował tu inakszy niż u zwykłej szlachty, czy to dworskiej czy pałacowej.

U pana Wojniłowicza mówiono zawsze politycznie i ze swadą, głównie *de publicis*. Tu i z krasomówskim popisem spotkać się było można, i z sentencją, która aż się prosiła, żeby ją sejmujący pod rozważę wzięli. Sam też jęgość był mąż *dicendi peritus* i ochotnie w szranki oratorskie stawał.

W wielkim boryszyńskim dworze, niewysokim, ale zato wszerek okazale rozrosłym, — niby Żmujdzin przysadkowaty a pleczysty — już od tygodnia goście się zabawiali.

W sam Tłusty czwartek, z brzękiem i szczękiem,

z głośną muzyką dzwonek i grzechotek, z przeźliwym piskiem fletów i dudnieniem basów, spadł tu kulig. Wysypał on z licznych sań tłumną czeredę Cyganów, Cygankę, Węgrów z olejkami, pejsatych Żydów i Turków brodatych — których gospodarz *immediate* w jasyr wziął i sanie z płozów zdjawszy, odwrót onym uniemożliwił.

Wszystko to teraz po woskowanym pawimencie bawialni ślizgało się, tańcząc, trzpiotając się, przeźne sowizdrzalstwa mięsopestne wyprawiając.

Pan Wojniłowicz postanowił, że nikogo od siebie nie wypuści przed Wstępną środą, póki kucharz nie poda śledzia a ksiądz popiołem głów nie osypie. Jejmoście i jejmościanki rzekomo wielce się tem strapiły, nie trwało to przecie dłużej, jak do pierwszego ozwania się kapeli na chórk.

Gdy przyszły Kuse dni, już nikt o wyjeździe ani pisał. A im bliżej było Popielca, tem ognistszą i jakby warjacką stawała się ochota. Bankiety i krotofile, śpiewy nadobne i piasy, przejażdżki sanna i spokojniejsze, pokojowe igrzyska mieniały się bezustannie, wytchnąć nikomu nie dając.

W tem powszechnem rozigraniu, i cześnik ożywił się, rozweselił, rozfiglował na licach, i w sercu druga młodość mu rozkwitła. Naszał naprzemian to swój rotmistrzowski, błyszczący uniform, to kontusz hatłasowy z wylotami, a pięknie mu było i w tym i w owym. Rumiana twarz nadobnie odbijała przy mlecznym wásie i srebrnej czuprynie, a figura, w miarę korpulentna, całej personie majestatyczności niejakej dodawała.

Cyganka jedna, z uśmieszkiem a dygiem do pana Mokrzeckiego podszedłszy, oświadczy mu konfidencjonalnie:

— Gdybym mogła, tobym waszmości pana do-

brodzieja skonsumowała... Jagódką mi się zdasz w śmietanie!...

— Ał, mościa dobrodziejko—ów odpowie—przestała to jagoda—jesienna... Któżby się na oną połakomił!...

— Właśnież takie bywają najśłodsze. Kto znawca, nad majowe je przełoży...

Roześmiał się cześnik, a do innej materji przechodząc, spyta:

— Cyganeczko dobrodziejko, chciałbym cię o wróżbę poprosić—ale w obawie, że będzie tak omylna jak twoje komplimenty...

— Będzie jak one szczerą i prawdziwą. Proszę waszmości o rączkę.

Więc wyciągnę pan Mokrzecki swą dłoń miesiastą, a ona ją w białe, superlinowe łapiątka ujmie, paluszkami po niej wodzić, wpatrywać się i dumać weźmie...

Otoczyli ich ciasnem kołem mężczyźni i białogłowy, krotofili ciekawi. Ale wyslizgnie się im Cyganeczka i cześnika ze sobą uprowadzi.

— Ja jeno na cztery oczy wróżę skutecznie...

Dopiero w głębokiej wnęce, firaną od kompanji oddzielonej, do czarodziejstw swych przystąpi.

— Ho, ho, dobrodzieju—placze się wszystko u waszmości jak w labiryncie... Jedna linja, druga linja, trzecia linja... Tu kółko, a tu znów krzyżyk... Tam się wszystko rozbiega, tu zasie kojarzy... Dwie linje kardynalne wciąż się kierują do siebie—szukają się—złączyćby się rade... Jedna linja waszmościna, a druga... hm... druga...

Coś długo namysła się wróżbiarka, nazbyt dłużej dla niecierpliwego cześnika.

— Czyjaż druga, Cyganko dobrodziejko?... Męskaż ona, czy białogłowska?

— To się wie, że białogłowska... Samotna, pary

dla siebie szukająca... To linja biednej pustelnicy, co tam, w kąci z plebanem dyskursy toczy pobożne.

Nie potrzebował pan Mokrzecki w tamtą stronę spojrzeć—wiedział dobrze, kto tu kuligiem w szacie pustelniczej przyjechał. Serce zabiło mu mocno, aż hatłas na kontuszu zachrzęścił.

— I cóż z onych konjunktur wyniknie?—pyta, a szeroka dłoń od szabli dygoce mu jak u słabej niewiasty.

Cyganka znów palcem wodzi, namysła się, wzdycha...

— Hm, hm... Przyplątała się do tych dwóch linij trzecia—wielce wścibska, wielce uparta... Oo! jak to podbiega, z pasją wyraźną, do waszmościny, aby ją zwyciężyć i odegnąć... Jak to znów za tą drugą ugania się, drogę jej zabiega, na wszelki sposób opanować ją żąda...

— Przebóg, wróżko dobrodziejko! Dopnież ona swego?...

— Na toż Pan Bóg stworzył waszmości mężem, żebyś się mężnie potykał z przeciwnościami i nikomu przed sobą placu nie dawał. Kogo ona linja natrętna wyobraża, własnym już dowcipem dojść powinienieś. Gdy tamte dwie linje akord zupełny ze sobą uczynią, ta z horyzontu waszmościny konjunktur sama ustąpi, jako ustępuje miesiąc przed słońcem, słońce przed pogodą—załotnik wzgardzony przed załotnikiem przyjętym...

Potarł czubą cześnik, stopą zaszurał...

— Ćwiekaś mi zabiła, wielmożna a nadobna Cyganeczko... Jużcić, jako buławy polnej rotmistrzowi, na męstwie zbywać mi nie może—są wszelako okoliczności, gdy samo męstwo *non sufficit*, i niejaka przebiegłość—że nie powiem podstęp-

nością i chytrą lisią — podparta być musi.
A w tem to już ja — pasz!

Uśmiechnię się na to wróżka.

— Wyraźniej eksplikować mi się nie wolno — asekurowuję wszakoż waszmości, że w tej okazji, byle z odważnem sercem, twardo a rezolutnie w szranki wystąpić — wiktoria pewna. Jak to mówią: śmiałkom Fortuna sekunduje...

Ucałował pan Mokrzecki ręce Cyganki i na tem wróżby się skończyły.

Tejże nocy, zamknawszy się samowtór w gościnnej izbie z nieodstępny Paściem, długo tę sprawę z tej i z owej strony rozważał.

Uderzyło go, że rezydent był tegoż samego co do joty zdania, co i jejmość w przebraniu Cyganki.

— Święte słowa starościny dobrodziejki... — z nabożństwem powtarzał. — Sama mądrość przez usta pani oberszteljtantowej przemówiła... Na intruzów niezawodne *remedium*: mars na czołe, gęba wygadana, a w potrzebie — tęga pięść i oręż.

Cześnikowi wasy obwisły, głową chwiały *irresolute*.

— Wiesz ty jedno, Paściu-duszo a ja wiem drugie. Łatwo komenderować, mając za sobą hufiec, którego jest się pewnym. Ale ja tu pewności nijakiej mieć nie mogę. A nuż, do ataku zatrąbiwszy, ujrzę się na placu sam jeden jak palec?...

— Więc cóż? Usadzić się i pewność zdobyć.

— Ba!...

Wstał cześnik i jał po komnacie szwędąc się, to ją dokoła obchodząc, to na ukos i na krzyż przecinając — jak to miał we zwyczaj, ilekroć nad czemś głęboko medytował. Co moment, kroku zwalniając, powtarzał swoje „Ba!” — któremu ton i akcent coraz inny nadawał.

Wreszcie, już do tej materji nie wracając, pacierze odmówił i legł spać.

Ale nazajutrz, od samego rana, wcale inną przybrał postawę. Z głową wysoko podniesioną, w swych szatach najcudniejszych, cały haftasem, rubinami, turkusami i najbardziej świeżym, iście różanym rumieńcem błyszczący, na krok nie odstępował pustelnicy. Mina jego zadzierzysta, jedna ręka przy wasie, druga za pas zatknięta, ruchy zarazem rycerskie i polonezowe, mówiły:

— Tak czynię, bo tak mi się podoba. A jeśli to komu nie do smaku, to wnet mu mogę smak szerpentyną swą naprawić.

Wymacałby i ślepy, kogo się owe przechwałki tknęły. Przy nadobnej pustelnicy asystę wciąż trzymał jegomość, który z nią był kuligiem przyjechał, — ten sam przyszywany brat, co już przy pogrzebnie nieboszczyka jej męża zbytnią konfidencją swą niemało krwi cześnikowi napsuł, a teraz żółcią wszystkich godziny żywota zaprawiał.

Mianował się ów Łatkowskim herbu Poraj — choć jako żywo Porajczykiem nie był i z żadnego zgoła szlachectwa wylegitymowaćby się nie umiał. Najpewniej był *nomine et cognomine* Łatka *vel* Łata, i z łyków się wywodził, a nazwisko dostał *ex re* łat, któremi jego rodzic dziury w kapotach, a może i w obuwiu, braciom mieszczanom zakrywał.

— Szwiecem śmierdzi... — mawiał o nim pan Mokrzecki do Paścia — a i przylepny bestja jak szewcka smoła...

Z jakiej racji czepiło się to urodziwej, a i nie biednej, wdówki — Bóg raczy wiedzieć. Gdzie ona, tam i on. To jej przy stole usługuje, wina albo wody nalewa, półmiski podsuwa, menazik z solą i pieprzem podaje; to za nią książki nosi, wybiera, na głos czyta; to przy klawikordzie kajety z nutami przewraca. Ale najczęściej i najochotniej narzucał się ów natręt z radami, dotyczącemi spraw

gospodarskich i majątkowych. Tego już cześnik żadną miarą ścierpieć nie mógł — ile, że opieka nad wdową i sierotą *ex officio* poruczoną mu była.

Więc, na kiel wzięwszy, pocznie pan Mokrzecki onemu Łatkowskiemu, *recte* Łatce, przytyki dawać, afronty czynić, pięty przydeptywać, owo zgola jak wtręta i impostora traktować.

Pewnieby w drugim krew zakipiała, pacjencji-by mu przybrakło, a napastnikowi raz i drugi rzetelnie odpaliwszy, na ostreby go wyzwał — ów przecie, jakby nic, miny nie traci, z drogi jeno cześnikowi ustępuje i płaszczy się a płaszczy, aż się w końcu cały pluskwie stał podobien...

Toby jeszcze były fraszki — ale nagle do głowy mu coś strzeliło i, jak pierwiej czynił się bratem przyszywanym pani Towiańskiej, tak teraz i do cześnika ośmielił się *per* „bracie” przemawiać...

— Suplikuję waszmości miłościwego pana i brata... Z atencją należną panu cześnikowi dobrodziejowi, panu a bratu mojemu.

Z początku, puścił to cześnik mimo uszu, jako pospolitą, mięsopustną stultycję, za drugim przecie razem nastąpi prosto na konfidenta i z miną rzekomo pokorną, ale z groźnie namarszczonem czołem, rzecze:

— Zbytني fawor czynisz mi acan dobrodziej, za pan brat ze mną sobie poczynając. Szeroka jest prozapja *domus Mokrzecianae* i znam oną jak „*Pater noster*”, wszelako na żaden sposób przypomnieć sobie nie mogę, żeby ją Łatkowscy, Łatalscy czy inni Przyszczepkowscy, swą koligacją honorowali...

Złamie się ów w uniżonym pokłonie.

— Ja też, mości cześniku dobrodzieju, bynajmniej nie *ex re* koligacji...

— Z jakowegoż zatem prawa?

— Ot, zwyczajnie, jak między bracią szlachtą...

Pan Mokrzecki odmie się.

— Dziwy waść mi powiadasz... Między szlachtą?... Między bracią szlachtą? Szeroko o tem szlacheństwie pisał król Dawid — zato u Paprockiego i Okolskiego tyle o onem, co nic... Ja waściwą zbytnią łaskę skądinąd wywodzę — ja mianuję oną poprostu: przypinaniem latek rodowi mojemu. Ostrzedz zaś acana dobrodzieja muszę, że naszając się zawždy cało, nijakich latek ścierpieć nie mogę. Owszem, każdą takową łatkę zwykłem tym oto nożykiem — tu w szablę brząknąć — *immediate* odrzezywać.

Skulił się Łatka jak pies obity i czmychnął, ani śmiać nawet ze słowem jednym wystąpić.

Choć to wszystko było mówione zwyczajnie, bez ekstraordinaryjnego podnoszenia głosu, doszło wszelako do tego i owego z biesiadników. Szlachta kułakami gęby zatykali, żeby niewczesną i nieprzystoijną wesołością gospodarzowi i cnym gościom nie ubliżyć — *hilaritas* przecie była powszechna.

Rzecz podziwienią godna, że pustelnica, czyli, bez metafor mówiąc, jejmość pani sędzina Towiańska, dIALOGU onego świadek, cale się nim obrażoną nie wydawała — choć rzekomo siostra jegomościna. Ktoby był zerknął pod jej wachlarz, możeby nawet i uśmieszku krotofilnego dopatrył.

Wielką otuchą napelniło się serce cześnikowe. Wąsa kręcąc i pasa złocistego poprawiając, do jejmości się przysiadł — nie bez emocji niejakiej, bowiem afektów białogłowskich nigdy całkowicie pewnym być nie można.

Potkała go siurpryza niemała. Objawiono zdziwienie i żal, że się tak długo na uboczu trzymał; złożono dzięki gorące za przysługi otrzymane, przypominając się zarazem subtelnie z przyjaźnią dalszą — pokazano wreszcie w uśmiechu białe ząbki,

z pomiędzy których jedną jeno perełkę wykradł czas neliitościwy.

Topniał cześnik z uciechy jak smalec na gorącej patelni. A już mu też błogość wierzchem przelewać się zaczęła, gdy posłyszał panią Towiańską mówiącą:

— Tak się córy nasze pokochały, tak jedna bez drugiej obyć się nie może, tak żadnej między nimi dyferencji niema, że wzięćby je można za dzieci jednej matki i jednego ojca...

Odtąd już pani sędzina i pan Mokrzecki nierozdzielni stali się parą. Razem przy obiedzie i wieczery, przy zabawie i modlitwie, w gromadzie i na osobności. Niewiasty podszeptywały, oczyma ich sobie ukazując; starościna rzucała im raz po raz zachęcające spojrzenia i uśmiechy, a Pafcio, ilekroć zdybał się z cześnikami, szeptał mu, oczy mrużąc:

— Rotmistrzuniu dobrodzieju — kuć żelazo, póki gorące!...

Tymczasem skupieni przy gospodarzu personaci zabawiali się w oddzielnej komnacie kielichem i formnemi dyskursami. Młodzież poważniejsza miejscy przy drzwiach zajęła, usługując w potrzebie starszym, łowiąc uchem każde ich słowo, z własnym zaś nigdy się nie wysuwając — owo zgółta stątek łącząc z pożytkiem.

A nie rozlegały się tam nijakie, wiatrem nadęte, *ephemeridae* — owszem, każde przemówienie, w skupieniu ducha przez innych wysłuchiwane, było popisem krasomówczym, którego by się i „Swada Polska” imci pana Danejkowicza nie powstydziała. Drugiemu za lekcję retoryki starczyłoby to mogło.

Jak pięknym, na przykład, kształtem opisywał pan starosta cyryński — ten, któremu już szlachta na pogrzebie nieboszczyka pana sędziego Towiań-

skiego gorąco aplaudowała — peregrynację swą na morze Bałtyckie...

— Nie zatrudniły nas — mówił, wdzięcznie się w tę i w ową stronę przeginając — przy wiślnych Ne-reidach szkodliwe remory, i stamtąd na większe, *faventibus Euris* puściliśmy się insulaty, gdzie nam *Neptunus ventis implevit vela secundis*. Przebyliśmy szczęśliwie burzliwej *per Hiperboream* Bałtydy *Scillas et Charibdas*, i na fortunnym, *sub ramo pacis olivae*, stanęliśmy brzegu...

Głaskali się po brzuchach poważni ichmoście, ustami mlaskając i chciwie chłonąc one słowa wyśmienite, które z ust mówcy patoką miodną płynęły.

U pana Wojniłowicza Bachus mniejsze, niż po innych domach, otrzymywał ofiary. Nigdy tu *abusus* w napojach głów zbytnio nie zamroczył, do nieprzystojnych kłótni i jakichkolwiek harmidrów powodem się nie stał.

Za kołnierz nie wylewano, coby grzechem i sprzeciwianiem się woli Pana Boga było, który winną jagodę na wyłączny użytek człowieka był stworzył — ile, że zwierzę żadne ani jej godnie zażyć, ani właściwie przygotować nie potrafi. Jakże zresztą nie pić, jeśli już łacinnik zapewniał: *vinum laetificat cor humanum*, a w Kanie Galilejskiej sam Chrystus Pan usta przenajświętsze w kielichu maczał!...

Wszelako sok Bachowy, nader z moderacją wzięty, zawżdy swoje zdziała — więc i tu, dzięki onemu, animuszu wszystkim przybyło i umysły krotofilnie się nastroiły. Znalazły się wnet na stole anegdotki i dykteryjki (gospodarz czuwał, żeby w onych *limina* przystojności przekraczane nie były), a potem jęła się szlachta swego umiowanego obiektu, który ma to do siebie, że się nigdy do dna wyczerpnąć nie da, mianowicie: heraldyki.

Mówił to ten, to ów, z wiadomościami się po-

pisując, obiektu zasie dostarczały personatów obecnych rodowody. *Solenniter* dyskurs szedł, jak zawsze w boryszyńskiej kompanii, ile, że średnio zazywane kielichy zaostrzyły dowcipy, bynajmniej nych nie mroczać.

Wszelako i tu znalazł się *turbator chori*, a był nim jegomość pan Pukszt. Zadzierzysty ten szlachcic, człek wielkiej o sobie prezumpcji, łączył ze słabą głową wielką do cholery skłonność. Już kiedyś, w gościnie u pana obersztlejtanta, omal do bójkę nie stanął z Mleczkiem, a zdarzało mu się nie raz, nie dwa, na sejmikach w szable z bracią szlachtą dzwonić o wiatr, co wieje.

Na wszystko inne wyrozumiały i niemal całe *neuter*, w pasję wpadał niezmierną, gdy mu kto na jego klejnot herbowy nastąpił.

Ze swym Kościeszą naszał się wszędzie, by kura z jajkiem.

Do wzburzenia w panu Pukszcie humorów niewiele było potrzeba. Byle cztery, pięć półkwartowych wiwatówek, już próżność swą, jak indyk korale, nadymał i do zwady był gotów.

Taki był i tym razem. Uroił sobie, że jego klejnot postponują i personie przytyki dają. Więc naczupurzy się, rozeźli, i weźmie temu i owemu kąśliwe słowa rzucać, mieszając one z całę już śmiesznem samochwalstwem.

— Niema, moścudzieje, klejnotu jak Kościesz!... Kościesz nikt nie zrówna i na Litwie, i w Koronie. Puksztowie są jedni i nikt nie może iść z onymi w paragon. Dopiero się szlachta litewska z jajka wykluwała, gdy już ich praszczur, jegomość pan, sławnej pamięci, Wojdyłło Klausgiewowicz od Jagielly nobilitację brał. Czytać o Puksztach Klausgiewowiczach u Kujawowicza *in manuscripto*. Nikomu tak hojną miarą nie odmierzył jak onym. Więc kto

Puksztom i ich Kościesz ubliża, mam go za cztery litery!

Przy onych przechwałkach czerwienił się, oczyma przewracał i na palce wspinał, aby dla swej drobnej osoby większy respekt zbudzić. Już też i szlachta, co zapalczywsi, gniewnie na onego chwalił i pomrukiwali. Wstanie przeto pan Wojnyłowicz i gwoli uspokojenia umysłów, z taką wystąpi oracją:

— Niech się jako chcą zaszczycają dawnością familij ziemianie nasi, tobie, mości Pukszt, najdoskonalszą każdy przyznać musi prozapję. Wtenczas bowiem sławnego domu Puksztów założony był fundament, kiedy świata stanęła erekcja. Owszem, kiedy jeszcze w młodości świat się widział, już dom Puksztów był starożytny; a gdy mały był jeszcze *terrarum globus*, już tego domu wielcy byli antenaci. Nie zaraz *in lucem publicam* wychodziła Polska, gdy niejeden z domu Puksztów w umbrze fatalne uczynił transgresję. Dopiero Sarmacja rodziła się, kiedy już ten dom prowadził życie. Zgoła młodą jeszcze była, a już się starożytnością zaszczycał twój, mości Pukszt antenaci. Kiedy jeszcze *infantiam* obchodziła Polska, już wy byliście *maturi*. Dopiero polskie zakwitać poczynają niwy, już dom Puksztów *aestatem suam* odprawiał. Ba! nie zaraz po was Polska powstała, powstawszy zaś, gdy ujrzy Puksztę, tak wielką starożytnością zasiązonego, jego *in Patriae patrem* zaprosiła. A kiedy Polska w Puksztach zaszczytną upatrzyła koligację, natychmiast z nimi w wieczyste wstąpiła śluby — nie było bowiem i niema takiego domu, któryby do Puksztów nie należał. Z samym nawet Jowiszem macie pokrewieństwo, bo równe wasze cnoty, jako jego dzieła. *Ab Jove progenies et origo vetusta parentum*. Drzewo domu Puksztów, szerokie i wysokie, tyle

ma odnóg, ile gwiazd na niebie rachujemy; tyle koligacji, ile iskier z Etny wybucha. Nie wyliczam tu domów, do was należących, boby arytmetyki nie stało; nie rachuję w Polsce waszych pokrewieństw, bo całą Polskę musiałbym na plac przywołać. Choć się który z domów dalekim od was widzi, bliskim jest *in effectum*—jako morze, lubo odnogi jego w dalekości, jednak bliskiemu się nominują, bo w jednym schodzą się oceanie. Lubo która odnoga domu Puksztów odłączy się od pnia ojczystego, przy nim zostaje i do niego należy—zgoła domem waszym jest Polska cała. I cudze także kraje niemało dostarczyły domowi Puksztów koligatów. Owszem, niezrachowana jest onych liczba—wielość ich prochom Troi spalonej zrównywał. A jeśli nazbyt jeszcze skąpą domowi temu dałem komparację, wybacz mości Puksztu, gdyż rozum ludzki—ba, samej Minerwy dowcip—godnego was podobieństwa wynaleźć nie potrafi...

Tu mowę zawiesił i z obawą niejaką po słuchaczach spojrzął: aza który, intencji się domacawszy zbyt jawnie wesołości nie objawia? Wszyscy wszelako zachowywali po wierzchu niezmaconą powagę, od pierwszego słowa dorozumiewszy się, o co chodzi, choć przeto który szaloną miał ochotę śmiechem parsknąć, wargi przygryzał aby pana Puksztę z milego nie wyprowadzać złudzenia. On sam zasia, dobrze już trunkiem zażrzany, za dobrą monetę wszystko brał, rozkoszując się słyszaniami pochwałami i tając z błogości jak masło na patelni.

Więc pan Wojniłowicz tak w dalszym ciągu orację swą poprowadzi:

— Nie masz tak wielkich rzeczy, żeby z domem Puksztów komparować się dawały. Wielkie maszyny domów innych z waszym równać się nie potrafią; tak się do onego mają jak gwiazda do słońca,

proszek do Olimpu. Honorów domu Puksztów rejestrować nie będę, bo wszystkie on posiadał. Jeszcze świat był *in fasciis*, kiedy dom Puksztów *fascias* już miewał; jeszcze *in pretexta* chodził, kiedy was widziano *togatos*; jeszcze *balbutire* ledwie umiał, kiedy wy byliście *consultores*. Ile tylko ziemia raczuje tytułów, wszystkie u Puksztów się znalazły, korony wam jeno brakło, ale zaiste cnotami swemi na koronę zarobiliście, owszem, koroną te cnoty wam były. Uniżoność i wyniosłość tak się w domu Puksztów zespoliły jako lód z ogniem, światło z ciemnością. Mało rzec, żeście pokorni: samą pokorą jesteście, prawdziwy z was modystji prototyp. Hojność w was tak wielka i tak bujna na świat wylewa się falą, jak Nil na ubogie egipskie role. Tyle macie cnót, ile liścia rodzi Flora. Mądrość u was ma także *locum standi*, i Minerwa, gdyby jeszcze żyła, w waszychby głowach założyła swoje *sedem*. Nakoniec, mości Puksztu, co się tyczy męstwa, Mars powinien buty tobie czyścić, a Pallas płaszcz nosić za tobą, ba, koniowi twemu chwost zawiązywać!...

Skończył, i czoło spocone otarłszy, siadł—a pan Puksztu wnet doń doskoczy, w objęcia go chwyci, ścisnąć a całować weźmie.

— Szczęsny to dzień w mem życiu, panie Wojniłowiczu dobrodzieju—lubryką w kalendarzu go zakreślę! Dziś-em się dopiero dowiedział, kto mój *amicus* prawdziwy!

Pan Wojniłowicz wstydał się kęs swej zbytniej jowialności, ile, że obiektem onej był szlachcic dobry—widząc wszelako, jak bardzo zaślepiła pana brata niebotyczna miłość własna, uspokoił się i sam się krotofilą swą ubawił.

XV.

Akurat w same kuse dni kończył się termin żałoby pani Towiańskiej. Jakoż zrobiła całej kompanji miłą siurpryzę i szaty pustelnicze zrzuciwszy, przyszła na obiad w barwistym, cale już świeckim stroju.

Przyjęto wróconą światu aplauzem ogólnym, na który wdzięcznym odpowiedziała dygiem. I zaprawde nie tak się przekształca Jupiter w onych księgach Nazonowych, które „Metamorphoseon” zowią, jako cudnie, licem i całą postacią, przemieniła się ta grzeczna pani. Róża z leliją rozkwitły na jej jagodach, cała zaś wdzięczną się uczyniła, by ptasze w gaju. Nie zapomniała także o czarnych muszkach, które nadobnie a figlarnie twarz jej obsiadły. Owo zgola taką się wszystkim wydała, jaką była nie jedno przed pogrzebem swego małżonka, ale i przed ślubowinami z onym.

Gdy pospołu ze swą córką na salę weszła, niemal równiecami obie się zdawały — co najwyżej, matce jakieś pięć, sześć років więcejby kto przyśadził.

Wszystkich uprzejmie pominawszy, podała sędzi-
na rękę cześnikowi, który też wása, pasa i wyłotów poprawiwszy, *solemniter* do stołu ją powiódł.

Przy stole, osobiwie przy wydwnorych deser-

tach, pieprzną malmazją i słodkim alikantem obficie podlewanych, huczek podniósł się przyjemny, jako, że to święcono ostatnią już dobę mięso-pustną. W powszechnym harmidrzu trudno było rozeznać, o czym siwy wdowiec z różaną dyszkurę wdówką — na chwilę tam przecie nie odpoczywały usta, spojrzenie goniło za spojrzeniem, uśmieszek za uśmieszkiem. A podczas i pełny śmiech wybuchał, u drugiego końca stołu słyszany, gdzie siedział Mleczek, wietrzący nos ku patronowi kierując.

A tam już ku końcowi obiadu i gałki z chleba pojawiły się na obrusie. Trzy ich było — dojrzał to wyraźnie Pafcio — postawiła zaś one pani Towiańska. Cześnik, z namarszczonem czołem, długo się w szare kuleczki wpatrywał, wreszcie, łapę wielką wysunawszy, jedną kulkę nakrył i słówko jakoweś baknął. Roześmiała się pani sędzina i oczy chusteczką dzierzganą zakryła. Roześmiał się i rozpodził pan Mokrzecki. Ręce sobie podali, a że obiad się kończył, wstali od stołu w najlepszej komitywie.

Wstał i Pafcio, a chociaż, dzięki liczным kolejkom, w swej przyrodzonej równowadze był kęs zachwiany, minę miał rezolutną i wesolą. Drapał się po nosie i pod wąsem chytrze się uśmiechał, co zawżdy u niego zupełnej satysfakcji znakiem bywało.

Do patrona swego zbliżyć się chciał, lecz nie mógł, ów bowiem wciąż był panią sędziną zabawny.

Obiad kończono już przy świecach. A gdy kompanja — małowiele wytnawszy i, co białogłowom w każdej okazji potrzebne, przyglądziwszy się, do bawialni wstąpiła, już tam pajak kryształowy mnóstwem świec woskowych gorzał, a na chórkę instrumenty swe dworska stroiła kapela.

Już to było w tradycji boryszyńskich gospodarzy, że u nich w Ostatni wtorek do upadłego hasano. I teraz zatem tańce szły po tańcach, a pleć nadobna po dwakroć strój odmieniał musiała, tak jej ogniści tanecznicy pajęczynowe szaty w płasach nadwerężali.

Jeśli na wieczorach poprzednich przodownica stale bywała jejmość pani obersztajtnantowa Bitowtowa, tego dnia berło odstąpić musiała jejmości pani sędzinie Towiańskiej. Z oną zasie zarówno w posuwistego poloneza jak i w skoczne tany, puszczal się statecznie jegomość pan cześnik Mokrzecki. Jenó w menuecie miejsca ustępował młodszym, ile, że ów taniec stroju francuskiego wymaga, którego by za żadne skarby świata cześnik nie był przywdział.

Drobny *casus*, ledwie, że przez niektóre osoby zauważony, zamącił na moment harmonję zabawy.

Gdy w „odbijanym” ów impostor Łatkowski, wysunąwszy się z korowodu, po rączkę pani Towiańskiej dłoń wyciągnął, cześnik ominął go, udając, że nie dostrzega i tanecznice swą komu innemu oddał...

Afront to był, jakowego nawet *scartabellae* i neofici płazem puszczać nie mogą. Zaczewienił się ów, najeżył i do adwersarza swego doskoczył. Starli się ichmoście na słowa, które były gwałtowne, prędkie, lecz niegłośne. Potem cześnik z pogodną twarzą na miejsce przypadające sobie wrócił, ów zaś, skrzywiony by szatan, zaszył się kędyś między ostatnie pary.

Godowano godzin kilka, o świecie całym zapomniawszy. Niejednemu i niejednej, po rzetelnem wytrześieniu, haniebnie jeść się zachciało, o wyczczy wszelako było cicho i jeno przeróżne cukrowe figlasy damom służba roznaszała — przy któ-

rych i kawaler się pożywił, a podczas i wdowiec. Ale takie to tam było i pożywienie!

Pafcio, któremu nie do tańców było, *myszko*-wał tu i owdzie, a zwykłej elokwencji i rezolucności zbywszy, mrukiem się wydawał. Po kilkakroć pan Wojniłowicz na stronę go brał i coś tam ze sobą konszachtowali. Rezydent głową chwiał *irresolute*, skończył wszelako na kiwnięciu, które w języku wszystkich zgola nacyj, tak europejskich jak zamorskich, zawždy znaczy *bene*.

Rozochocą kompanja w najlepsze na woskowym pawimencie podrygiwała, gdy jedną razą skrzypek gubi takt, basetlista płacze się i rezon traci, bęben trajkotać zaczyna jak warjat, a klarnet, w górę skoczywszy, wydaje pisk przeraźliwy, jakby kto palcem wilgotnym po szybie przejechał. Owo zgola dekoncertacja i dekompozycja jeneralna...

Wzdrygnęli się tanecznicy i zamęt wszczął się między onymi. Jeszcze przez moment pary kołowały, potracając się nawzajem, wreszcie wszystko w miejscu stanęło.

Zamilkła też i kapela — a to nagle zatrzymanie się wszelkiego ruchu i głosu sprawiło efekt ekstrordynaryjny, ledwie, że nie przerażający...

W tymże momencie zaczął bić w sieniach wielki zegar gdański, którego powolne, głębokie, nieco drżące pulsy wydawały się głosami z innego świata. Wszyscy mimowolnie liczyć te uderzenia zaczęli i doliczyli się dwunastu.

— Północ!... — obwieścił głosem całe już grobowym sędziwy sługa, otwierając wysokie podwoje do obocznej jadalni.

W progu ukazał się imćpan Wojniłowicz, gospodarz boryszyński, dziwnie na obliczu i na całej figurze odmieniony. Wąs obwisły, barki przygarbione, wzrok w ziemię wbity, a zamiast sajeta i hatla-

sów — kontusina z prostego kilimka barwy marmurkowej, pasik włóczkowy ładajaki — owo zgola przedstawił się raczej szaraczkowi zagrodowemu, niż jasnemu dziedzicowi podobien.

— Wielmożni, mnie wielce miłościwi, panowie bracia i dobrodzieje moi! Wielmożne, mnie wielce miłościwe, jejmoście i jejmościanki! Niepowstrzymany w swych kursach Saturnus doprowadził wóz naszego żywota do punktu, w którym Mięso-pusty i Zapusty termin swój ostatni biorą, scepter zasie monarszy dostaje się odpustom. Obwieszczając początek panowania postu świętego, upraszam całą przezacną kompanję na skromnego, klasztornego, ociem skropionego, śledzika — do którego wszelako zanim zasiądziemy, wpierw mądrych słów kaznodziei, gwoli upamiętaniu i zbawieniu dusznemu wygłaszanych, z nabożeństwem, powstawszy, posłuchajmy.

Tu drzwi zatrzaśnięto i kompanja, *volens nolens*, zwrócić się musiała w stronę przeciwną, a ówdzie nowa czekała ją siurpriza...

W rogu wielkiej sali balowej, na wzniesieniu *ad instar* ambony urządzonem, stał ksiądz w białej komeżce, ze stulą na szyi, wpół pasa kobierczykiem wzorzystym foremnie zasloniony.

Nowicjuszów wielce ten widok zmieszał i na ton nabożny nastroił; *viri experti* przyjęli go uśmiechem, cale świeckiej natury.

Ten i ów, podszedłszy bliżej, łąco poznal, iż rzekomy kapłan jest człowiekiem tyleż świeckim, co reszta kompanji: że jego komża jest zwykłą białą koszulą, a stulą zwykłym, do brzucha opasywania, pasem; że wreszcie kobierzec po to jeno tam wzięty, żeby dolną, cale już świecką połowę ubrania, przed oczyma słuchaczów maskował.

Rychło też szlachta bystrzejszego oka domacała

się, że w skórę onego kaznodziei, gwoli zapustnej krotofili, oblóki się jegomość pan Mleczek, kompan i konfident cześnikowy.

Zajęto pośpiesznie miejsca, gdzie i na czym kto mógł, a uroczyście namarszczony i łysina jakby gromnica świecący Pafcio, znakiem krzyża świętego siebie i słuchaczów swych przeżegnawszy, takim kształtem rzecz swą prowadził:

Zdrów czy chory: *memento mori*! Mięso-pusty — obiekt pusty; *et post—est* „post“. *Nihil novi sub sole*, milsze mólowi sobole, niż z chrustu malowane powidła — napisał myśliwy Ochmal na piaszczystem morzu, zabiwszy drapieżnego wielgoryba w boryszyńskiej puszczy. Nie trzeba morzem do Krakowa płynąć, bo i po śląskich górach Litwini suchą nogą biegają; ten jeno cud w cudzych krajach największy, że tam u ludzi nogi do samej ziemi rosną, a słońce w dzień, księżyc zasie w nocy świeci. *Quid, nisi vela sumus?* Nie trzeba do Ankony gazetów pisać, ani w Amszterdamie, na Pławnej ulicy, słomianego szukać wołu, bo i w Wolkowysku Żydzi świniego mięsa nie jedzą, a kto się poci, kwiatu lipowego nie pije. *Non est cibus nisi baro...*

Choć się słuchaczom lechciwszej natury na śmiech zbierało, nikt weselości swej nie pofołgował, bowiem obyczaj żadał, aby takowych kazań w skupieniu ducha słuchano. Niektórzy, by pokusę śmiechu przyzwyciężyć, głowami kiwali, jako to bywa na kazaniach prawdziwych...

Mleczek ciągnął, głos swój *ad hoc* nosowym czyniąc:

— Cóż pomstować na Mięso-pusty, albo proces Fortunie wytaczać, że szewcy poniedziałki święcą, lutrzy w soboty mięso żrą, Cyganie kobyły kradną — kiedy sam rzymski orator, Cycero, nie mógł łysą głową przebić drewnianego muru? *Nec Hercules*

contra plures. Nie smakowała Żydom na puszczy pod Lidą mama, więc za to w szabas nie wolno im kurzyć fajek i pieniędzy liczyć. Z czego się okazuje, że sowa nie urodzi sokoła, kot oka nie wykole, choć chodzi po stole.

Cyrus, król lacedemoński, miał ten obyczaj, że gdy spał, to nie patrzył, którego raz obaczywszy ślepa baba, zaraz zaniewidziała — nad której ślepotą płakać i żalić się potrzeba nawet tym, którzy cale oczów nie mają. Maratończycy uczą, że kiedy słońce jest w znaku Lwa, wówczas kozy pieprzu nie jedzą i wina a miodu nie piją; a kiedy jest w znaku Barana, wówczas psy cła nie płacą i od myta za przewóz są wolne.

Zaprawdę, ziszczają się one dawne profecje, kiedy to Dedalus, burmistrz ze Świsłoczy, prorokował. *Saeculum erit depravatum nequam*. Co znaczy, że wilk przez psy nie tyje, a wrona, choć biała, to się szwarcem myje.

Ej! gdyby teraz wyszedł z babilońskiej stodoły, niby z mysiej jamy, ów sławny Demostenes, kołodziej z Mścibowa, jakżeby się zadziwił, zobaczywszy z olenderskim chrzanem żrebięcą na półmisku głowę, z musztardą wołowe nogi, w smole duszoną komarzą wątrobę! Zaiste, wołałby on kruchego w białym sosie indyka, niż z dziegciem flaki. Ba! rozdziawiłby ów gębę jak wrota, przed zapustnymi gośćmi, poznawszy, że marchew żółta, kapustę kiszoną, zielone ogórki i rzepę twardą niektórzy za przysmak mają. A przecie szkoda szafranu do barszczu, limonji do grochu, balsamu do kapusty. *O temporal o mores!*

Teraz na kluski maki nie żałują, a uczony Hikfihocpoclarius, ujrzawszy na płocie zawieszoną kobyłą głowę, oświadczył: — Jako jest ciężko łbowi zdechłego konia gadać, tak samo niełatwo zapiać

zabitemu kogutowi w piecu. — Skąd ja asumpt biorąc, krótko powiem: baba z wozu, kołom lżej.

Izrael rozgniewany, obaczywszy pewnego Machabejczyka, płynącego borem do Dubna na kontrakty, kazał go żywcem w stoгу siana utopić, ale mu to na złe wyszło, bowiem Holofernes Judycie głowę uciął. Gdzie cienko, tam się rwie.

Nie szkodziły ongi Mardocheuszowi pod pierzyną okrutne lwy i tygrysy — teraz i biedne pchły dokuczą. Przedtem orły w stodole młóciły, teraz i muchy przed psami się kryją. Przedtem ryby po jeziorach pływały, teraz i konie karetami nie jeżdżą. *Terra est rotunda et globosa*.

Kiedy budowano Babilońską wieżę, Darjusz, węglarz z puszczy Tyszkiewiczowskiej, taczkami maślanek z Białowieży wozził, a Dyrdacz, mydlarz z Zalesia, glinę konwią odmierzał. Nie dokończywszy tak sławnej fabryki, pojechali do Wiednia na grodzieńskie piwo, gdzie im się języki od szparagów pomieszały. O czym usłyszawszy w podziemnych krajach Kiżgajtos, przewoźnik z Pińska, jakoby z wieży Trockiego zamku na onych zawołał: — Gdzie Rzym, gdzie Krym, mości panowie? — jawnie tem okazując, że kto chce jeść angielskie minogi z anyżem i raki z balsamem, niech nie jeździ do Gdańskiej piwnicy w Rzymie, bo i w Pilwipskach czarna krowa białe mleko daje. *Mors ultima linea rerum!*

Na wspomnienie o śmierci, słuchacze głęboko westchnęli. Ten i ów oczy wzniósł do powały i żałośnie wzdychając, a głowami chwiejąc, symulowali wielkie przerażenie.

Otarł też oczy kraciastą chustą i Palfio, jakoby potęgą własnej wymowy do łez rozrzewniony.

Po chwili, łkającym głosem, tak dalej prawil:

— Eskulapjusz, przedni cyrulik ze Stönima, tak

misterną wyrobił z mydła kłódkę, że jej nikt rydlem otworzyć nie mógł, o czem dowiedziawszy się Chaim, szmuklerz mohilewski, posłał mu żywego śledzia, aby go po francusku gadać nauczył, ale mu to na dobre nie wyszło, bo żaden luter ani kalwin w niebie być nie może. *Et respice finem.* Co Amfjon, balwierz z Kapadocji, tak tłumaczy:— Nie chciałeś Żydzie manny, jedźże czosnek.

I koń się potknie, choć ma grzywę na karku. Z tej przyczyny gęsi w wilczurach nie chodzą. Sprawdził to na sobie Samuel, szkolnik krakowski, z Zakretu pod Wilnem, który wyprawivszy się ładem do Garwolina przez Bałtyckie morze, obaczył na Dardańskiej wieży dzikiego niedźwiedzia w marmurowej szubie, ów zasie, nie czekając na obwarzanki smorgońskie, pośpieszył saniami do Chojnic, aby obaczyć cudownego jelenia na czterech nogach z dwoma rogami. *Africa monstra parit.*

Najlepiej w drogę jechać, kiedy toru nie masz. Której perswazji nie słuchając, Ofermestes, olejnik z Rohaczewa, nie nasmarował wozu, kiedy czołnem po lodzie przez Wisłę pod Poznaniem jechał. Doświadczył tego i Ezop, o którym świadczą historie, że kiedy jadł malowane prosię, to gębą nie ruszał — o czem dowiedziawszy się Sylvjus Aeneas, soltys ze Szczors chreptowiczowskich, przywiózł mu cygańskiego szczura w sitowym garnuszku, aby go pacierza nauczył, lecz mu go ukradł do swojej bóżnicy rabin tatarski, aby mu na Świsłockiem morzu poławiały się rysie.

Pisze Owidjusz, płóciennik z Krotoszyna, że kiedy dzień najdłuższy, wówczas noc najkrótsza. Sprawdził to na sobie Pauzanjusz, pachciarz z Porozowa, omdlawszy od serdecznej wódki po zabiciu drewnianym berdyszem na pińskich górach dzikiego wielgoryba, który potem w Mitawie czynił

manifest, że mu się w Mińsku między solą zaległy robaki. Dobrze jednak napisał Seneka, że zając migdałów nie jada, choć się rodzynki w kurniku nie rodzą. Atoli tyle waży funt szafranu, ile i pieprzu, i dlatego psy w zimie siana nie jedzą, choć w lesie gęsi trawę skubią. *Nulla regula sine exceptione!*

☉ Skończył orację Mleczek, głębokim ukłonem słuchaczy pożegnał i w piersi się bijąc, ze stołka zląkł.

Zaczem ruszyli wszyscy do jadalni, gdzie oprócz śledzia, czekał na nich stokfisz kapucyński, przez bogobojnych zakonników przysłany. Był ten stokfisz tak trefnie przyrządzony, że mimo przyrodzonej łykowatości, w ustach się, by miód, rozpływał.

XVI.

Łatkowski i, jak należało się spodziewać, afrontu, publice doznanego, do kieszeni nie schował i cześnika na rękę wyzwał. Obojętnie przyjął to pan Mokrzecki, na adherenta wybrał swego Pafcia, nagłąc, aby sprawy zaraz, nie zwlekając, dopełniono.

Ze strony Łatkowskiego stanął pan Kopeć. Coś rn namotał sobie na cześnika i chciał mu przy tej okazji dopiec. Gdy przyszło do układania kondycji, żądał, by były najtwardsze. Napróżno perswadował mu Mleczo, że ta twardość właśnie przeciw jegomości Łatkowskiemu się obróci, bowiem rotmistrz, jako *expertus*, nie zrównaną nad onym ma wyższość — uparty a zapalczywy szlachcic zamknął mu usta osobliwym zaprawdę argumentem:

— To niech ich obu kaduk porwie, byleby przy tem cześnik tego oberwał...

Stanęło na tem, że bić się mają do pierwszej krwi, a na żądanie jednego, walka na nowo może być podjęta.

Kondycje ułożono zaraz po posypaniu głów popiołem; spotkanie odbyć się miało nazajutrz, na rozświcie.

Ponieważ przez całą noc sypało śnieżysko, trudno było potykać się w miejscu otwartem. Na szczęście, nieopodal dworu stał stary trephauz, tam przeto adwersarze i ich adherenci samoczwart podążyli.

Jeszcze przed pierwszym złożeniem osadził cześnik, że to partja cale nierówna. On szedł do potyczki jak do tańca, ów jak na ścięcie. W jurystowskich krętaństwach biegły, miał się szabli, niby *illiteratus* książki i pióra.

Splunął pan Mokrzecki, kaszel symulując. I pasja, i litość brały go na widok onej mizerji.

Na komendę „trzy!", jał lekko i jakby dla igraszki, szablą wywijać, innego celu nie mając jak tylko: drasnąć przeciwnika, krwi kroplę mu wytłoczyć i skończyć z miejsca tę lichą krotofilę.

Okazało się to przecie mniej łatwem, niż mniemał...

Drżący od strachu Łatkowski machał swą szablą jak warjat, stwarzając cięcia, pchnięcia, rhy-posty i myłnice, o jakich doówczas w świecie fęcy-mistrzowskim nie słyszano. Cześnik miarkować musiał sztychy, bo szalenie nieustannie się odkrywał, mógłby był przeto łatwo nadziać się na szablę przeciwnika, mieć odrąbaną rękę, albo łeb rozpiatany. Cześnikowi zasie jeno o kroplę krwi chodziło.

Trwała ona komedja momentów kilka bez żadnego rezultatu. Widząc przeto pan Mokrzecki, że się nad wszelką miarę przewleka, fortelu się jał.

Gdy tamten na oslep rąbał a rąbał, on, upatrzywszy chwilę, ramię mu swoje nadstawił. Prześliznęła się po onem szablą pana brata, przecinając kontusz i kęs po wierzchu krając ciało. Wnet się to miejsce krwią zafarbowowało — co zoczywszy, Mleczo i Kopeć ręce wzniesli do góry i krzyzczeć jeli:

— *Satis! satis!*... Kondycje spełnione!... Honorowi zadość się stało...

Cześnik, cale spokojny, schował szablę do poszew i wesa podkrećwszy, na stronę ustąpił.

Zato tamten w srogiej był alteracji. Na widok krwi cześnikowej zmysły postradawszy, na kolana

przed adwersarzem swym upadł i głosem płaczącym przebaczenia błagał...

— Nie bądźże waszmość mazgajem!... — ofuknie go Mokrzecki. — Toć słyszałeś, że honorowi zadość uczyniono. *Ergo*, nikt tu nikomu nic przebaczać nie potrzebuje.

— Więc już żalu do mnie waszmość pan dobrodziej nie czujesz?

— Nie czuję, mości Łatkowski.

— I wrogiem moim nie jesteś?

— Cóż znów! Nawet amicycji naszej nic teraz w kontr nie stawia.

— Ach! — wykrzyknie tamten, oczy z wielkiej kontentacji przewracając — jest mi tak, jakbym się po raz wtóry na świat narodził. I afekty moje dla waszmości pana dobrodzieja takowe są, jakie wyznawa niemowlątko dla rodzica swego. Fortunym nazwałbym los, któryby mi stopy waszmości pana dobrodzieja ucałować pozwolił.

Tu ręce załamię, jakoby w dezolacji niezmierniej.

— *O Fatum*, okropne *Fatum*, najognistszym chęciom moim przeciwiące się! Czemuż, zamiast wytoczyć ocean mojej posoki nikczemnej, pozwoliłeś, aby szczerorubinowym wyciekła strumykiem najszlachetniejsza z krwi tego świata? A ty, śmiercioprodne żelazo, któreś ośmieliło się spełnić tę zbrodnię najczarniejszą nadwzięciem alabastrów cielsnych męża, splendor naszej sławnej Rzeczypospolitej prezentującego! — żelazo kainowe, krwią przelaną razem splamione i uszlachcone! — niegodne dłużej u boku się mego kolebać!... Więc gin i przepadaj, jak ginie i przepada nocna mraka, gdy wóz Apollinowy na niebiosy wyjeżdża!

Po tej eksklamacji, niechybnie z „Winszownych aplauzów” wyuczonej, utkwiał pan Łatkowski klinę swego oręża w ziemię, potem z całej mocy

zgiął ona, chcąc złamać. Ale się stało odwrotnie niż w herbowej dewizie: *Franges non flectes*, bowiem klinga haniebnie się zgięła, a przecie nie złamała. Nie była to prawa damascenka — ale i wśród ordynaryjnych augustówek trafi się podczas stał niepodła.

Nie w smak poszły panu cześnikowi one łamańce i krasomowskie popisy, zaczęł rzecze:

— Firki to są, mości Łatkowski! Schowaj szablinę, bowiem przydać ci się może jeszcze, bodaj do wykrobywania jurystowskich *errorów*. A co się tknie krwi przelanej, niech cię o nią głowa nie boli. *Pro fide, lege et rege*, na użytek publiczny i miłych panów braci, jeszcze się onej zadość ostało!

Zaczem pięknie skłoniwszy się adwersarzowi, a pana Kopcia, jawnie sobie niechętnego, ledwie ruszeniem brwi pożegnawszy, zarzucił pan Mokrzecki delję swą na jedno ramię i ku odejściu się miał.

Wiedział, że we dworze boryszyńskim znajdzie wszystko, co potrzebne gwoli opatrunkowi, a wierny Mleczek rolę chirurga *expedite* przy nim spełni.

Mniemali wszyscy czterej, że ich wczesna wyprawa niczyjej nie zbudziła uwagi — aliści, wnet po opuszczeniu trephauzu, przekonał się cześnik, że jest całę inaczej.

W ganku, z panem Wojniłowiczem na czele, stała niemal cała kompanja dworska, niewiast nie ekskludując. Kommocję wielką wyrażały wszystkie lica; w otwartych szeroko i w stronę trephauzu wypatrzonych oczach, malował się ekstraordynaryjny niepokój.

Strój niewiast był negliżowy; w pośpiechu a trwodze, zarzuciła na siebie każda, co pod ręką znalazła. Zbiły się białogłowy w gromadkę, kształtem

wylęknionych owieczek — liczka im od wzruszenia popadła, noski od mrozu poczerwieniały.

Wśród mężczyzn, najruchliwszym był pan Kupść. Mały a zadzierny, krzykliwie perorował, na palce się wspinając. Inni także poruszeniami gwałtownymi jawili, jak ich żywo wypadek obchodzi.

Ale żaden ku trephauzowi krokiem nie ruszył, bowiem się to obyczajom rycerskim przeciwilo.

Czułość gospodarstwa i cnych gości zbudził był chłopiec kredensowy, który o świecie wybrał się pod gaj, sidła na szczygły zastawiać. Ów mimochodem, przez szklane ściany trephauzu, awantury pojedynkowej dopatrywał. Wnet z wieścią podrywał do służby, która ją, nie bawiąc, po męskich spalniach i alkowach białogłowskich rozniosła...

Pan Mokrzecki, nie rad wybałuszonym na się oczom liczego zgromadzenia, zatrzymał się po wyjściu na moment, upatrując, kędyby się mimo onego przesliznąć? Ale tegoż momentu ujrzał biegając ku sobie postać niewieścią w robdeszanie, która licem i poruszeniami przestrasza wielki wyrażała...

Ledwie zdążył rozpoznać, że to we własnej osobie jejmość pani Towiańska, już ona doń przypadła, za rękę pochwyciła i obiema dłońmi mocno ścisnąwszy, głosem wielkim krzyknęła:

— Żyjesz waszmość?... Ach!... ach!...

Liczko jej nagle, jak śnieg, zbieleło — i dziwne wydając głosy, które były razem jakoby śmiejący się płacz i śmiech kwilący, na ziemię się osunęła...

Upadając, zdrowem ramieniem podtrzymał cześnik, przyczem nieumyślnie, a raczej instynktem nieprzemierzonym do tego skłoniony, krzepko do piersi przycisnął.

Otworzyła oczy, w twarz cześnikową prosto spojrzała, — szkarłat oblał ją cała. Nawet szyja i uszy malusieńkie koralowemi się uczyniły.

Wszelako, copędzej się opanowawszy, o własnej mocy na nogach stanęła. Stanawszy, dostrzegła rozdarcie i ślad krwawy na kontuszu.

— O Boże!... krew?... — zadygota z przerażenia. Cześnik z uspokojeniem pośpieszył:

— Nic to, pani sędzino dobrodziejo... Skaleczenie małe, draśnięcie...

— Do wesela zażo się!... — wyjechał Pafcio ze zwykłym w takowych okazjach conceptem.

Teraz znów kolej przyszła na cześnika. Pokraśniał nieboże, jakby młodzikim był.

Stali tak przez moment oboje, alteracji pełni — aż ich z niej wybawił fortunnie pan Wojniłowicz, który wybiegł naprzeciw cześnika i ramiona doń wyciągał ruchem, wyrażającym radość i konsolację.

Za gospodarzem pośpieszyli goście — cała kompanja kołem pana Mokrzeckiego otoczyła.

Wszyscy winszowali, wszyscy ścisnąć cisnęli się — on zaś jeno jedno ramię do uścisków nadstawiał.

O Łatkowskiego nikt nie spytał.

Pani sędzina, Pafcia na stronę odwiódłszy, oświadczyła półszepem, że się ofiarowywa pielęgnować rannego — ile, że w tych sprawach dość ma eksperjencji, jako z rodu rycerskiego pochodząca.

Wdzięcznem sercem dobre chęci przyjęto — oznajmując zarazem, że ranka jest tak nieznaczna, iż do zagojenia onej nieco wina do przemycia, a potem chleb z pajęczyną, w zupełności wystarczą.

Mleczko, opatrując skaleczenie cześnikowe, nieustannie mamrotał:

— Winszuję... winszuję... winszuję...

I chytrze się pod siwym wąsikiem uśmiechał.

XVII.

— Nierówien, mości rotmistrzu dobrodzieju, grosz groszowi a złoty złotemu. Dawniej mieliśmy jeno srebrne grosze, dziś król jegomość zasypał nas groszami miedzianymi. Złotówki zasie są srebrne, są i czerwone. Tak samo i z Radziwiłłami. Są Radziwiłły złote, są Radziwiłły srebrne — nie brak także Radziwiłłów ze szczerzej miedzi...

— Zawszy, Pafciu-duszo, co Radziwiłł, to książę. A *princeps* — rzecz pryncypalna!

— Błyszczysz się, rotmistrzuniu wielmożny, złoto prawe — błyszczysz i pozłota. Spróbować trza dźwięku, czysty czy fałszywy?

— Wielceś dziś surowy, Pafciu-serce. Wybierasz wśród Radziwiłłów, jak między ulegalkami.

— Bo dbam, żeby synaczek pana rotmistrza dobrodzieja spożywał owoc ze zdrowego drzewa, a nie z dziczki...

— Jużć wiadomo, Pafciuniu, że nijakie drzewo o jednej gałęzi trwać nie może. Więc i *arbor Radzivilianae gentis* na różne rozrosła się konary.

— Już z nich dwa uschły do szczętu!

— Nie za mojej to się stało pamięci.

— Ani za mojej. Zczeszła jedna linja na Mikołaju Radziwille, co się był biskupem żmujdzkim uczynił. Dziedziczył po onym król Zygmunt August, ale niewiela mu stąd przyszło — to jedno chyba,

że w dziedzicznym Knyszynie Bogu ducha oddał. Zwano tę linję „na Medelach i Goniadzu“.

— Świeć jej, Panie. Przynajmniej dziedzictwo w dobre ręce przeszło.

— W cały wiek później wygasła i druga linja: na Birzach, Dubinkach, Słucku i Kopylu...

— Wiem, Pafciuniu, wiem. Ostatni był Bogusław Radziwiłł, któremu Olelkowiczówna wniosła bogactwa wielkie, ale synaczka urodzić nie chciała. Potem i córka zesza *sterilis*. Dobrze jeszcze, że one dobra wykupili inne Radziwiłły.

Potał czuba cześnik.

— Z Mokrzejcem tak nie będzie, Pafciuniu!

— To się wie, mości rotmistrzu dobrodzieju!

Pomilczawszy momentów kilka, cześnik rzecze:

— Więc do Nieświża radzisz, Pafciu-duszo?

— Jak w dym, wielmożny rotmistrzu. To jest Radziwiłłów stolica i gniazdo, skąd się ich herbowe Trąby na całą Litwę rozlegają. Rotmistrzowicz dobrodziej dobrą tam szkołę przejdzie, różności światowych się napatrzy, przyjaźnie zawrze pożyteczne, łaski i niełaski pańskiej doświadczy, *et in omni casu* z próżnemi nie wyjdzie rękoma. A zdarzy-li Bóg, to we fraucymerze księżnej jejmości i przyszłą *so-ciam vitae* sobie upatrzy.

Cześnik był jakoś markotny.

— Powiadają — zwolna cedził słowa — że stary książę Rybenko stetryczał — nudziarz jest, kapryśnik, zręda...

— To nic, ale magnat całą gębą, i pan, i senator. Województwem trzęsie całem. W jego blasku i Mokrzejcy świetności większej nabeżdżą...

— Sam nie wiesz, co gadasz! — zżymnął się cześnik — Mokrzejcem ich własna świetność wystarczy. Chwała Bogu, pożyczac jej od nikogo, bodajby nawet od Radziwiłła, nie potrzebują. Coś nazbyt go-

rać dla dziedziców nieświeskich żywisz afekty. Zapomniałeś, mój Mleczko, że dziś tam jakoby dwa dwory, bo książętko z pieluch wyszło i wąsik one-mu się sypie...

— Serdeczny to młodzieniaszek, mości rotmistrzu dobrodzieju! — z uniesieniem zawołał rezydent. — Horoskopy stawiając mu najświetniejsze — Jezuita jeden z gwiazd wyczytał, że książę Karol *in futuro* królem Litwy się stanie!...

Cześnik nogą tupnął — niecierpliwie po komnacie chodzić jął.

— Widzę, mój Mleczko, żeś już całe na stronę nieświsłą przekabacony. Pewnikiem przy onym królu masz w sperandzie kanclerstwo. Ja tak wysoko nie sięgam i synaczka na dworzanina królewskiego promować nie pragnę. Więc, jeśliś łaskaw, ostawmy ów Nieświż w spokoju.

Zaszurał butami rezydent i zmilczał, jakby mu kto plastrem gębę zalepił.

Pan Mokrzecki, wyczmychawszy się kęs, zagadnie:

— A co trzymasz, serce, o krajczym litewskim?

— O księciu Marcinie?

— Tak: o Radziwile z Czarnawczyc?

— Nic nie trzymam, wielmożny rotmistrzu dobrodzieju.

— Zły-li on, czy dobry?

— Może zły... a może dobry... wielmożny rotmistrzu dobrodzieju.

— Gadajże wyraźnie: na patrona synowi memu wybrałbyś go, czy nie wybrał?

— Anibym wybrał, anibym nie wybrał, wielmożny rotmistrzu dobrodzieju.

Zmiarkował cześnik, co się święci. Z pod brwi ściągniętych na Mleczka spojrzał, zakaszlał i w bok splunął — jak to zwyczaj był jego.

Szerokimi krokami wszerek i wzdłuż izbę przemierzwszy, znów przed rezydentem stanął i spytał:

— A książę Udalryk do serca ci przypadł?

— Ol... książę Udalryk... ol!

— Cóż znaczy twoje „ol”, Pafciu-milczku?

— Nic nie znaczy, mości rotmistrzu dobrodzieju.

— Jako nic?

— Ano nic.

— Jak mi trzeba rozumieć to „nic”?

— Pytać o to księcia Udalryka. Toćże on dzieło wydał: „O słowie *nic* w swojej przyzwoitości opisanem...”

— Bodajże cię! Nie dogadam się dziś z tobą, Pafciu przekoro.

— Nie jam winien, mości rotmistrzu dobrodzieju.

— Czemuż mi o Radziwiłach gadać nie chcesz?

— Albożem nie powiedział wyraźnie: są grosze i grosze, złotych i złotych — są także Radziwiły i Radziwiły!

— Bodajże cię kaczki zdeptali!... Nie dogadam ja się dziś z tobą!

Mleczko w milczeniu rozłożył ręce, — mówić się zdawał:

— Bóg świadkiem duszy mojej, żem temu nie winien...

Zamilkł i tamten, i już nie chodzić, ale biegać jął po komnacie, jakby go giez uciął.

Nagle stanął i tonem komendy wojennej rzucił:

— Pojedziemy do księcia Udalryka!

— Pojedziemy, wielmożny rotmistrzu dobrodzieju... — skłonił się Pafcio.

— Z Józełkiem pojedziemy!

— Z rotmistrzowiczem dobrodziejem, mości rotmistrzu dobrodzieju...

Cześnik bystro spojrzał na rezydenta.

— A ty-by może wołał gdzieindziej?

— Możeby wolał, wielmożny mości rotmistrzu..
 — Do kogoż zatem?
 — Właśnież to, rotmistrzu dobrodzieju: do kogo?..
 Zmarszczy się pan Mokrzecki, tupnie nogą i krzyknie:
 — Cóż to, mój Mleczko — przekwinty?
 — Subordynacja, mości rotmistrzu dobrodzieju..
 — Bodajeś skisł ze swą subordynacją!
 Pafcio niziutko się skłonił.
 — Jeśli taka wola wielmożnego rotmistrza dobrodzieja..
 Cześnik wyszedł z komnaty, drzwiami mocno trzaskając.

XVIII

Stary, siwy, czarno odziany sługa, którego mianowano „kamerdyner“, oznajmił panu Mokrzeckiemu, że jaśnie oświecony książę przyjmie go, wraz z synaczką, przed samem śniadaniem.

— Tak wczas, duszo? — zadziwił się cześnik.

— Jak zwyczajnie, proszę waścienie — około południa.

— Bój się Boga, serce! Taż to będzie pora obiadu, nie śniadania!...

— U nas obiad o piątej, proszę waścienie.

— To rannego posiłku cale nie jadacie?

— Jakżeby znów! Jadamy go, z łaski Pana Boga i jego książęcej mości. Nazywa się to „kafa“, proszę waścienie.

— Nazywa się jeno? A czemże jest *in effectu*?

Stary rozczapierzył chude, kościste palce, stukając w nie kolejno, wyliczał:

— Najpierw, sam książę jegomość pija serwatkę z sucharkami. Dla księżnej jejmości szafarka przyrządza jakoweś dekokty, od których jaśnie pani utyć się spodziewa. Paniętom noszą winną polewkę. Z rezydentów, jeden żąda piwa grzanego, drugi bigosu, trzeci jajecznicy. Wreszcie niższa kategoria, proszę waścienie, łyka kminkówkę albo cynamonówkę i wędlinką przegryza.

— Więc kawy, znaczy, nikt u was, serce, nie pija?

Kamerdyner wielce się zdziwił, oczy wytrzeszczył i cości pod nosem mruczając, jął znów stukać po palcach, jakby liczby swoje weryfikował.

— Ano, proszę waścirdzieja — z westchnieniem wreszcie wyrzekł — na to wyszło, co nikł!

Godziny jeszcze nie dostawało do zapowiedzianego posłuchania — cześnik chciał z tego sprofikować, aby rozejrzeć się kęs w rezydencji książęcej, o której w jego stronach różne krążyły powiastki.

Stary sługa ofiarował się za przewodnika.

Ledwie wyszli za parkan, okalający podjazd pałacowy, cześnik ujrzał osobliwy budynek, ni to altanę, ni to mlynek — coś w rodzaju chińskich kościółków, które podczas na szpalerach pokojowych figurują.

Miało ono dziwo cztery skrzydła, *alias* śmigi — każdą na inny kolor pomalowaną. Śmigi nie obracały się — ile, że powietrze było ciche i wiaterek by najmniejszy nie dał.

— Ekstraordinaryjny macie wiatrak!... — zauważy pan Mokrzecki, głową kręcąc.

— To nie wiatrak, proszę waścirdzieja... — poprawi ów.

— Cóż więc, duszko?

— *Horologium*, proszę waścirdzieja... *horologium aëreum*. Inaczej: godzinnik, *alias* zegar wietrzany. Z tamtej strony jest tarcza, i wskaźniki, i godziny wszystkie wymalowane jak się patrzy. Inwencja to jasnie oświeconego księcia jegomości. Gdy wiaterek skrzydła porusza, we środku kręcą się takie różne kółka, i wskaźniki akuratną godzinę pokazują.

— A jeśli wiatru, serce, niema?

— To *horologium* w miejscu stoi, proszę waścirdzieja.

— I cóż wówczas, duszo?

— Wówczas patrzy się godziny na godzinniku słonecznym, *alias* kompasie, lub też na pektoraliku.

— Bodajże was... — wyrwało się cześnikowi, ale spostrzegł się wnet i dokończył: — Bóg za wasze inwencje błogosławił!

Uszli kroków kilkadziesiąt, aż pan Mokrzecki usłyszy nieopodal jakoweś brzęczenie, mruczenie, stękanie, jakby ktoś na drumli grał, a razem w żywocie boleści cierpiał.

— Bój się Boga, serce! — zawoła — a toż znów co takiego?

— Takóż jasnie oświeconego księcia pana inwencja. Harfa olejowo-serdelowa... czy serowa... może serenowa? — bo tu człowiekowi trudno wszystko akuratnie spamiętać, proszę waścirdzieja.

Poaszedł bliżej cześnik i ujrzał rzeczulkę wąziuchną, która była w całej długości zamarznięta, ale w tem miejscu oczyszczono ją z lodu i płynęła falą dość wartką.

Rzeczulkę przegradzała wpoprzek jakoby olbrzymia furta, a w rzeczywistości wielka rama drewniana, z naciągniętymi z góry na dół drutami. Woda, przez druty przepływając, ono brzęczenie sprawiała.

— Ni przypiał, ni przylatał... — pomyślał cześnik. — Ni w pięć, ni w dziewięć, ni w ośmnaście...

A w głos rzekł:

— I to sam książę jegomość to wszystko *invenit*.

— Czyż jeno to, proszę waścirdzieja! U nas na każdym kroku siła tych osobliwości. Ludzie z końca świata, z Oszmiany, ze Smorgoni, zjeżdżają się, żeby one dziwy admiirować.

Cześnik jeno głową kręcił, co moment powtarzając:

— No, no, duszo... No, no, serce...

Książę był snąć wielkim hołdownikiem Melpo-

meny i Polihymnji, znów bowiem o uszy idących obili się śpiew i muzyka. Osobliwością w tym wypadku było, że grano i śpiewano w stodole.

Pospołu z muzycznymi egżercycjami odbywała się młocka, a jedno z drugim mieszane, takim kształtem brzmiało:

Tra-la-la-la — tup! cup!

Tra-la-la-la — tup! cup!

— U nas wszystko z muzyką, proszę waścienie... — pośpieszył z objaśnieniem stary. — Państuszkowie za bydiem grają na klarynetach, a gęsiarki na ugorze zawodzą dyszkantem: — Ach! ach! — och! och!... — Jaśnie oświecone państwo sami podczas wychodzą na łąkę — książę jegomość kosi, księżna jejmość grabi, — kapela różne arje wygrywa, a kosiarze i kosiarki chórem przyspiewują, Wszyscy zaś, proszę waścienie, boso wonczas chadzają, a na głowach noszą girlandy z kwitnącego zielska...

— No, no, duszo... No, no, serce...

— Już się zbliżało południe — na oglądanie innych dziwów czasu nie starczyło.

W powrotnej do pałacu drodze, kamerdyner, tabaki zażywszy, takową jeszcze uczynił uwagę:

— Wszystko to, proszę waścienie, z jednego wypływa...

— Z czegoż, duszo? — ciekawie spytał cześnik.

— Oto z tego, że nasz jaśnie oświecony książę i pan nie jest taki jak inni ludzie.

— Nie dostaje mu czego, serce?

— Uchowaj Boże! Książę jegomość ma wszystkiego, a głównie mądrości, nad miarę i potrzebę.

— Czy i fortuny, duszo?

— Tego ja wiedzieć nie mogę, proszę waścienie. Cudzych bogactwów nie zwykłem liczyć.

Ale wiem, co mi mówiła Polusia, najmłodsza moja — która we fraucymerze służy i która to od samej księżny jejmości słyszała — że nasz jaśnie oświecony pan jest jakoby drugi humorus...

— Humorus, serce? Któż to był taki?...

— Humorus czy Rumorus, tego dobrze nie pomnę, proszę waścienie. Ale zawsze Morus.

— To może, duszo, Homerus?

— Może i Homerus. Umiął ów pono wyrazy do kupy składać, że się wiązały ze sobą jak końce litego pasa, albo, jak nie przymierzając, w moim kancjonaliku: „Maryja” i „Lelija”, „Dzieciatko” i „Niebożatko”... Nasz książę jegomość, w tej sztuce ekspert, takż podobne figlasy koncypuje.

— To znaczy, serce, że książę *poetus*?

— Tak się to pono mianuje, proszę waścienie?

Na zegarze pałacowym — ale nie „wiatrzanym” — wybiło pół do dwunastej. Stary sługa przyspieszył kroku, aby gościa czempredzej na pokoje wprowadzić.

Cześnikowicz, przystojnie odziany, czekał już w pięknym, ogrzanym, landszaftami owieszonym przedsionku — skąd wszyscy udali się do księcia Udalryka.

Porannych, przedśniadaniowych gości książę zwykł był przyjmować w komnacie, nazywanej „gotownią” — która to nazwa stąd się pewnie wzięła, że się tu pan odziewał, czyli do wystąpienia gotował.

Gdy cześnik z synem, przez sługę oznajmieni, weszli, książę Udalryk wstał od stołu, książkami, papierami, piórami i wszelkiem kancelaryjnym śmieciem zarzuconego — szybko się z przybyszami przywitał, stolki im podsunął, komplementów zwyczajnych kilka powiedział i znów na miejscu poprzedniem zasiadł.

Zasiadłszy, wnrzył nos w papiery i do pisania się zabrał, haniebnie piórem gęsiem skrzypiąc.

Pan Mokrzecki, profitując z okazji, bacznie przyglądać się jał onemu Radziwiłłowi, o którym dotąd ledwie coś-nie-coś z posłuchów wiedział.

Książę Udalryk całe do swych nieświskich kolli-gatów nie był podobien. Musiał być już w lecach podeszłych, co wskazywała skóra na policzkach żółta, pomarszczona i obwisła. Siwizny wszelako nigdzie się nie widziało — ile, że krom brwi poczernionych, ni jeden włoszek nie jawił się ani na obliczu do cna wygolonom, ani na głowie naguteńkiej, a owalnej jako strusie jajo.

Całą personę książęcą okrywał wielki pudermantel — śnać przed killkorgiem minut balwierz praktyki tu swoje odbywał. A nie skończył ich jeszcze w zupełności, stojąc bowiem przy drugim stole, trefił, układał i mąką osypywał ogromną, na wysokim postumencie spoczywającą, perukę. Była to peruka z tych, które dopiero Sasi do mody wprowadzili — killkopiętrowa, nastroszona, runo baranie przypominająca.

Książę pracował przy jednym stole, balwierz przy drugim — obaj milczeli — o panu Mokrzeckim i jego synaczku jakby całe zapomniano...

Cześnik czuba pocierał i czoło marszczył, widząc w tak osobliwym przyjęciu obrazę swej godności szlacheckiej. Cóż to? albow Mokrzeccy nie równi Radziwiłłom? albow cześnik nie *possessionatus*? albow się dwoma urzędami publicznymi nie zaszczyca?

Pasję mitygował jeno sentencją, w myśli powtarzając:

— Wielkim panom i wielkim kpom wszystko uchodzi...

A potem jeszcze myślał:

— Ba! — zgadnijże kto mądry? którą kategorię mam dziś przed sobą? Może tu obie w jedną się złączyły?...

Nagle książę przestał pisać, pióro odłożył, palcem stuknął w czoło, na usta przywołał uśmiech amikalny. Z tym uśmiechem do pana Mokrzeckiego się obrócił.

— *Monsieur* — wyrzekł, nisko się skłoniwszy i kęs szepleniąc — wielkim czuję się względem pana mojego winowajcą. Uchybiłem powadze urzędu i dostojności waszmościnej, a także świętym prawom naszej staroliteńskiej gościnności. Ekskuza moja niech będzie Horacjuszowe: *Poetis omnia licet*.

Skłonił się i cześnik, milcząc. Bogiem a prawdą, nie wiedział, co odpowiedzieć.

Ów zasie ciągnął:

— Uważyć racz, *monsieur*, że my, poetusowie, miewamy momenty nienagrodzone. Gdyś okazję minął, już ci ona, jak ptak z otwartej dłoni, uciecze. A właśnie trafiliście waszmoście na moment, gdy mi się rytmy trefne w głowie i pod piórem kształtowały.

Tu weźmie do ręki zapisany papier i z nowym ukłonem zapyta:

— Mogę mieć śmiałość pochlebiania sobie, że moje niedołężne lukubracje uszu waszmościnych nie obrażą? Nie udarowało mię niebo takowem, jak skarbnikową żydaczewską, *ingenium* — podczas wszelako i mnie, mizeraka, dowcip nawiedza...

Znów cześnik uniżonym pokłonem gotowość swą stwierdził — gwoili czemu, że stołka się nawet podnosząc, Józefek także przykład ojcowy naśladował.

Więc książę Udalryk, głowę zadarłszy, zabrał się do odczytania świeżo skomponowanych rymów. Recytował one głosem podwójnym. Był to bowiem

dialogus, w którym jedna strona przemawiała dy-
szkantem, druga zasie basem.

Księżę czytał:

— „*Echo korespondujące przechodzącej się po sali
damie*”.

Dama (discanto). Już tej sali okropnej cale nie-
nawidzę.

Echo (baso). Widzę.

Dama. Po kompanjach, po gościach, cale jak
po wojnie.

Echo. Oj, nie!...

Dama. Kto to jest, co tu gada, lubo sala pusta?

Echo. Usta...

Dama. Co za usta, co za rzecz rozmowy za-
żywa?

Echo. Żywa...

Dama. Ktoś ty? powiedz wyraźnie, ale nie zdra-
dziecko.

Echo. Dziecko...

Dama. Przebóg! skąd u mnie dziecko? — chyba
omamienie?

Echo. Ma mienie.

Dama. Czy Kupido? — lecz tylko Wenerze on
sprzyja.

Echo. I ja!...

Trudno — ba! cale wyimaginować sobie niepo-
dobna — jakie ekstraordynaryjne miny wyprawiał
książę, recytując owe rymy osobliwe. To oczy mru-
żył i nos wystawiał, to brzuch wciągał, jakby z jego
głębin głosu chciał dobyć basowego, to wreszcie
podrywał się cały z siedzenia, na podobieństwo
wskakującego na płot koguta...

Skończywszy, utkwiał rozgorzałe źrenice w panu
Mokrzeckim, czekając wyraźnie na aplauz.

Zbyt świeckim był człkiem cześnik, aby mu

onego odmówić. Więc klasnął w dłonie, szturgając
łokciem Józefka, by czynił toż samo.

— Paradnie! wyśmienicie! superfinowo! — po-
wtarzał, w pokłonach się zginając. — Z jaśnie oświe-
conego księcia prawy Kochanowski!...

Oczy przytem w dół spuszczał, jakby bojąc się,
by z nich symulacji nie wyczytano.

— Proszę waszmości dobrodzieja — odpowie gło-
sem fletowym księżę — zauważyć chciej, *monsieur*,
jakie tu były trudności do skonwinkowania, jakie
Scyllas et Charibdas do przebycia... Wszelako wro-
dzone *ingenium* pomogło, że się wszystkiemu dało
rady, i mój rytm, niby czołn ubożuchny, z litew-
skicj jedliny wystrugany, na drugą stronę fortunnie
się przeprowadził...

— *Ad majorem Dei gloriam*... i gwoli większemu
uhonorowaniu jaśnie oświeconego księcia pana! —
układnie oświadczył pan Mokrzecki, zawczasu so-
bie Radziwiłła, acz nie nieświskiego, kaptując.

Ów obrócił się z łaskawym uśmiechem do Jó-
zefka:

— Dobrze, że i młody usłyszał. W pamięci mu
to zostanie. Uczono go niezawodnie w konwikcie
jakowymś, że jeno Rzymianie a Grecy w poezji
wysoko się wznosili — pozna teraz, że i w litew-
skich lasach wyrastają podczas laury. Po muszka-
tele, po cytryny, po jabłka granatowe, trzeba nam
jeszcze za morza jeździć — rytm foremny już się
dziś i w domowej zagrodzie *in vernaculo* wyhoduje...

Musnął się po golusieńkim czerepie, potem dło-
nią wygolone policzki przejechał.

— Ani wątpię, *monsieur* — mówił dalej, wprost
już do cześnika — że o uszy waszmości dobrodzieja
obiło się już nieraz nazwisko naszej prześwieatnej
poetessy, skarbnikowej żydaczewskiej, jejmości pani
Helżbiety Drużbackiej...

Znów cześćnik na milczącym pokłonie poprzestał — nic, Bogiem a prawdą, o onej personie nie wiedząc. Pokłonił się także Józefek, nauczony we wszystkim rodzica naśladować.

Wspomnienie o pani Drużbackiej rozgrzało księcia. Umoczył dwa palce w wielkiej z muszli w srebro oprawnej tabakierze, która między papierami stała i szczyptę tabakowego proszku w górę podnosząc, z afektacją niemałą mówił:

— *Musa* to jest *Sarmatica*, na którą wieki całe czekaliśmy! Splendor Korony, Litwy — ba! całej Rzeczypospolitej naszej! Jego ekscelencja biskup-referendarz Załuski, *amicus meus dilectissimus*, zebrał wszystkie onej Safony polskiej rytmy, jako się zbiera perły z rozerwanego naszyjnika, i w jedną księgę zamknawszy, w typografii pijarskiej odciska. Ja zaś, *antiquo modo*, takową do jejmości epistołę skomponowałem...

Palcami, ściskającemi tabakę, w gołą czaszkę stuknął i recytować jął:

„Nie z prostej skóry pas ciągnę *Rzemienia*,

(Uważ, *monsieur*, że to się tknie *Rzemienia* nad Wisłoką, gdzie *Musa Sarmatica* gniazdo swe uwiła)

„Nie z prostej skóry pas ciągnę *Rzemienia*,
Z której tu snuje Muza swe osnowy,
Tać z Helikońskich cór idzie plemienia,
W *Drużbackich* kroplach kręte kroi rowy”,

(Wody „Drużbackie” waszmości dobrodziejowi *ignotae* być nie mogą).

„Gdzie po kamykach szumne grają zdroje,
Skąd poetyckie dają smak napoje...”

W tem miejscu książę Udalryk, zatrzymawszy się przez moment dla nabrania oddechu, sprofitywał z okazji, aby nareszcie oną szczyptę proszku,

w palcach ściskanego, w czeluściach okazałego nosa umieścić.

Niedługo na konsekwencję czekano... Potężny grzmot wstrząsnął zatęchłe od kurzu i pachnideł perukarskich powietrze...

— *Vivat*, jasnie oświecony książę! — krzyknął pan Mokrzecki, na równe nogi się zrywając.

— *Vivat*, jasnie oświecony książę! — powtórzył za ojcem rotmistrzowic.

— *Merci... Merci...* — zaśpiewał cienko książę, kłaniając się temu i tamtemu.

Zarazem powstał z miejsca i *solemniter* oświadczył:

— Pozwólcie, *messieurs*, że w gratulacji waszmościów dobrodziejów jeden *error* skoryguję. Na uboczu moją skromną pozostawiając personę, wykrzyknijmy raczej wszyscy: „*Vivat Musa Sarmatica!... Vivat Sapho Polona!*”

— *Vivat!... Vivat!...* — rozległy się głośnie okrzyki, w których wziął nawet udział stary majster od peruki, Francuz, ni słowa nie rozumiejący po polsku.

Księżciu z wielkiej kontentacji nos poczerwieniał a usta szeroko się rozciągnęły, jak u męża leśnego, *alias* Satyra.

Ujawszy odłożony papier, *de noviter* do czytania się zabrał.

Ale w tym momencie, na dziedzińcu rozległ się głos dzwonu...

Zerwie się *poetus* na równe nogi i zakrzyknie:

— *Monsieur François!... Ma perruque!... Vite! Vite!*

Stary balwierz, ucieszenie podrygując na cienkich, jak kijki, nóżkach, przyskoczył i z pośpiechem umieścił na głowie księcia olbrzymią stertę umieszczonych, trzęsących się loków. Biały pył uniósł się chmurą w powietrzu.

Książę Udalryk, z żywością ośmnastoletniego

młodzianka, zrzucił swój lekki, w zielone i wiśniowe pasy, robdeszan i ukazał się w pięknym stroju francuskim, stosownym nie jeno do stołu, lecz nawet do sali bawialnej.

We drzwiach od komnat wewnętrznych zjawił się sędziwy kamerdyner, w pięknej barwie, w rękawicach białych, i z ukłonem oznajmił:

— Jaśnie oświecona księżna jejmość oczekiwając ze śniadaniem jaśnie oświeconego księcia jegomości i jaśnie wielmożnych ichmości dobrodziejów!

Otworzył podwoje i na stronę ustąpił — zaczęli wszyscy udać się do jadalni.

Na powitanie księżnej, wystąpił pan Mokrzecki z wielce fortunnym komplementem.

— Piąty rok mija — wyrzekł, kościste jej ręce obcałowując — jak udarował mię los widokiem jaśnie oświeconej księżny jejmości. Ale choć mi świeża jeszcze pamięć na djamencie serca głęboko jej konterfekt wyrznęła, nie poznałbym jej w dzisiejszej całej persony metamorfozie...

— Czyżbym tak wielce postarzała?... — kwaśno uśmiechnie się całe jeszcze młoda pani Udalrykowa.

— Tyle jeno, co różany pąk, gdy się w kwiat okazały rozwinie. Inna jest odmiany rzeczonoj przyczyna. Gdy przed pięciorgiem roków księżną jejmość oglądał, byłaś jaśnie oświecona pani kształtu subtelnego, *ad instar* Serafinów, które po kościołach malują. Dziś — oczy przecieram, widząc przed sobą białogłową okazałą, *mulierem* co się zowie *formosam*...

Raka spiekła jejmość z uciechy niezmierniej. Niczem nie można jej było tak ukontentować, jak chwalać jej rzekomą otyłość. Ktoby jej powiedział, że wygląda jak Holofernes, pewnieby mu fortunę całą oddał. Zwyczajny to ludzkiego, a nadewszystko białogłowskiego przyrodzenia defekt.

Wkupiwszy się w łaski pani domu, był odtąd cześnik przedmiotem jej osobliwej obserwacji. Z nim głównie dyszkuruwała, dla niego najpochlebniejsze miała słowa i uśmiechy. Owo zgoła dobrze się działo przy stole panu Mokrzeckiemu.

Książe Udalryk, wedle wyrażenia swego, „lutnie na kołku powiesiwszy”, zabawiał gości narracjami o swych osobliwych inwencjach.

Był właśnie *in tractu* budowania maszyny ekstrordynaryjnej, którą człek do ramion sobie przytwierdziwszy, latać mógł, jako ptak, po powietrzu.

Wszyscy *obstupuerunt et ora tenebant*, gdy narrator, krasomówstwem własnem porwany, na krzesło skoczył i rękoma, niby skrzydłami machając, lot wielkiego ptaka imitował...

Cześnikowicz, jak na młodziana dobrze edukowanego przystało, poprzestawał jeno na słuchaniu starszych, całe się do konwersacji nie mieszając. Siedział także z gębą zamurowaną Pafcio, do stołu książęcego, jako *nobilis*, przypuszczony — tak, iż zdawało się, że nie Mleczkiem, ale Milczkiem zwać mu się przystoi.

Po śniadaniu wszyscy się do zajęć swych rzęśli: książe jegomość do wierszów i maszyny latającej, księżna do klawikordu i krosienek, inni do gospodarstwa, nauki, lub korespondencji. Cześnik, z Józefkiem i Pafciem, do pokojów gościnnych powrócili — ile, że promenadą zimową już byli tego dnia dosyć uraczeni.

— Cóż, panie synu — zagadnie pan Mokrzecki, pasa rozluźniając — dom książęcy do gustu waści przypadł?

A zanim ów na odpowiedź się zdobył, dorzuci jeszcze:

— Dyzgustów zresztą waścinych pod uwagę brać nie będę...

Na takie *dictum* cóż rzecz było można?

Sklonił się jeno cześnikowicz i bąknął:

— Tak będzie, jak pan ojciec dobrodziej postanowi...

— A ty, Pafciu-duszo — zwrócił się cześnik do rezydenta — co z tego wszystkiego konkludujesz?

Pafcio nisko się skłonił.

— Konkluduję, że najlepiej będzie powtórzyć złote słowa rotmistrzowica dobrodzieja: tak się stanie, jak waszmość pan dobrodziej postanowisz.

Tupnie nogą cześnik.

— Znów mi się, widzę, piskorzem wywijasz! Zawzialesz się na mnie czy co?

Pafcio milczał.

— Gadajże! nie bądź rybą!

— Więc powiem, bez urazy wielmożnego rotmistrza dobrodzieja. Jeśli pan Józef dobrodziej na poetusa, albo li też na inwentora ma być promovany, tedy będzie mu w tym domu, jako słowikowi w gaju olszowym, a Pegazowi przy Kastalskiem źródle...

— A jeśli ja z Józefka uczynić żądam gospodarza wiejskiego, a podczas i rycerza, męża, jak to mówią, do rady i zwady, do pługa, do szabli i na sejmik?...

Młeczko ramiona rozłożył, głowę pochylił i nic nie wyrzekł.

Więc namarszczy się pan Mokrzecki, po pokoju biegać weźmie, — wreszcie stanie, rękoma machnie i rzuci:

— A!...

XIX.

Gdy nazajutrz goście wkraczali na pokoje książęce, ze zdziwieniem ujrzeni księcia jegomości, trzymającego w ręce papier jakowyś, stukającego palcem w czoło i głosem fletowym wykrzykującego:

— Awantura!... Awantura!...

Zwrócił się też zaraz książę do wchodzących i objaśnił:

— Imaginujcie sobie, *messieurs*, że w powiecie waszmościów zdarzył się *casus* niesłychany. Na jeden z dworów szlacheckich napadli nocą Cyganie!

— Na czyj?... — zagadnie cześnik z widowym niepokojem.

— Na dwór białogłowy jednej, dla której, acz rzadko widowanej, stateczną w sercu chowam adorację: na dwór pani sędziny Towiańskiej.

Ledwie to usłyszał cześnik, siły go opuściły i osunął się, omal, że nieprzytomny na krzesło. Gdyby krzesła nie było, runąłby nieochybnie na ziemię.

Rzucono się ratować. Sama księżna jejmość z solami trzeźwiącemi przybiegła; Pafcio z Józefkiem rozrywali spinki u żupana i guzy przy kontuszu; książę tabakierę pod nos wtykał. Na służbę krzyknęto, by chirurga książęcego sprowadzić.

Szczęściem, było to jeno krótkie omdlenie. Za momentów kilka, pan Mokrzecki przyszedł do sie-

bie. Ale osłabiony był wielce i twarz mu się osobliwie zmieniła.

Książę Udalryk, przy pomocy Mleczka i cześnikowicza, przyprowadził cześnika do swojej stancji, którą przezwał modnie „kabinet”. Wpierw jednak zamienił z księżną jejmością spojrzenia znaczące, które mówić się zdały:

— Skąd u gościa naszego taka alteracja?... Wzdyc mu pani Towiańska nie siostra i nie krewna? Coś się w tem święci...

W „kabiniecie”, pierwsze słowa pana Mokrzieckiego były:

— Nic-że jej się niebodze nie stało?...

— Ależ proszę waszmości — odpowie książę — uspokój się, *monsieur*. Jakkolwiek *singularitates* tego wydarzenia nie są mi jeszcze znane, to wiem napewno, że pani Towiańska przy życiu pozostaje.

— Jechać nam trzeba!... jechać natychmiast!... — wykrzyknął cześnik, o własnej już sile powstając. Książę przybrał minę strapioną.

— Żalność to dla mnie wielka i niemal dyshonor, że waszmość pan dobrodziej, zaledwie w progi moje wstąpiwszy, już mi serce groźbą odjazdu zasmutczasz. Bądź pewien *monsieur*, że w innych okazjach posunąłbym się aż do uniżonych molestacji, do rąk całowania — ba, nawet do zamknięcia wszystkich wrót w mojej ubożuchnej zagrodzie, aby się dłużej widokiem tak godnej osoby kontentować. Widzę wszelako, że tu działają wyższe nad pospolitą cnotę siły — że magnes, który waszmości gdzieindziej pociąga, niczem przezwyciężyć się nie da. Niechże więc będzie, jako *monsieur* żadasz — ale *sub conditione*: że ja waszmości pana i dobrodzieja mego *personaliter* w powiat lidzki odwiozę.

Łaska to była ekstraordynaryjna — więc cześnik, do kolan książęcych pochylając się, eksplikować

jął, jako nie czuje się godnym takowej ze strony Radziwiłła — aczkolwiek nie nieświskiego — ofiary.

Ow przecie przy swoim trwał.

— No, no, już się waszmość o mnie nie frasuj... Mitra mi z głowy nie spadnie... Braciaśmy wszyscy — służyć sobie wzajem powinniśmy... Przytem dowiedz się, *monsieur*, że ja mam w tem i swój personalny interes...

— Możliweż to? — zadziwił się cześnik. — Uwierzyć mi trudno, żeby jaśnie oświecony książę, którego imię Fama stugębna po całej Litwie roznosi, mógł znajdować się w jakowymś akordzie z ledwie znanym przez powiat swój szaraczkiem...

— Tak przecie jest *in effectu*. Ale o tem na cztery oczy pomówimy...

Tu, *sub pretexto* przygotowań podróжных, oddał książę z „kabinetu” Mleczka i cześnikowicza, zaczem, obracając na gościa wielkie, wypłowiałe, ale z osobliwą kordjalnością patrzące oczy, *ex promptu* wyrzekł:

— *Poetis omnia licet*, niechże więc będzie wolno staremu poetusowi otwarcie myśli swą wyłożyć. Oto postanowiłem jechać z waszmością z tej racji, że chcę być jego dziewosłębem.

Skoczy cześnik, jak oparzony i pokraśniej, niby żak, na gorącym uczynku złapany.

— Ależ, mości książę... Cóż bo jaśnie oświecony książę jegomość sponuje... Ani słówkiem jednem porozumienia nie dałem...

Na to książę jeno się uśmiechnął i tabaki zażył. Zaczem, nie odpowiadając wprost, rzecze:

— Gust masz, *monsieur*, wyśmienity i zupełnie go z waszmością dzielam. Białogłowa jest grzeźczna i stateczna; rozumku i urody Pan Bóg jej nie poskapił. A i substancji i po nieboszczyku dość tam zostało. Już ja coś o onych afektach od pani

obersztlejtntantowej Bitowttowej słyshałem — która
takż wielce adoruję, równie dla cnót jej, jak dla
gładkości. Więć proszę być dobrej myśli i wesolej
cery — wszystko się, *Deo svavente*, uładzi...

— Ależ, mości książę... — bakał cześnik, czerwony wciąż jak piwonja.

— No, no, *monsieur*, dość tych protestacyj.

Przysunął się z krzeselkiem do cześnika, za szyję
objął go kordjalnie — do ucha szepnął:

— Obaj mamy białe włosy a serca gorejące.
Więć *satis*. Rozumiem i ekskuzuję.

XX

Był wieczór majowy — jasny, ciepły, pachnący,
pełen owej błogości, która jest nieba przedsmakiem.
Rechotały i kumkały żaby litewskie, zawołane mu-
zykantki; w olszynie słowiczek śpiewał a śpiewał,
zapominając o świecie i o wszelkiej jego mizerji.

W rakowickim ogrodzie rozkwitły bzy i róże;
czeremcha okryła się takż puchem drobnych bia-
lusieńkich kwiatów. Wschód naciagał już delję
z granatowego aksamitu, gwiazdami wyszywaną,
które połyskiwały jak perły kałakuckie; na zacho-
dzie było jeszcze kęs czerwono, a pod tę czerwoność
leciały słonki, na które zdrajca myśliwiec
z flintą się czał.

Zmartwychwstawało ze śmierci zimowej całe
przyrodzenie, wlewając w serca ludzkie otuchę;
bowiem jeśli zima jest *imago mortis*, tedy wiosna
wyrażać musi *imago resurrectionis*...

W tej samej, co przed dwoma laty, izbie, przy
tym samym stole — ba, przy tymże kałamarzu i nad
tymże papierem — siedział pan Mokrzecki i dumał.
Tak samo, jak wówczas, stał przed nim puhar, wi-
nen nalany, jeno, że wino miało teraz barwę nie
purpury, lecz bursztynu. I gdy przeniknął je pło-
mień świecy woskowej, co na stole płonęła, szcze-
rem złotem się wydawało.

Pan Mokrzecki był odziany świątecznie i minę miał także świąteczną. Pod orlim, wydatnym nosem, siwe wąsy sterczały mu zawadjacko, policzki rumieniły się jak najdostalsze jabłko, oczy pod gęstemi brwiami skrzyły się jak karbunkuly.

Przez moment dumiał, a potem, wina rzetelnie pociągnawszy i białego a obfitego czuba potarłszy, pióro w inkauscie umoczył, ręką zamachnął i pisze:

„Roku 1753, miesiąca maja, 15 dnia, w uroczystość Świętej Zofji, wdowy i męczenniczki, przy pogodzie na schwał cudnej, jakiej za mojej pamięci nigdy jeszcze na Litwie o tej porze nie bywało, pojąłem *in sociam vitae*, ślubami małżeńskimi, niewiaścę-aniola, jejmość panią Marię *de domo* Bobolównę, w pierwszym małżeństwie za imćpanem ś. p. Janem Towiańskim, sędzią granicznym powiatu wołkowyskiego będącą, która ślubowała mi wiarę, przyjaźń stateczną i opiekę nad czworgiem dziełek moich, a ja onej nawzajem dozgonny afekt serdeczny i ojcowskie dla jej córki nieletniej, Zuzanny, przywiązanie...

Boże przedwieczny! Ojcze Sprawiedliwy! pobłogosław nam wszystkim w tem życiu, a po skończonym dni naszych terminie, delicyj niebiańskich daj skosztować. Amen.

Dla pamięci, ręką moją własną, takową notację napisałem, i dla dalszego ciągu a wiadomości dzieciom moim zostawuję. W Rakowiczach, roku 1753, miesiąca maja, 25 dnia.

Antoni Kazimierz Mokrzecki,

cześnik powiatu lidzkiego, rotmistrz
Buławy Polnej W. X. Litewskiego“.

Skończywszy pisanie i piaskiem je zasypawszy, cześnik odwrócił papier i na drugiej stronie porczykiem pokilkakroć postukawszy, z westchnieniem wyrzekł:

— Siódme... Siódme amen!

Osunął się na kolana, dłonie złożył i oczy ku ryngrafowi z Matką Boską obróciwszy, długo się modlił — a łzy perliste po jagodach mu spływały...

KONIEC.



283840